

To nie bajka...



DENIS DIDEROT

To nie bajka...

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Od tłumacza

Omawiając swego czasu *Kubusia fatalistę*, zwróciłem uwagę na pewne znamienne cechy twórczości Diderota. Niezmordowany ten pracownik pióra, jeden z najgłośniejszych i najbardziej wpływowych pisarzy ówczesnej Europy, nie zostawił po sobie *dzieła*; nie zostawił żadnego utworu, w którym by się w pełni wyraził jako myśliciel i jako artysta. W namiętnej gorączce bezpośredniego działania słowem, kształtowania nim form życia, szedł przed siebie jako wojownik nowych idei, nauczając, walcząc, popularyzując. Najlepszą część sił utopił w olbrzymim przedsięwzięciu *Encyklopedii*, płodnym jako wpływ, ale niewdzięcznym jako przejaw indywidualnej twórczości; wszystko inne było dlań tylko wytchnieniem w tej pracy, którą uważał za cel swego życia. I w tych swoich „wczasach”, ot tak, od niechcenia, rzucił Diderot podwaliny pod krytykę malarską (*Salons*), pod teorię sztuki dramatycznej (*Paradoxe sur le comédien*); przeczuł wiele pojęć z zakresu filozofii przyrody (pojęcie ewolucji); otworzył dziełami swymi scenicznymi (mimo iż one same są dziś bezwartościowe) nowe drogi teatrowi; wreszcie zostawił garść powiastek, dialogów, fragmentów, zaliczonych dziś do klejnotów francuskiego piśmiennictwa.

Z utworów tych żaden prawie nie ukazał się drukiem za życia autora; przyczyną tego były w części obawy pisarza, aby zwracając na siebie uwagę rządzących, nie ściągnąć represji na *Encyklopedię*, częścią beztraska, z jaką odnosił się do tych drobiazków, stanowiących dziś najżywotniejszą jego spuściznę. I tak, nawet większe utwory Diderota, jak *Kubus fatalista i jego pan*, jak *Bratanek mistrza Rameau*, błąkały się w odpisach po Europie, przechodząc najosobliwsze koleje, zanim wreszcie ukazały się w druku¹; tym bardziej i te drobiazgi, które w formie nawet zachowały na wpół prywatną cechę. Jedne z nich to opowiadania, oparte na rzeczywistych faktach zaczerpniętych z paryskiego towarzystwa, tylko *zageszczone* niejako, udratyzowane talentem pisarza, który bierze je za punkt wyjścia głębokich spostrzeżeń psychologicznych: łatwo zrozumieć, iż te nie mogły się pojawić w druku bez jaskrawej niedyskrecji wobec żyjących osób. Inne to fantazje filozoficzne, w których ten anarchista ducha daje swobodny upust swym rojeniom; a od tych rojeń dziś jeszcze mogłyby niejednemu powstać włosy na głowie (*Przyczynek do podróży Bougainville'a*). To, iż ten utwór, jak również owa tak spokojna i uśmiechnięta

¹nawet większe utwory Diderota (...) błąkały się w odpisach po Europie, przechodząc najosobliwsze koleje, zanim wreszcie ukazały się w druku — jeszcze niedawno pojawiła się w dzienniku „Le Temps” (z 30 marca 1920) wiadomość o niedrukowanym dotąd dialogu filozoficznym Diderota, który po śmierci filozofa wraz z innymi jego papierami złożono w petersburskim Ermitażu. Jest to rozmowa Diderota z opatem Barthelemy, autorem *Podróży młodego Anacharsisa*, na temat Boga, duszy, życia zagrobowego etc., interesująca tym, iż pisarz bezpośrednio wyraża w niej swoje poglądy. Utwór kończy się tym znamionym wyznaniem wiary: „Praca, tak, to los nasz i rola na ziemi. Nieść światło i dobro, ulepszać i pomnażać otrzymane dziedzictwo, oto nasz obowiązek. Dodam: czynić jak najwięcej dobrego, oszczędzać, o ile możemy, cierpienia współżyjącym. Dobroć i praca to moje dwa artykuły wiary. Reszta... Reszta — to znaczy Bóg, dusza i życie przyszłe... Ani w to wierzę, ani nie wierzę... Usuwam te kwestie, trzymam się życia obecnego i uważam, że Spinozą, wszystkie rozmyślania nad rzeczami nadprzyrodzonymi i pośmiertnymi za bezużyteczne, daremne i przygniatające”. [przypis tłumacza]

w swoim zuchwałstwie *Rozmowa filozofa* nie mogły krążyć swobodnie pod rządami ostatnich Ludwików², dostatecznie jest zrozumiałe. Wszystkie te drobiazgi noszą znamiona twórczości Diderota, znane już czytelnikom i amatorom *Kubusia fatalisty*: jego żywość inteligencji, tak pobudzającą do myślenia, tak ciekawie, a niespodzianie oświetlającą każdą kwestię z rozmaitych stron; jego zamiłowanie paradoksu, niecofającego się przed ostatnimi konsekwencjami; jego zdolność czucia, która miejscami przechodzi w znamienne dla swej epoki, a rażącą nas nieco czułościowość; wreszcie ową — również swoistą dla XVIII w. — pieprzną zaprawę, która nieraz w osobliwy sposób miesza się z filozoficznymi tematami.

Mam nadzieję, że jeszcze będę miał sposobność powrócić do twórczości Diderota i oświetlić ją bardziej wyczerpująco; tych kilka słów wystarczy może dla „wprowadzenia w świat” tomiku drobnych pism, strzepniętych z pióra twórcy *Encyklopedii*, gwoli własnej jego rozrywki i wytchnienia.

Kraków, w lipcu 1920

To nie bajka...

Gdy się opowiada, opowiada się *komuś*; jeśli opowiadanie trwa bodaj trochę dłużej, rzadko się zdarza, aby słuchacz od czasu do czasu nie przerwał. Oto czemu w niniejszą relację, która nie jest powiastką albo która jest lichą powiastką, wprowadziłem osobę grającą w przybliżeniu rolę czytelnika.

A wniosek?

— Iż przedmiot tak zajmujący winien był rozpalic wszystkich; napełnić co najmniej przez miesiąc gwarem wszystkie towarzystwa, do znudzenia, do przesytu; dostarczyć tematu tysięcznym dysputom, co najmniej dwudziestu broszurom i kilkuset utworom poetyckim; i że mimo całego talentu, wiedzy i dowcipu autora, skoro jego dzieło nie obudziło żywszego poruszenia, jest mierne, i to bardzo mierne.

— Zdaje mi się wszelako, iż zawdzięczamy mu dość przyjemny wieczór i że lektura ta wywołała...

— Co?... Litanię oklepanych historyjek, którymi obie strony raczyły się wzajem, a które wyrażały jedynie rzecz wiadomą od wieków, mianowicie, iż mężczyzna i kobieta są to dwie nader złośliwe bestie.

— Mimo to zaraza ogarnęła i ciebie i dorzuciłeś swój grosik jak inni.

— Ba, czy człowiek chce czy nie chce, dostraja się do tonu. Wchodząc w towarzystwo, układamy zazwyczaj na progu nawet fizjonomię³ naszą wedle tych, które widzimy; udajemy wesołość, gdy jesteśmy smutni; smutek, gdy mielibyśmy ochotę do śmiechu. Nikt nie chce się okazać czemukolwiek obcym: literat politykuje; polityk metafizykuje; metafizyk moralizuje; moralista mówi o finansach; finansista o literaturze lub geometrii; każdy, raczej niżby miał słuchać albo milczeć, paple o tym, o czym nie ma pojęcia, i wszyscy nudzą się przez głupią próżność lub przez grzeczność.

— Cierpki jesteś.

— Jak zwykle.

— Toteż sędzę, że lepiej uczynię, chowając swą powiastkę na sposobniejszą chwilę.

— To znaczy, zaczekasz, aż mnie nie będzie.

— Nie to.

— Lub obawiasz się, iż mniej będę miał pobłażliwości dla ciebie sam na sam, niżbym jej miał dla kogoś obojętnego w towarzystwie.

— Nie to.

— Bądźże więc tak uprzejmy i powiedz, co właściwie.

— To, iż moja powiastka nie więcej dowodzi niż te, które cię znudziły.

— Cóż robić? Gadaj i tak.

²pod rządami ostatnich Ludwików — ostatnich królów przedrewolucyjnej Francji, współczesnych Diderotowi: Ludwika XVI i jego następcy Ludwika XVII, obalonego przez rewolucję. [przypis edytorski]

³fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

- Nie, nie; masz już dosyć.
- Czy wiesz, że ze wszystkich sposobików, które mają dar doprowadzania mnie do wściekłości, twój jest mi najmniej sympatyczny.
- Jakiż to mój?
- Dać się prosić o rzecz, do której się palisz. Więc dobrze, mój przyjacielu, proszę cię, błagam, abys sobie zrobił tę przyjemność.
- Sobie przyjemność!
- Zaczynaj, na miły Bóg, zaczynaj.
- Postaram się być zwięzły.
- Nie zaszkodzi.

Tu, nieco przez złośliwość, chrząknąłem, splunąłem, rozwinąłem wolno chustkę, wyśiąkałem nos, otworzyłem tabakierkę, zażyłem; wśród tego słyszałem, jak nieborak mrucał przez zęby: „Powiatka może będzie krótka, ale przygotowania są długie...”. Miałem ochotę pod pozorem jakiegoś zlecenia wołać jeszcze na służącego, ale poniechałem tego i rzekłem:

- Trzeba przyznać, że bywają mężczyźni bardzo zacni i kobiety bardzo niegodziwe!
- Ba! Widuje się to, widuje, niekiedy zgoła nie wychodząc z domu. Cóż dalej?
- Dalej, znałem pewną Alzatkę, piękną, ale to tak piękną, iż starzy i młodzi stawali w osłupieniu na jej widok.

— I ja ją znałem; nazywała się pani Reymer.

— W istocie. Pewien człowiek, świeżo przybyły z Nancy, nazwiskiem Tanié, zakochał się w niej śmiertelnie. Był biedny: był to jeden z owych straceńców, których nieczułość rodziców, obarczonych zbyt licznym potomstwem, wypędza z domu i którzy rzucają się w świat, nie wiedząc, co się z nimi stanie; instynkt jakiś powiada im, że nie zdarzy się im los gorszy niż ten, przed którym uchodzą. Tanié, zakochany w pani Reymer, gorejąc namiętnością, która podtrzymywała jego wytrwałość i uszlachetniała w jego oczach wszystkie próby, chwytał się bez odrazy najbardziej uciążliwych i szpetnych zajęć, aby ulżyć biedzie swej ukochanej. W dzień pracował w porcie, o zmroku żebrał po ulicach.

— To było bardzo pięknie, ale to nie mogło trwać!

— Toteż Tanié, zmęczony borykaniem się z nędzą, lub raczej tym, iż więzi w niedostatku uroczą kobietę, obleganą przez bogaczy, którzy naglili ją, aby odprawiła tego nędzarza...

— Co też byłaby uczyniła w dwa tygodnie lub miesiąc później.

— ...i przyjęła ich dostatki, postanowił ją opuścić i pokusić się o zdobycie fortuny za morzem. Krząta się, stara, uzyskuje pozwolenie przeprawy na okręcie królewskim. Nadchodzi chwila odjazdu. Idzie żegnać się z panią Reymer:

— Ukochana — powiada — niepodobna mi nadużywać dłużej twego przywiązania. Powziąłem postanowienie, odjeżdżam.

— Odjeżdżasz!

— Tak...

— I dokąd?...

— Na wyspy. Godna jesteś innego losu, nie mam serca zagradzać ci go dłużej...

(— Poczciwy Tanié!...)

— A co się ze mną stanie?...

(— Obłudnica!)

— Jesteś otoczona ludźmi, którzy zabiegają o twe łaski. Zwracam ci obietnice, zwracam ci zaklęcia. Przyjmij tego, który ci jest najmilszy, wysłuchaj go, proszę cię o to...

— Ach, Tanié, ty mi to radzisz...

(— Daruję ci komedie pani Reymer. Widzę ją, znam ją...)

— Odjeżdżając, wymagam od ciebie jednej tylko łaski, mianowicie, abys nie przyjmowała żadnych zobowiązań, które by nas rozdzielały na zawsze. Przysiąż mi to, aniele mój. W jakiegokolwiek części świata się znajdę, trzeba by wielkiego nieszczęścia, abys bodaj raz na rok nie otrzymała niezłomnych dowodów mego tkliwego przywiązania. Nie płacz...

(— One wszystkie płaczą, kiedy chcą...)

— ...i nie powstrzymuj mnie od zamiaru, którym natchnęły mnie wreszcie wyrzuty mego serca i do którego niechybnie sprowadziłyby mnie znowu.

I oto Tanié odjechał na San Domingo⁴.

— I odjechał w samą porę dla pani Reymer i dla siebie.

— Skądże to wiesz?

— Wiem tak pewnie, jak tylko jest możliwe wiedzieć, że kiedy Tanié radził jej uczynić wybór, już się to stało.

— Ba!

— Opowiadaj dalej.

— Tanié był to człowiek bystry i z głową do interesów. Niebawem dał poznać swe talenty. Powołano go do Naczelnej Rady Przylądka⁵; odznaczył się rozumem i sprawiedliwością. Nie marzył o zdobyciu wielkiej fortuny; pragnął ją tylko zdobyć uczciwie i szybko. Co roku przysyłał część zysków pani Reymer. Wrócił po dziewięciu czy dziesięciu latach (tak, tak, nie zdaje mi się, aby to trwało dłużej...), by złożyć u stóp kochanki szkatułkę zawierającą owoc jego talentów i pracy... Szczęściem dla Taniého, zdarzyło się to w chwili, w której rozstała się właśnie z ostatnim z jego następców.

— Ostatnim?

— Tak.

— Było ich zatem więcej?

— Niewątpliwie.

— Mów dalej.

— Ale może ja nie powiem ci nic, czego byś nie wiedział lepiej ode mnie.

— Cóż to szkodzi? Mów i tak.

— Pani Reymer i Tanié zajmowali dość wykwintne mieszkanie przy ulicy św. Małgorzaty⁶, wprost moich drzwi. Cenilem wysoko Taniého i bywałem w jego domu, gdzie panował jeżeli nie zbytek, to w każdym razie dostatek.

— Mogę cię upewnić, mimo iż nie robiłem rachunków z Reymerką, że miała więcej niż piętnaście tysięcy funtów⁷ renty już przed powrotem Taniého.

— Przed którym ukrywała swój majątek.

— Tak.

— Dlaczego?

— Dlatego że była skąpa i chciwa.

— Niech będzie chciwa; ale skąpa! Kurtyzana skąpa!

— Uplęło już pięć czy sześć lat, przez które kochankowie żyli w najlepszej harmonii.

— Dzięki sprytowi z jednej strony, a bezgranicznej ufności z drugiej.

— Och, to prawda, iż cień podejrzewania nie mógł zagościć w duszy tak czystej jak Taniého. Jedyna rzecz, którą zauważyłem niekiedy, to iż pani Reymer rychło zatarała w pamięci dawny niedostatek; dręczyła ją namiętność zbytku i bogactwa; czuła się upokorzona, iż tak piękna kobieta musi chodzić pieszo...

— Czemuż nie jeździła powozem?

— A blask, strojący występki, przesłaniał jej jego nikkzemność. Śmiejesz się?... Wówczas to pan de Maurepas⁸ powziął myśl stworzenia domu handlowego na dalekiej Północy. Pomyślność tego przedsięwzięcia zależała od pozyskania czynnego i zdolnego człowieka. Minister przypomniał sobie Taniého, któremu w czasie jego pobytu na Przylądku powierzył prowadzenie wielu ważnych spraw i który wywiązał się zawsze ku powszechnemu zadowoleniu. Wyróżnienie to przywiodło Taniého do rozpacz. Był tak zadowolony, tak szczęśliwy przy boku pięknej przyjaciółki! Kochał, posiadał lub mniemał, że posiada jej wzajemność...

— Tak; to ściślej.

Bogactwo, Kobieta

⁴*San Domingo* (fr. *Saint-Domingue*) — dawna francuska kolonia (1659–1804) w zach. części karaibskiej wyspy Hispaniola; ob. terytorium Republiki Haiti. [przypis edytorski]

⁵*Przylądek* — tu: miasto *Cap-Français* (fr.: Przylądek Francuski), od 1711 do 1770 stolica francuskiej kolonii San Domingo; ob. *Cap-Haïtien* w Republice Haiti. [przypis edytorski]

⁶*ulica św. Małgorzaty* — rue Sainte-Marguerite w Paryżu; ob. rue Gozlin. [przypis edytorski]

⁷*funt* — tu: liwr, dawny pieniądz francuski. [przypis edytorski]

⁸*Phéypeaux, Jean-Frédéric, hrabia de Maurepas* (1701–1781) — francuski polityk; minister floty (1723–1749) Ludwika XV, zarządzający marynarką wojenną, koloniami i handlem morskim; główny minister królewski (1774–1781) Ludwika XVI; w 1749 sporządził dla króla raport ze strategią otwarcia stosunków handlowych z koloniami angielskimi przez Kanadę; plan został przyjęty do realizacji. [przypis edytorski]

— Cóż mogło złoto dorzucić do jego szczęścia? Nic. Jednakże minister nalegał. Trzeba się było namyślić, trzeba się było zwierzyć pani Reymer. Zaszedłem tam właśnie pod koniec bolesnej sceny. Biedny Tanié zalewał się łzami.

— Co tobie, przyjacielu? — spytałem.

Odparł, szlochając:

— Ta kobieta!...

Pani Reymer haftowała spokojnie na krosienkach. Tanié zerwał się nagle i wyszedł. Zostałem sam z jego przyjaciółką, która nie tała przede mną tego, co nazywała nierozsądkiem Taniégo. Przesadziła przede mną szczupłość jego mienia; rozwinęła całą sztukę, w jaką inteligencja ludzka umie stroić sofizmaty⁹ ambicji.

— O cóż chodzi? O rozłąkę najwyżej dwu- lub trzyletnią.

— To bardzo długo dla człowieka, którego pani kocha i który panią kocha jak samego siebie.

— On mnie? Gdyby mnie kochał, czyżby się zawahał?

— Ależ czemu pani nie chce mu towarzyszyć?

— Ja? Ani mi w głowie; mimo całego szaleństwa nie przyszło mu na myśl proponować mi tego. Czy wątpi we mnie?

— Nie sędzę.

— Skoro czekałam nań dwanaście lat, może przecież zaufać mi na dwa lub trzy lata. To wyjątkowa sposobność, z tych, które zdarzają się w życiu tylko raz; nie chcę, aby miał kiedyś żalować i wyrzucać mi może, iż przeze mnie ją chybił.

— Tanié nie będzie żalował niczego, póki będzie miał szczęście posiadać pani wzajemność.

— To bardzo pięknie; ale może pan być pewny, iż będzie mu nader miło być bogatym wówczas, gdy ja się zestarzeję. Wadą kobiet jest, że nigdy nie myślą o przyszłości; co do mnie, nie mam tej wady...

Minister był w Paryżu. Z domu do jego pałacu było tylko parę kroków. Tanié poszedł i przyjął zobowiązanie. Wrócił z suchym okiem, ale z ciężkim sercem.

— Pani — rzekł — byłem u pana de Maurepas; zgodziłem się. Pojadę; pojadę, stanie ci się zadość.

— Ach, mój jedyny!...

Pani Reymer odsuwa krosienka, biegnie, zaplata mu ramiona wokół szyi, obsypuje go pieszczotami i czułościami.

— Och, teraz wreszcie widzę, kochasz mnie.

Tanié odparł chłodno:

— Chcesz być bogata...

(— Była bogata, hultajka, dziesięć razy więcej niż zasługiwała!...)

— ...i będziesz. Skoro kochasz złoto, trzeba ci zdobyć złoto!

Było to we wtorek; minister nazaczył wyjazd Taniégo nieodwołalnie na piątek. Zaszedłem go pożegnać w chwili, gdy walczył sam z sobą, gdy silił się wydrzeć z ramion pięknej, niegodnej i okrutnej kochanki. Trudno opisać tę rozpacz, obłąd, agonię; nie widziałem czegoś podobnego... To nie były skargi, to był jeden długi krzyk. Pani Reymer leżała jeszcze w łóżku; Tanié trzymał ją za rękę, powtarzając bez przerwy:

— Okrutna kobieto! Okrutna! Czegóż ci trzeba więcej w dostatku, którego zażywasz obok przyjaciela, kochanka takiego jak ja! Biegłem zdobywać dla niej fortunę w palących krainach Ameryki; żąda, bym znów szukał dla niej skarbów wśród lodów Północy. Mój przyjacielu, czuję, że ta kobieta jest szalona, czuję, że sam jestem bezrozumny, ale mniej mi jest straszne umrzeć niż ją zasmucić. Chcesz, abym cię opuścił, opuszczę cię.

Kłęczał przy łóżku, z ustami przyklejonymi do jej ręki, z twarzą ukrytą w kołdrze; zdławiony jego lament tym bardziej był żaloszny i przejmujący.

Ktoś uchylił drzwi; Tanié podniósł głowę; ujrzał pocztyliona, który przyszedł oznajmić, że pojazd gotowy. Wydał krzyk i znowu utopił twarz w kołdrze. Po chwili milczenia, wstał i rzekł:

— Uściskaj mnie; uściskaj jeszcze raz... nie ujrzysz mnie już.

⁹*sofizmat* — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

Przecucie jego było aż nazbyt prawdziwe. Pojechał. Przybył do Petersburga; w trzy dni później zapadł na febrę¹⁰, z której czwartego dnia umarł.

— Wiedziałem to wszystko.

— Byłeś może jednym z następców Tanięgo?

— Zgadłeś, i ta piękna zbrodniarka przywiodła mnie na krawędź ruiny.

— Biedny Tanié!

— Znajdą się ludzie, którzy go nazwą głupcem.

— Nie będę go bronił, ale życzę im w głębi serca, aby zły los oddał ich w ręce kobiety równie pięknej i równie przewrotnej, jak pani Reymer.

— Mściwy jesteś.

— Ostatecznie, jeżeli zdarzają się bardzo niegodziwe kobiety, a bardzo dobrzy mężczyźni, bywają również kobiety bardzo dobre, a mężczyźni niegodziwi, i to, co opowiem, równie nie jest bajką, jak to, com przytoczył poprzednio¹¹.

— Jestem o tym przekonany.

— Pan d'Hérouville¹²...

— Ten, który żyje jeszcze? General-porucznik armii królewskiej? Ów, który zaślubił przemile stworzenie, zwane Lolotą?

— On sam.

— To człowiek pełen uroku, szczerzy przyjaciel nauk.

— I uczonych. Otóż pan d'Hérouville zajmował się długo historią wojen we wszystkich wiekach u wszystkich narodów.

— Projekt bardzo szeroki.

— Aby go spełnić, skupił koło siebie kilku utalentowanych młodych ludzi, jak na przykład pana de Montucla¹³, autora *Historii nauk matematycznych*.

— Bagatela! Czy dużo miał pracowników tej miary?

— Ten, który zwał się Gardeil, bohater przygody, jaką mam zamiar opowiedzieć, zgoła nie gorszy był w swoim zakresie. Wspólny zapał do greczyzny zbliżył mnie z Gardeilem; czas, wzajemne usługi, skłonność do ustronnego życia, a zwłaszcza sposobność częstego widywania się sprawiły między nami dość bliską zażyłość.

— Mieszkałeś wówczas w Estrapade¹⁴.

— On przy ulicy św. Hiacynta, przyjaciółka zaś jego, panna de La Chaux, na placu św. Michała. Wymieniam ją po nazwisku, ponieważ biedna istota już nie żyje i ponieważ historia ta może jej przynieść tylko zaszczyt w oczach ludzi myślących szlachetnie oraz zjednać podziw, żale i łzy tych, których natura wyróżniła lub pokarała częsteczką tej tkliwości, jaka wypełniała jej duszę.

— Co to?... Głos ci się łamie... płaczesz?

— Zdaje mi się, że widzę jeszcze jej wielkie, czarne oczy, lśniące i słodkie, i że dźwięk jej przejmującego głosu rozlega się w mych uszach i porusza serce... Uroczą, jedyną istotą, nie ma cię już, blisko dwadzieścia lat jak cię nie ma, a serce moje jeszcze się ścisza na twe wspomnienie.

— Kochałeś ją?

— Nie. O La Chaux! O Gardeil! Byliście oboje istnym cudem; ty — kobiecej tkliwości; ty — niewdzięczności męskiej.

¹⁰febra (daw.) — gorączka połączona z dreszczami. [przypis edytorski]

¹¹to, co opowiem, równie nie jest bajką, jak to, com przytoczył poprzednio — opowiadanie, które następuje, jest ścisłym przedstawieniem rzeczywistych faktów. Gardeil, tłumacz dzieł lekarskich Hipokrata, umarł w 1808, licząc 82 lat; doktor Camus urodził się w Paryżu w 1722, umarł w 1772. Sam Diderot był owym świadkiem i powiernikiem miłości i poświęcenia panny de La Chaux oraz niewdzięczności Gardeila. Zachowanie prawdziwych nazwisk tłumaczy się tym, iż opowiadania Diderota, nie wyłączając większych utworów jak *Kubus Fatalista*, *Bratanek mistrza Rameau*, krążyły tylko w odpisach. [przypis tłumacza]

¹²d'Hérouville, Antoine Ricouart (1713–1782) — francuski general-porucznik armii królewskiej, uczyony, współpracownik Encyklopedystów; jego pierwszą żoną była Louise Gaucher (zm. 1765). [przypis edytorski]

¹³Montucla, Jean-Étienne (1725–1799) — francuski matematyk; w 1758 opublikował pierwszą część swojej *Historie des mathématiques*, pierwszej wiarygodnej pracy traktującej o historii matematyki, doprowadzonej aż do XVII w.; po jego śmierci *Historię*... dokończył i wydał w 4 tomach Jérôme Lalande. [przypis edytorski]

¹⁴Estrapade — ob. rue de l'Estrapade, ulica w Paryżu, zaczynająca się od placu o tej samej nazwie; przy rue de l'Estrapade nr 3 mieszkał Diderot od 1747 do 1754, kiedy pisał *Encyklopedię*. [przypis edytorski]

Panna de La Chaux pochodziła z zacnej rodziny. Opuściła dom, aby się rzucić w ramiona Gardeila. Gardeil nie miał nic, panna de La Chaux miała jakiś majątek; pochłonięły go w całości potrzeby i zachcenia Gardeila. Nie żałowała ani strwonionej fortuny, ani splamionego honoru: kochanek zastępował jej wszystko.

— Ten Gardeil był tedy¹⁵ bardzo miły, bardzo powabny?

— Bynajmniej. Mały, opryskliwy, milczący i kostyczny¹⁶ człowieczek; twarz sucha, cera smągła; cała postać wątła i drobna; brzydki, o ile może być brzydka fizjonomia try-skająca inteligencją.

— I oto, co zawróciło głowę czarującej dziewczynie?

— To cię dziwi?

— Zawsze.

— Ciebie?

— Mnie.

— Nie przypominasz już sobie zatem panny Deschamps i rozpaczy, w jaką popadłeś, skoro to ladaco zamknęło ci drzwi?

— Dajmy temu pokój; opowiadaj dalej.

— Mówiłem ci: „Taka jest piękna”. Odpowiadałaś smutno: „Nie”. — „Więc taka rozumna, dowcipna?” — „Zupełnie głupia”. — „Zatem urzekły cię jej talenty?...” — „Ma tylko jeden”. — „A ów rzadki, wzniosły, cudowny talent?...” — „Ten, iż daje mi w swoich ramionach więcej szczęścia, niż go kiedykolwiek znalazłem w objęciach innej”. — Otóż panna de La Chaux, szlachetna, tkliwa panna de La Chaux, wróżyła sobie potajemnie, instynktownie, bezwiednie owo szczęście, które znasz i które każe ci mówić o tej Deschamps: „Jeżeli ta niegodziwa, bezecna będzie uparcie mnie pędzić precz od siebie, biorąc pistolet i palną sobie w łeb pod jej drzwiami”. Mówiłeś tak, czy nie?

— Mówiłem; i nawet dzisiaj nie wiem, czemum tego nie uczynił.

— Przyznaj zatem...

— Wszystko, co zechcesz.

— Mój przyjacielu, najrozsądniejszy z nas może mówić o szczęściu, iż nie spotkał kobiety pięknej lub szpetnej, sprytnej lub głupiej, która by go doprowadziła do domu obłąkanych. Litujmy się nad ludźmi, bądźmy oszczędni w potępianiu; spoglądajmy na ubiegłe lata jako na czas wydarty niebezpieczeństwu, które na nas czyha, i nie ważmy się myśleć bez drżenia o potędze pewnych powabów natury, zwłaszcza dla gorących dusz i płomiennych wyobraźni. To iskra, która padnie przypadkiem na baryłkę z prochem; a palec, gotowy strząsnąć na ciebie lub na mnie tę nieszczęsną iskrę, podnosi się może...

Pan d'Hérouville, pragnąc rychło ukończyć swe dzieło, przywalał robotą współpracowników. Zdrowie Gardeila zaczęło podupadać. Aby ulżyć jego zadaniu, panna de La Chaux nauczyła się po hebrajsku; gdy on spał, trawiła noce na przekładaniu i przepisywaniu hebrajskich pisarzy. Przyszedł czas autorów greckich; panna de La Chaux wydoskonaliła się skwapliwie w tym języku, o którym już miała niejaki pojęcie, i znów w czasie spoczynku Gardeila mozoliła się nad tłumaczeniem i kopiowaniem ustępów z Ksenofonta¹⁷ i Tukidydesa¹⁸. Do greki i hebrajszczyzny przybył niebawem język włoski i angielski. Posiadła angielski tak, iż mogła przełożyć na francuski pierwsze prace Hume'a¹⁹ o metafizyce, dzieło, w którym zawilość przedmiotu pomnaża jeszcze trudności języka. Kiedy zmęczyła się pracą naukową, bawiła się sztychowaniem²⁰ nut. Kiedy lękała się, że kochanek się nudzi, śpiewała. Nie przesadzam nic, świadczę się panem de Camus, doktorem medycyny, który pocieszał ją w strapieniach i wspomagał w niedostatku. Otaczał ją nieprzerwanymi staraniami, odwiedzał na poddaszu, gdzie zapędziła ją nędza, i zamknął jej powieki, skoro zgasła. Ale zapominam jedno z głównych jej utrapień: prześladowanie

¹⁵tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

¹⁶kostyczny — uszczypliwy, złośliwy. [przypis edytorski]

¹⁷Ksenofont z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa; znany m.in. z pamiętnika wojkowego pt. *Wyprawa Cyrusa (Anabaza)*, opisującego drogę powrotną armii 10 tysięcy najemników greckich do ojczyzny przez 1000 mil wrogich krain. [przypis edytorski]

¹⁸Tukidydes (ok. 460–ok. 400 p.n.e.) — grecki historyk i dowódca wojskowy, autor monografii *Wojna peloponeska*; jako pierwszy postulował zasady obiektywizmu i krytycznego podejścia do źródeł w dziejopisarstwie. [przypis edytorski]

¹⁹Hume, Dawid (1711–1776) — szkocki filozof, historyk i pisarz. [przypis edytorski]

²⁰sztychować (daw.) — starannie pisać, kaligrafować. [przypis edytorski]

rodziny, oburzonej publicznym i gorszącym stosunkiem. Posłużono się i prawdą, i kłamstwem, aby gnębić jej cześć i swobodę. Rodzina i księża ścigali ją z dzielnicą w dzielnicę, od domu do domu, i zmusili na kilka lat do samotnego życia w ukryciu. Spędzała dni na tym, iż pracowała za Gardeila. Odwiedzaliśmy ją w nocy; na widok kochanka jej zgryzoty, niepokój pierzchały.

— Jak to, młoda, nieśmiała, tkliwa wśród tylu przeciwności!

— Czuła się szczęśliwa.

— Szczęśliwa!

— Tak; przestała taka być dopiero z chwilą, gdy Gardeil okazał się niewdzięczny.

— Ależ to niepodobna²¹: niewdzięczność miałaby być nagrodą tylu rzadkich przymiotów, tylu dowodów czułości, tylu poświęceń?...

— Tak jest: Gardeil okazał się niewdzięczny. Jednego dnia panna de La Chaux znalazła się sama na świecie, bez czci, bez majątku, bez oparcia. Nie, myślę się: ja zostałem jej jakiś czas. Doktor Le Camus został do końca.

— O mężczyźni, mężczyźni!

— O kim mówisz?

— O Gardeilu.

— Widzisz niegodziwca, a nie widzisz tuż obok zanego człowieka. W ów straszny, bolesny dzień przybiegła do mnie. Było to rano. Błada była jak śmierć. Dowiedziała się o swym losie dopiero w wilię²², a już wyglądała jak obraz cierpienia. Nie płakała, ale widać było, że wylała wiele łez. Rzuciła się na fotel; nie mówiła nic, nie mogła mówić; wyprężyła ramiona, krzyczała.

— Co się stało? — rzekłem. — Umarł?...

— Gorzej: nie kocha mnie, rzuca mnie...

(— Dajże pokój).

(— Nie mogę; widzę ją, słyszę, oczy moje napęlniają się łzami).

— Nie kocha już pani?...

— Nie.

— Rzuca panią?

— Tak. Po wszystkim, co uczyniłam!... Panie, w głowie mi się miesza; miej litość nadę mną, nie opuszczaj... na Boga, nie opuszczaj mnie!...

Mówiąc to, chwyciła mnie za ramię i ścisła ją silnie, jak gdyby ktoś groził, że ją wyrwie i uprowadzi.

— Niech się pan niczego nie lęka.

— Lękam się tylko siebie.

— Co mogę uczynić?...

— Przede wszystkim ratować mnie przede mną samą... Nie kocha mnie już! Męczę go! Nużę! Nudzę! Nienawidzi mnie! Opuszcza mnie! Rzuca! Rzuca!

Tu głębokie milczenie, potem konwulsyjny śmiech, tysiąc razy straszliwszy niż akcenty rozpacz i rżenie agonii. Potem nastąpiły płacze, krzyki, niezrozumiały bełkot, spojżenia obrócone ku niebu, drżenie warg. Trzeba było ten potok bóleści zostawić jego biegowi. Tak też uczyniłem. Zacząłem przemawiać do rozsądku dopiero wówczas, kiedy wydała mi się złamana, otepiła.

— Nienawidzi pani, opuszcza panią! — rzekłem. — I któż to pani powiedział?

— On.

— Pani droga, trochę nadziei, odwagi. Toż nie jest potworem...

— Nie zna go pan; poznasz go. To potwór, jakiego nie ma, nie było na świecie.

— Niepodobna mi wierzyć.

— Zobacz pan.

— Kocha kogo innego?

— Nie.

— Nie dała mu pani powodu do podejrzeń, do niezadowolenia?

— Nic, nic.

— Cóż zatem jest przyczyną?...

²¹niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

²²wilia (daw.) albo wigilia — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; w wilię: w przeddzień. [przypis edytorski]

— Moja bezużyteczność. Nie mam już nic, nie zdam mu się na nic. Jego ambicja; zawsze był ambitny. Upadek mego zdrowia, wdzięków: tyle się wycierpiałam, tyle narodziłam! Nuda, przesytność...

— Ludzie przestają się kochać, ale zostają przyjaciółmi.

— Stałam się dlań czymś nie do zniesienia; obecność moja ciąży mu; widok mój drażni go i rani. Gdyby pan wiedział, com usłyszała! Tak, powiedział mi, że gdyby był skazany na to, aby spędzić ze mną jeszcze dobę, wyskoczyłby oknem.

— Ale ten wstręt nie może być dziełem chwili!

— Cóż ja wiem? On jest z natury tak wzdorczy, obojętny, tak zimny! Tak trudno wyczytać coś w duszy tego pokroju! Tak straszne jest wyczytać wyrok śmierci! Oznajmił mi go, i z jakim okrucieństwem!...

— Nic nie pojmuję, doprawdy.

— Mam pana prosić o jedną łaskę, po to tu przybyłam: czy mi pan jej użyżyc?

— Bezwarunkowo.

— Słuchaj więc. On pana szanuje; pan wiesz wszystko, co mi jest winien. Może wstyd mu będzie pokazać się wobec pana takim, jakim jest. Nie, nie sądzę, aby miał się ni czoło²³ po temu. Jam tylko kobieta, pan jest mężczyzną. Mężczyzna z sercem, z acny i sprawiedliwy, nakazuje szacunek; będzie się z panem liczył. Niech mi pan poda ramię: chcę pomówić z nim przy panu. Kto wie, jaki wpływ może nań wyrzucić moja boleść i pańska obecność. Pójdzie pan?

— Bardzo chętnie.

— Chodźmy...

— Lękam się mocno, iż pani boleść i moja obecność niewiele wskórają. Przesytność! To straszna rzecz w miłości przesytność, i to kobietą!

Posłałam po lektykę, nie była bowiem zdolna iść. Przybywamy do Gardeila, do tego wielkiego nowego domu, jedyne, jaki się znajduje po prawej ręce przy ulicy św. Hiacynta, wchodząc od placu św. Michała. Lektyka zatrzymuje się, otwierają. Czekam. Panna de La Chaux nie wysiada. Zbliżam się i widzę ją drżącą na całym ciele. Zęby dzwonią jak w febrze, kolana biją o siebie.

— Chwilkę, panie, przepraszam, nie mogę... Po co ja tam pójdę? Niepotrzebnie ode- rwałam pana od zajęć; przykro mi bardzo, przepraszam...

Podał mi jej ramię; spróbowała się podnieść, nie mogła.

— Jeszcze chwilę — rzekła — przykrość panu robię, litujesz się nad moim stanem...

Wreszcie opanowała się nieco i wysiadając, dodała cicho:

— Trzeba wejść, trzeba go zobaczyć. Cóż można wiedzieć? Umrę tam może...

Przebyliśmy dziedziniec; jesteśmy u progu; jesteśmy w gabinecie Gardeila. Siedział przy biurku, w robdeszanie²⁴, w krymce²⁵. Pozdrowił mnie ręką, nie przerywając pracy. Podszedł wreszcie i rzekł:

— Przyznaj pan, że kobiety są bardzo uciążliwe. Tysiącrotnie przepraszam za szaleństwa tej damy.

Następnie, zwracając się do biednej, w pół żywej istoty:

— Czego sobie pani jeszcze życzy? Zdaje mi się, że po jasnym i stanowczym sposobie, w jaki rzecz postawiłem, wszystko powinno być skończone. Powiedziałem, że pani już nie kocham; powiedziałem w cztery oczy; chce pani widocznie, abym powtórzył przy świadku. Dobrze zatem, nie kocham już pani. Wygasła w moim sercu miłość dla pani i, dodam, jeżeli to może panią pocieszyć, dla wszelkiej kobiety.

— Ale powiedz, czemu mnie już nie kochasz?

— Nie wiem; wiem tyle, iż zacząłem kochać, nie wiedząc czemu, przestałem, nie wiedząc czemu, i że niepodobieństwem jest, aby to uczucie wróciło. Było to niby urzeczienie, które zrzuciłem z siebie i z którego — winszuję sobie tego — doskonale jestem wyleczony.

— Jakie są moje winy?

²³mieć czoło (daw.) — mieć czelność. [przypis edytorski]

²⁴robdeszan (z fr.) — rodzaj szlafroka: luźny, długi ubiór domowy z welny; popularny w XVIII w. [przypis edytorski]

²⁵krymka — przylegająca do głowy czapeczka bez daszka, często ozdobiona haftem; typowa część stroju Tatarów krymskich, stąd nazwa. [przypis edytorski]

— Żadne.
 — Ma pan w duszy coś do zarzucenia memu postępowaniu?
 — Nic a nic; była pani kobietą najbardziej wierną, uczciwą, czułą, jakiej tylko mężczyzna może pragnąć.
 — Czy zaniechałam czegoś, co było w mej mocy uczynić?
 — Nie.
 — Czy nie poświęciłam dla pana rodziny?
 — W istocie.
 — Majątku?
 — Niezmiernie mi przykro.
 — Zdrowia?
 — Możliwe.
 — Honoru, reputacji, spokoju?
 — Co tylko pani każe.
 — I jestem ci wstrętna?
 — Przykro to mówić, przykro usłyszeć, ale skoro tak jest, trzeba to powiedzieć.
 — Jestem mu wstrętna!... Czuję to i jedynie gardzę sama sobą... Wstrętna!... Ach! Boże!...

Wina, Pogarda

Śmiertelna bladeść rozlała się po jej twarzy, wargi zbieleły, krople zimnego potu zmieszaly się ze łzami ciekącymi spod powiek; oczy miała zamknięte, głowa opadła na fotel, zęby się zacięły, członki wyprężyły się w kurczowym drganiu. Po tym dreszczu nastąpiło omdlenie; zdało mi się, że spełnia się nadzieja, którą wyraziła pod bramą. Trwało to tak długo, iż zląkłem się o nią. Zdjąłem jej płaszczyk, rozluźniłem suknie, bryznąłem wodą na twarz. Otworzyła nieco oczy; z gardła wydarł się głuchy jęk; chciała wyrzec: „Jestem mu wstrętna”, ale zdołała wyjęknać tylko ostatnie zgłoski, po czym wydała przesywający krzyk. Powieki opadły, znowu zemdlała. Gardeil, siedząc chłodno w fotelu, wsparty na łokciu, patrzył obojętnie i pozwalał mi się krzątać koło niej. Rzekłem kilkakrotnie:

— Panie, ona umiera... trzeba by kogoś wezwać.

Uśmiechnął się i wzruszając ramionami, odparł:

— Kobiety mają twarde życie; nie umierają dla takiej drobnostki, to nic, to przejdzie. Nie znasz tych istot: wyprawiają z sobą, co same zechcą...

— Ona umiera, powiadam panu.

W istocie, ciało jej było jak gdyby bez siły i bez życia; osuwała się z fotelu, byłaby runęła na ziemię, gdybym jej nie podtrzymał. Tymczasem Gardeil wstał gwałtownie; przechadzając się po pokoju, mówił niecierpliwie i szorstko:

— Obszedłbym się chętnie bez tej przykrej sceny, ale mam nadzieję, że to ostatnia. Czego, u diabła, chce ta kobieta? Kochałem ją; mógłbym tłuc głową o mur, nic by to nie zmieniło. Nie kocham jej już; wie o tym nareszcie, albo też nie dowie się nigdy. Wszystko skończone...

— Nie, panie, nie wszystko. Jak to, sądzisz, że uczciwy człowiek ma prawo obedrzeć kobietę ze wszystkiego, co miała, i rzucić ją?

— A cóż mam robić? Jestem taki sam nędzarz jak ona.

— Co masz robić? Skojarzyć swoją nędzę z tą, do której ją doprowadziłeś.

— Łatwo to mówić. Jej nie byłoby lepiej, a mnie o wiele gorzej.

— Czy postąpiłbyś tak z przyjacielem, który by ci wszystko poświęcił?

— Przyjacielem? Przyjacielem? Nie wierzę zbyt w przyjaciół, a to doświadczenie nauczyło mnie nie wierzyć w miłość. Żałuję, że nie wiedziałem tego wcześniej.

— I czy słusne jest, aby ta nieszczęsna była ofiarą pańskiej omyłki?

— A kto panu ręczy, że miesiąc, dzień później ja nie stałbym się w równie okrutny sposób ofiarą jej omyłki?

— Co ręczy? Wszystko, co dla pana uczyniła, i stan, w jakim ją widzisz.

— Wszystko co dla mnie uczyniła!... Och, dalibóg, skwitowałem²⁶ się z nią stratą mego czasu.

— Och, panie Gardeil, cóż za porównanie pańskiego czasu i nieopłaconych rzeczy, które ty jej wydarłeś!

²⁶skwitować się (daw.) — wyrównać rachunki. [przypis edytorski]

— Nie zrobiłem nic, nie jestem niczym, mam trzydzieści lat; teraz albo nigdy pora myśleć o sobie i brać te głupstwa tak, jak są tego warte...

Tymczasem biedna kobieta przyszła po trochu do siebie. Dosłyszawszy ostatnie słowa, odparła dość żywo:

— On mówi o stracie swego czasu? Nauczyłam się czterech języków, aby mu ulżyć w pracy; przeczytałam tysiąc tomów; pisałam, tłumaczyłam, kopiowałam dniami i nocami; wyczerpałam siły, zjadłam oczy, spaliłam krew; nabawiłam się dotkliwej choroby, z której nie wyleczę się może nigdy. On nie śmie wyznać przyczyny swego wstrętu: zaraz ją pan pozna.

To mówiąc, zdiera szal, odsłania ramię i pokazując plamę podobną do róży, powiada:

— Oto przyczyna jego odmiany; oto następstwo nocy, które strawiłam na czuwaniu. Przychodził rano, przynosząc zwoje pergaminów. „Panu d’Hérouville — powiadał — bardzo pilno dowiedzieć się, co się tam mieści; trzeba, by ta robota była gotowa na jutro”. I była gotowa...

W tej chwili usłyszeliśmy kroki zbliżające się do drzwi; był to służący, oznajmił przybycie pana d’Hérouville. Gardeil pobladł. Staralem się skłonić pannę de La Chaux, aby poprawiła strój i wyszła.

— Nie — rzekła — nie; zostaję. Chcę zedrzyć maskę z łotra. Poczekam na pana d’Hérouville, pomówię z nim.

— I na co?

— Na nic — odparła. — Ma pan słuszność.

— Jutro żałowałyby pani tego. Niech wszystkie winy zostaną po jego stronie; to zemsta godna pani.

— Ale czy godna jego? Nie widzi pan, że ten człowiek... Chodźmy, panie, chodźmy szybko; nie odpowiadam za to, co bym zrobiła, co bym powiedziała...

W mgnieniu oka panna de La Chaux poprawiła strój i wypadła jak strzała z gabinetu. Pospieszyłem za nią, brama zamknęła się gwałtownie za nami. Później dowiedziałem się, iż Gardeil zabronił odźwiernemu wpuszczać dawnej kochanki.

Odprowadziłem ją do domu; zastałem doktora Le Camus, czekał na nas. Uczucie jego dla tej młodej dziewczyny mało się różniło od jej uczuć dla Gardeila. Opowiedziałem mu nasze odwiedziny; poprzez oznaki gniewu, bóleści, oburzenia...

— Nietrudno było wyczytać, iż ten ujemny rezultat nie był mu zbyt przykry.

— To prawda.

— Oto człowiek. Nie umie zdobyć się na więcej.

— Następnym zerwania była gwałtowna choroba, podczas której dobry, zacny, tkliwy i delikatny doktor otoczył pannę de La Chaux staraniami, jakich by nie miał dla największej damy. Przychodził trzy, cztery razy dziennie. Póki stan był groźny, sypiał w pokoju na składanym łóżku. To prawdziwe szczęście, choroba, gdy przyjdzie w chwili wielkiej zgrzyzoty...

— Zbliżając nas do nas samych, oddala wspomnienie innych. A przy tym pozór, który pozwala oddać się zmartwieniu bez przymusu i zawstydenia.

— Uwagi tej, trafnej zresztą, nie dałoby się zastosować do panny de La Chaux. Gdy przychodziła do zdrowia, obmyślaliśmy jej zajęcia. Osoba ta posiadała tyle dowcipu, wyobraźni, smaku, wiadomości, iż byłaby godna, doprawdy, zasiadać w Akademii²⁷. Tyle się nasłuchiwała naszych metafizycznych dysput, iż najbardziej oderwane przedmioty stały się jej poufale; jakoż pierwszą jej prośbą był przekład *Badani dotyczących rozumu ludzkiego* Hume’a. Przejrzałem tę pracę i w istocie niewiele mi zostało sposobności do poprawek. Przekład ten, wydrukowany w Holandii, spotkał się u publiczności z dobrym przyjęciem.

²⁷Akademia — tu: Akademia Inskrypcji i Literatury Pięknej, francuskie towarzystwo naukowe zajmujące się naukami humanistycznymi, założone w 1663; jego pierwotnym zadaniem było układanie łacińskich napisów, które miały być umieszczane na budowach, pomnikach i medalach upamiętniających ważne wydarzenia za panowania Ludwika XIV; później zakres działalności poszerzono o badania historyczne, archeologiczne i lingwistyczne; od 1795 Akademia Inskrypcji i Literatury Pięknej stanowi jedną z pięciu placówek Instytutu Francji. [przypis edytorski]

Mój *List o głuchoniemych* ukazał się niemal w tym samym czasie. Kilka subtelnych uwag panny de La Chaux w tej materii pobudziło mnie do skreślenia *Przyczynku*²⁸, który jej poświęciłem. Ten *Przyczynek* nie należy do moich najgorszych utworów.

Wesołość panny de La Chaux wróciła nieco. Doktor wydawał dla nas niekiedy mały bankiet i obiady te nie były zbyt smutne. Od czasu rozstania jej z Gardeilem miłość Le Camusa uczyniła nadzwyczajne postępy. Jednego dnia, przy stole, pod koniec obiadu, kiedy wyznawał swe uczucia z całą poczciwością, tkliwością, naiwnością dziecka, a z całą subtelnością wyższego umysłu, panna de La Chaux odparła mu ze szczerością, która niezmiernie mi się spodobała, ale która może nie spodoba się innym:

— Doktorze, niepodobna mieć więcej szacunku niż ja dla pana. Otaczasz mnie dobrocią; byłabym równie czarna jak ów potwór Gardeil, gdybym nie czuła dla ciebie najwyższej wdzięczności. Umysł pański jest mi w najwyższym stopniu sympatyczny. Mówisz mi o swym uczuciu z taką delikatnością i wdziękiem, iż byłoby mi może i przykro, gdybyś przestał o nim mówić. Sama myśl o tym, iż mogłabym postradać pańskie towarzystwo lub być pozbawiona twej przyjaźni, wystarczyłaby, aby mnie unieszczęśliwić. Jesteś najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam; człowiekiem niezrównanej dobroci i słodczy. Nie sądzę, aby serce mogło się dostać w lepsze ręce. Od rana do wieczora przemawiam do mego serca za tobą; ale darmo prawić kazania komuś, kto nie ma ochoty się poprawić. Nie pomaga! Tymczasem pan cierpi, mnie zaś sprawia to okrutną przykrość. Nie znam nikogo, kto by był godniejszy szczęścia, którego pragniesz. Nie wiem, czego bym nie uczyniła, aby cię uczynić szczęśliwym. Wszystko, co mogę, bez wyjątku. Wiesz, doktorze, posunęłabym się... tak, posunęłabym się aż do oddania... aż do tego, włącznie. Chcesz pan, bym ci się oddała? Wystarczy ci powiedzieć słowo. Oto wszystko, co mogę zrobić dla ciebie; ale ty chcesz, abym cię kochała, a tego nie potrafię.

Doktor słuchał, ujmował ją za rękę, całował jej dłoń, zraszał ją łzami; ja zaś nie wiedziałem, czy mam się śmiać czy płakać. Panna de La Chaux знаła dobrze doktora i nazajutrz, kiedy spytałem:

— Ależ, pani, a gdyby doktor wziął panią za słowo?

odparła:

— Dotrzymałabym; ale to było niemożliwe; ofiara moja nie była tej natury, aby ją mógł przyjąć człowiek taki jak on...

— Czemu nie? Na miejscu doktora miałbym może nadzieję, że reszta przyjdzie później.

— Tak; ale gdybyś pan był na miejscu doktora, panna de La Chaux nie byłaby uczyniła tej propozycji.

Przekład Hume'a nie przyniósł jej zbyt wielkich korzyści. Holendrzy drukują, ile kto zapragnie, byleby nic nie płacili.

— Na szczęście dla nas, wobec tych zapór bowiem, jakie u nas stawia się myśli, gdyby chcieli jeszcze płacić autorom, ściągęliby do siebie cały ruch księgarski.

Poradziliśmy jej, aby napisała utwór lżejszej treści, który by przyniósł mniej szacunku, a więcej zysku. Pracowała nad tym kilka miesięcy, po czym przyniosła mi powiastkę historyczną pod tytułem *Trzy faworyty*. Utwór zalecał się lekkością stylu, trafną obserwacją i zajmującą fabułą, ale zupełnie bezwiednie (panna de La Chaux niezdołna była do złośliwości) zawierał pewne rysy mogące się odnosić do kochanki króla, margrabiny de Pompadour²⁹. Nie tailem autorce, iż mimo poświęceń, jakie by uczyniła, bądź łagodząc, bądź skreślając całe ustępy, prawie niemożliwe było puścić tego w świat bez niebezpieczeństwa: przykrość zniweczenia zalet dzieła nie zabezpieczyłaby jej od ujemnych następstw. Uczuła trafność mej uwagi i tym bardziej się zmartwiła. Zaczynał doktor uprzedzać wszystkie jej potrzeby, ale korzystała z jego dobroczynności tym oględniej, im mniej czuła się skłonna do czynnych objawów wdzięczności. Zresztą doktor nie był wówczas bogaty, a jego charakter nie wróżył, aby miał kiedyś zostać. Od czasu do czasu wyjmowała rękopis i mówiła smutno: „I cóż, nie ma zatem sposobu, trzeba, aby pleśniał?”. Dałem jej

²⁸Mój „List o głuchoniemych” ukazał się niemal w tym samym czasie. Kilka subtelnych uwag panny de la Chaux w tej materii pobudziło mnie do skreślenia „Przyczynku” — *List o głuchoniemych* Diderota ukazał się z początkiem 1751; w kilka zaś miesięcy później ów *Przyczynek*, poświęcony pannie de la Chaux. [przypis tłumacza]

²⁹pani de Pompadour, właśc. *Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour* (1721–1764) — faworyta francuskiego króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

osobliwą radę: mianowicie, aby posłać utwór jak jest, nic nie łagodząc, bez zmiany, samej pani de Pompadour, z liścikiem, który by wyłożył pobudki tego kroku. Myśl spodobała się pannie de La Chaux. Napisała list uroczy pod każdym względem, zwłaszcza szczerością, której niepodobna było się oprzeć. Parę miesięcy upłynęło bez wieści; już panna de La Chaux uważała krok swój za daremny, kiedy zjawił się u niej kawaler św. Ludwika³⁰ z odpowiedzią margrabiny. Faworyta chwaliła dzieło, jak było tego warte, dziękowała za poświęcenie, przyznawała możliwość aluzji, nie czuła się obrażona i zapraszała autorkę, aby ją odwiedziła w Wersalu, gdzie (pisała) zastanie kobietę pełną wdzięczności i gotową do wszelkich usług. Wychodząc, poseł zostawił zręcznie na kominku rulon pięćdziesięciu ludwików³¹.

Nagliliśmy ją wraz z doktorem, aby skorzystała z życzliwości pani de Pompadour, ale mieliśmy do czynienia z osobą, której skromność i nieśmiałość równe były talentom. Jak się pokazać w tych łachmanach? Doktor uchylił natychmiast trudność. Po ubraniu przyszły inne pozory, po nich jeszcze nowe. Podróż do Wersalu odwlekała się z dnia na dzień, aż do pory, w której prawie niewłaściwym byłoby ją podjąć. Od dawna już nie wspominaliśmy o tym, kiedy zjawił się ten sam wysłannik z drugim listem, wypełnionym najpochlebniejszymi wymówkami, i drugą gratyfikacją, równej wysokości i ofiarowaną z równą delikatnością. Ten szlachetny postępek pani de Pompadour nie był nawet nikomu wiadomy. Wspomniałem o tym Collinowi, zaufanemu słudze i rozdawcy jej tajemnych łask. Nie wiedział o tym uczynku; chcę wierzyć, że to był niejedyny, jaki kryje grób faworyty. W ten sposób panna de La Chaux ominęła dwa razy sposobność wydobycia się z nędzy. Później przeniosła się gdzieś za rogatki³², straciłem ją zupełnie z oczu. Dowiedziałem się tylko, że reszta jej życia była pasmem samych zgryzot, chorób i nędzy. Rodzina zamykała uparcie przed nią drzwi. Daremnie prosiła o wstawiennictwo tych świętych osób, które ją prześladowały z taką gorliwością.

— To w porządku.

— Doktor nie opuścił jej. Umarła na słomie, na poddaszu, podczas gdy tygrys z ulicy św. Hiacynta, jedyny kochanek, jakiego miała, kurował ludzi w Montpellier czy w Tuluzie, ciesząc się dostatkiem, zasłużoną sławą talentów i przywłaszczoną sławą uczciwego człowieka.

— I to mniej więcej w porządku. Jeżeli zdarzy się dobry i zacny Tanié, Opatrzność zsyła go takiej Reymerce; jeżeli zdarzy się dobra i zacna de La Chaux, stanie się łupem takiego Gardeila, iżby wszystko było jak najlepiej.

Ale, powie ktoś, lekkomyślne jest wydawać stanowczy sąd o charakterze z jednego postępku. Tak surowe prawidło uszczupliłoby liczbę zacnych ludzi do tego stopnia, iż zostałyby ich na ziemi mniej, niż Ewangelia przypuszcza wybranych w niebie³³. Można być niestałym w miłości, niezbyt nawet sumiennym z kobietami, nie będąc przez to samo wyzutym z honoru i uczciwości; nikt nie jest panem ani wstrzymania miłości, kiedy się rozpala, ani przedłużenia jej, gdy gaśnie; dosyć już widzimy na każdym kroku ludzi zasługujących na miano łajdaków, aby jeszcze wymyślać urojone zbrodnie, które mnożą ich liczbę w nieskończoność. Spyta mnie kto, czym nigdy nie zdradził, nie oszukał, nie rzucił bez powodu żadnej kobiety. Gdybym chciał odpowiedzieć na te pytania, odpowiedź moja nie zostałaby znowuż bez odpowiedzi; wszczęłaby się dysputa trwająca do sądnego dnia. Ale połóż rękę na sumieniu i powiedz mi, panie obrońco niewiernych i zwodzicieli, czy wziąłbyś pana Gardeil za przyjaciela?... Wahasz się. To mi wystarcza; proszę Boga, aby miał w świętej opiece kobietę, której zapragniesz przedłożyć swe hołdy.

³⁰kawaler św. Ludwika — mężczyzna odznaczony dawnym francuskim Orderem Świętego Ludwika, przyznawanym za zasługi wojenne, nazwanym na cześć króla Ludwika IX Świętego. [przypis edytorski]

³¹ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]

³²rogatka — dawny posterunek na granicy miasta, na którym pobierano opłaty za wjazd; przen. granica miasta. [przypis edytorski]

³³mniej, niż Ewangelia przypuszcza wybranych w niebie — wg *Apokalipsy św. Jana* ma ich być 144 tysiące (Ap 7,2–4). [przypis edytorski]

Przyczynek do podróży Bougainville'a

(PISANE W R. 1772, OGŁOSZONE DRUKIEM W R. 1798)

PODRÓŻ DOKOŁA ŚWIATA³⁴

dokonana przez fregatę królewską *La Boudouse* i statek *l'Etoile* w latach 1766, 1767, 1768, 1769 pod dowództwem pana de Bougainville

Dzieło przypisane jest królowi; poprzedza je ustęp, w którym autor zdaje sprawę ze wszystkich podróży podjętych dokoła świata. Pan de Bougainville jest pierwszym Francuzem, który pokusił się o tę trudną i niebezpieczną przeprawę. Młode lata strawił na studiach matematycznych, połączonych raczej z siedzącym trybem życia. Nielatwo zrozumieć, w jaki sposób od spokoju i swobody ustronnego i poświęconego medytacji obyczaju można przejść do chęci podróżowania; chyba że ktoś zechce uważać statek za pływający dom, na którym człowiek przebywa olbrzymie przestrzenie, unieruchomiony w bardzo szczupłym zamknięciu, przebiegając morze na desce, tak jak przestworza wszechświata na ziemi. Druga pozorna sprzeczność między usposobieniem pana de Bougainville a jego zamiarem to jego zamiłowanie do uciech. Lubi kobiety, widowiska, wykwintne biesiady; żyje w wirze świata, poddając mu się z równą swobodą co kaprysom żywiołu, na którym kołysał się tak długo. Jest miły, wesoły, prawdziwy Francuz, obciążony z jednej strony *Traktatem o rachunku całkowym i różniczkowym*, z drugiej *Podróżą dokoła świata*. Miał wszelkie potrzebne wiadomości, aby wyciągnąć korzyść ze swej długiej wędrówki; filozoficzne spojrzenie, stanowczość, odwagę, szeroki horyzont, szczerość, rzut oka, który ogarnia rzecz i skraca czas spostrzeżeń; ostrożność, cierpliwość; pragnienie widzenia, pouczenia się i stania się użytecznym; wiedzę matematyczną, mechanikę, znajomość nauk przyrodniczych, geometrii i astronomii.

Korzyść jego podróży można sprowadzić do trzech głównych punktów: lepsza znajomość naszej starej siedziby i jej mieszkańców, większe bezpieczeństwo mórz, które przebiegł z sondą w rękę, i większa ścisłość map. Marynarze i geografowie nie mogą tedy ominąć jego dzieła. Pisane jest bez przesady, zainteresowanie płynie wyłącznie z samej rzeczy, z prawdy i prostoty. Z rozmaitych cytatów starożytnych widać, że ów podróżnik miał Wergilego³⁵ w głowie albo w walizce.

Pan de Bougainville wyrusza z Nantes, przerzyna Ocean aż do Cieśniny Magellana, wpływa na Ocean Spokojny, przewija się wśród wysp tworzących ów olbrzymi archipelag zawarty między Filipinami a Nową Holandią³⁶, ociera się o Madagaskar, Przylądek Dobrej Nadziei, zamyka koło przez Atlantyck, opływa Afrykę i przybija do lądu w Saint-Malo.

Nie byłbym nigdy uwierzył, że zwierzęta zbliżają się do człowieka bez obawy, że ptaki siadają na nim, gdy nie znają niebezpieczeństwa tej poufałości; pan de Bougainville nie pozwala wątpić o tym.

Człowiek mógł dostać się z lądu stałego na wyspę, ale w jaki sposób dostały się tam pies, jeleń, sarna, wilk, lisy?

Wzywam wszystkie morskie potęgi, aby wysyłały do zamorskich posiadłości jedynie ludzi dobroczynnych, uczciwych, ludzkich obywateli, zdolnych współczuć z niedolami podróżnika, który nablądziwszy się miesiące całe między niebem a ziemią, między życiem a śmiercią, skolatany przez burze, zagrożony po sto razy zagładą przez rozbicie, chorobę, brak chleba lub wody, przybywa na strzaskanym statku, wycieńczony znużeniem i nędzą,

³⁴*Podróż dokoła świata* — pan de Bougainville ogłosił sprawozdanie ze swojej podróży w r. 1771. W tym samym roku skreślił Diderot tę notatkę, aby ją później rozwinąć jako *Przyczynek do podróży Bougainville'a*. Oba utwory krążyły tylko rękopiśmiennie, jak większość pism Diderota z ostatniego okresu jego życia. [przypis tłumacza]

³⁵*Wergiliusz* a. *Wergiliusz*, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta, autor m.in. *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian, którego pierwsza część opowiada o morskiej podróży Eneasza, jego rodziny i towarzyszy, tułających się po morzach. [przypis edytorski]

³⁶*Nowa Holandia* — dawna nazwa Australii, w 1644 nadana zach. wybrzeżu tego kontynentu przez holenderskiego odkrywcę Abła Tasmana; używana do poł. XIX wieku. [przypis edytorski]

aby się rzucić do stóp potwora ze spiżu; i oto ten odmawia mu koniecznej pomocy lub daje niemilosiernie na nią czekać! Takie okrucieństwo to zbrodnia godna surowej kary.

Pan de Bougainville prześlizguje się bardzo zręcznie i bezstronnie koło wypędzenia jezuitów z Paragwaju³⁷, którego to wydarzenia był świadkiem. Nie mówi o tym wszystkiego, co wie; niemniej widoczne jest, że ci okrutni Spartanie³⁸ w sutannach postępowali ze swymi indyjskimi³⁹ niewolnikami tak jak z helotami⁴⁰ postępowano w Lakonii⁴¹. Skazywali ich na wytężającą i nieustanną pracę; karmili się ich potem; nie zostawiali im żadnej własności; trzymali ich w ciemnocie i zabobonie; kazali sobie świadczyć najgłębszą cześć i kroczyli wśród tych biedaków z batem, którym ćwiczili, nie bacząc na wiek i płeć. Usunęli się chytrze spod powagi monarszej: jeszcze sto lat, a wygnanie ich byłoby niemożliwe lub też stałoby się przyczyną długiej wojny.

Pan de Bougainville widział w Ziemi Ognistej⁴² Patagończyków, którymi kapitan Byron⁴³ i doktor Maty⁴⁴ narobili tyle hałasu⁴⁵; otóż są to poczciwi ludzie, którzy ściskają przybysza, wołając „*chaua*”, silni i krzepcy, ale nie przerastający pięciu stóp i sześciu cali⁴⁶, ogromni jedynie swą barczystą postawą, wielkością głowy oraz grubością członków. W jaki sposób człowiek, mający z natury pociąg do cudowności, miałby widzieć rzeczy tak, jak są, skoro trzeba mu jakąś nadzwyczajnością usprawiedliwić trud, jaki sobie zadał, aby je oglądać? Wśród historyków podróżnicy, jak wśród literatów erudyci, muszą być uważani za najbardziej łatwowiernych i naiwnych: kłamią, przesadzają, oszukują, i to bez złej wiary.

³⁷wypędzenie jezuitów z Paragwaju — w XVII w. w uzgodnieniu z hiszpańskim gubernatorem kolonialnym jezuiti założyli w Paragwaju ok. 30 osiedli misyjnych, zamieszkiwanych przez łącznie 150 tys. miejscowych Indian Guarani i zorganizowanych w rodzaj federacyjnego quasi-państwa (tzw. republika Guarani), w którym zakonnicy sprawowali władzę duchowną i świecką. W 1767 król Hiszpanii Karol III wygnał jezuitów ze swego kraju i wszystkich kolonii, w tym paragwajskich. Wcześniej wygnały ich Portugalia (w 1759) i Francja (w 1764), w 1768 Parma; w 1773 papież Klemens XIV rozwiązał zakon. [przypis edytorski]

³⁸Spartanin — pełnoprawny obywatel starożytnego miasta-państwa Sparty (Lacedemonu), przedstawiciel klasy panującej. [przypis edytorski]

³⁹indyjski (daw.) — indiański, związany z Indianami. [przypis edytorski]

⁴⁰heloci — niewolnicy państwowi w Sparcie; warstwa społeczna, do której należeli potomkowie podbitych mieszkańców Mesenii i Lakonii; nie mieli żadnych praw, stanowili własność państwa i podstawową siłę roboczą na spartańskiej wsi. [przypis edytorski]

⁴¹Lakonia — kraina hist. w pld.-wsch. części Płw. Peloponeskiego, stanowiąca główną część państwa spartańskiego, ze stolicą w Sparcie. [przypis edytorski]

⁴²Ziemia Ognista — archipeląg u pld. wybrzeży Ameryki Południowej, oddzielony od kontynentu Cieśniną Magellana. [przypis edytorski]

⁴³Byron, John (1723–1786) — brytyjski oficer marynarki i odkrywca; wysłany z misją na Atlantyk i Pacyfik, opłynął świat (1764–1766); relacja z tej podróży ukazała się drukiem pt. *Voyage round the world, in his Majesty's ship the Dolphin, commanded by the Honourable Commodore Byron, in which is contained, a faithful account of the several places, people, plants, animals, &c. seen on the voyage, and, among other particulars, a minute and exact description of the straits of Magellan, and of the gigantic people called Patagonians, together with an accurate account of seven islands lately discovered in the South Seas* (Podróż dookoła świata na statku Jego Królewskiej Mości Delfin, dowodzoną przez szanownego komandora Byrona, w której zawarta jest wierna relacja o wielu miejscach, ludziach, roślinach, zwierzętach etc., widzianych podczas podróży, oraz między innymi szczegółowy i dokładny opis Cieśniny Magellana i gigantycznego ludu zwanego Patagończykami, wraz z dokładnym opisem siedmiu niedawno odkrytych wysp na Morzu Południowym). [przypis edytorski]

⁴⁴Maty, Matthew (1718–1776) — holenderski lekarz i pisarz pochodzenia hugenockiego, po migracji do Anglii sekretarz Towarzystwa Królewskiego (od 1765), główny bibliotekarz British Museum (od 1772). [przypis edytorski]

⁴⁵Patagończyków, którymi kapitan Byron i doktor Maty narobili tyle hałasu — dawni podróżnicy twierdzili, że mieszkańcy Patagonii są ogromnego wzrostu: jako pierwszy Antonio Pigafetta, towarzysz podróży Magellana dookoła świata (1519–1522), wspominał o Patagończyku tak wysokim, że zwykli ludzie sięgali mu zaledwie do pasa. W 1766 brytyjski oficer marynarki John Byron po powrocie z ekspedycji morskiej poinformował zwierzchników o patagońskich tubylcach mierzących 9 stóp (270 cm) wzrostu. Matthew Maty, sekretarz brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego, powiadomił listownie Lalandego, prezesa Francuskiej Akademii Nauk, o rewelacjach Byrona dotyczących patagońskich gigantów i o dyskusji na ten temat na jednym z posiedzeń Towarzystwa; list ukazał się drukiem (*Lettre Au Docteur Maty Secrétaire de La Societe Royale de Londres, Sur Les Geants Patagons*, 1767) i wzbudził zdumienie w Paryżu, aż francuski przyrodnik La Condamine w publicznym komentarzu w „Journal encyclopédique” uznał opowieści o gigantach za bajkę. [przypis edytorski]

⁴⁶pięciu stóp i sześciu cali — w dawnym systemie miar francuskich stopa (*pied*) to jednostka miary wynosząca 32,48 cm, zaś cal (*pouce*) 2,71 cm, francuskich pięć stóp i sześć cali było więc równe ok. 180 cm; w systemie anglosaskim stopa (*foot*) wynosi 30,48 cm, zaś cal (*inch*) 2,54 cm, więc pięć stóp i sześciu cali w tym systemie to ok. 168 cm. [przypis edytorski]

Dzieło pana de Bougainville przedstawia w wielu miejscach człowieka dzikiego tak głupim, iż arcydzieła przemysłu⁴⁷ ludzkiego nie wzruszają go, tak samo jak wielkie zjawiska przyrody; zawsze widywał te fenomeny; nie myśli o tym; nie cuduje się im; brak mu elementarnych pojęć, które by go nauczyły prawdziwie szacować dzieła sztuki. Okrucieństwo, jakie spotyka się u nich niekiedy, może mieć źródło w codziennej potrzebie obrony od dzikich zwierząt. W ustronnych okolicach, gdzie nic nie mąci spokoju i bezpieczeństwa, odznaczają się słodyczą i niewinnością. Wszelka wojna rodzi się ze wspólnych roszczeń do jednej własności; tygrys ma wspólną pretensję z człowiekiem do posiadania lasów i to jest najstarszy, pierwszy spór; człowiek ma wspólną pretensję z drugim człowiekiem do pola, którego kraniec każdy z nich zajmuje.

Jeżeli rzucicie okiem na Wyspę Lansjerów⁴⁸, nie możecie się wstrzymać, aby nie spytać, co mogło tam umieścić tych ludzi? Jaka łączność wiąże ich z łańcuchem innych istot? w jaki sposób mogą się rozmnażać na wyspie posiadającej nie więcej niż milę⁴⁹ średnicy? Pan de Bougainville nie umie tego wyjaśnić. Odpowiedziałbym na ostatnie pytanie, iż mordują się albo zjadają wzajem, lub też jakieś zabobonne prawo wstrzymuje ich mnożność, lub wreszcie giną pod nożem kapłana. Odpowiedziałbym jeszcze, iż z czasem pomieszczono niewątpliwie punkt honoru w tym, aby się dać zarzynać; wszystkie urządzenia społeczne i narodowe utrwalają się i wyradzają z czasem w nadnaturalne i boskie prawa; na odwrót, wszystkie prawa nadnaturalne i boskie umacniają się i uwieczniają, wyradzając się w prawa społeczne i narodowe. Jest to dla szczęścia i oświaty rodzaju ludzkiego jedna z najbardziej oplakanych palingenez⁵⁰.

Tajemnica odsalania wody morskiej za pomocą przyrządu Poissonniera⁵¹ jest tedy odkryciem bardzo istotnej użyteczności. Cieszy mnie to; w ciągu doby można uzyskać bezczulkę słodkiej wody.

Ach, panie de Bougainville, oddał swój okręt od brzegu niewinnych i błogosławionych Tahitów⁵²; są szczęśliwi, możesz jedynie zaszkodzić ich szczęściu. Idą za zmysłem natury, a ty zatrzasz w nich ten dostojny i święty charakter. Wszystko należy do wszystkich, ty wniesiesz między nich złowrogie rozróżnienie mego i twego; żony i córki są im wspólne, a ty rozpalisz wśród nich szalę miłości i zazdrości. Są wolni, a oto ty wkładasz w szklaną butelkę obłudne tytuły ich przyszłego niewolnictwa. Obejmujesz w posiadanie ich kraj, jak gdyby nie należał do nich; pomyśl, iż równie niesprawiedliwy, równie szalony jesteś, wypisując na mosiężnej tablicy: „Ten kraj jest nasz”, dlatego żeś na nim postawił stopę, co gdyby Tahita wylądował na naszym brzegu i postawiwszy na nim nogę, wyrzył na którejś z naszych skał lub na naszym dębie: „Ten kraj należy do mieszkańców Tahiti”. Jesteś silniejszy; cóż to znaczy? Krzyczysz przeciw hobbizmowi⁵³ społecznemu, a praktykujesz go w stosunku do obcego narodu. Handlujcież z nimi, kupujcie ich płody, zawieźcie im wasze, ale nie zakuwajcie ich w łańcuchy. Ten człowiek, którym rozrządzacie jak bydłkiem lub rośliną, jest dziećciem natury jak wy. Jakie prawo macie nad nim? Zostawcie mu jego obyczaje: uczciwsze są i mądrzejsze niż wasze. Nieświadomość jego warta więcej niż cała wasza wiedza; na nic mu się nie zda wasza oświata. Nie znał plugawej

Kolonializm

⁴⁷przemysł (daw.) — przemysłowość, pomysłowość; wytwórczość, rzemiosło. [przypis edytorski]

⁴⁸Wyspa Lansjerów (fr. *L'Île des Lanciers*) — dawna francuska nazwa niewielkiej koralowej wyspy Akiaki, we wsch. części archipelagu Tuamotu pośrodku Pacyfiku, w ob. Polinezji Francuskiej, nadana w 1768 przez jej pierwszego europejskiego odkrywcę, Louisa Antoine'a de Bougainville. [przypis edytorski]

⁴⁹mila — dawna miara odległości o różnej wartości; mila francuska (*lieue*) była równa ok. 4 km. [przypis edytorski]

⁵⁰palingeneza (z gr.: ponowne narodzenie) — odradzanie się świata a. istot żywych; termin używany w filozofii, teologii i biologii, np. u staroż. historyka Józefa Flawiusza (*Starożytności żydowskie* XI 3.9) na określenie odrodzenia się narodu żydowskiego po powrocie z niewoli babilońskiej. [przypis edytorski]

⁵¹Poissonnier, Pierre-Isaac (1720–1798) — francuski lekarz i chemik, członek Akademii Nauk i Kolegium Królewskiego; w 1763 wynalazł urządzenie do odsalania wody morskiej, które Bougainville wykorzystał podczas swojej podróży dookoła świata. [przypis edytorski]

⁵²Tahitowie — dziś: Tahitańcy, rdzenna ludność wyspy Tahiti, w płd. części Oceanu Spokojnego, odłam Polinezyjczyków. [przypis edytorski]

⁵³hobbizm — system poglądów angielskiego filozofa i myśliciela społecznego Thomasa Hobbesa (1588–1679), autora dzieła *Lewiatan*, prezentującego m.in. teorię, że walka każdego z każdym to naturalny stan człowieka, zaś państwa w wyniku zawarcia umowy społecznej między wolnymi ludźmi, dzięki której zyskują bezpieczeństwo przez rezygnację z prawa do używania przemocy na rzecz suwerena, któremu przekazano władzę. [przypis edytorski]

choroby⁵⁴, wyście mu ją zanieśli; niebawem rozkosze jego będą haniebnie zatrute. Nie znał zbrodni ani rozpusty; dziewczęta poddawały się pieszczotom młodych ludzi w obecności rodziców, w kręgu niewinnych mieszkańców, przy dźwięku fletni, wśród tańców; a wy chcecie zatruć ich dusze swymi niedorzecznymi i fałszywymi poglądami, obudzić w nich świadomość występku za pomocą urojonych pojęć wstydu. Kryjcie się w ciemnościach ze skażoną towarzyszką waszych uciech, ale pozwólcie dobrym i prostym Tahitom rozmnażać się bez wstydu, w obliczu nieba, w biały dzień. Ledwie zjawiliście się u nich, stali się złodziejami; ledwie stąpiliście na ich ziemię, zrumieniła się krwią. Tahite, który przyjął was, wołając: „Tayo, przyjaciel, przyjaciel”, zabiliście; i czemuście go zabili? Dlatego, że go skusił blask europejskich błyskotek. Dawał wam swoje owoce, dom, żonę, córkę, a wyście go zabili za kawałek szkiełka, który wam ściągnął⁵⁵. Widzę tych Tahitów, jak chronią się w góry, zdęci grozą i lękiem; gdyby nie czcigodny starzec, który was osłania, w jednej chwili wymordowałiby was wszystkich. O, czcigodny ojciec tej licznej rodziny, jak ja cię podziwiam, jak ja cię sławię! Kiedy rzucasz wzgardliwe spojrzenia na tych cudzoziemców, nie zdradzając ani dziwu, ani niepokoju, ani obawy, ani ciekawości, twoje milczenie, twarz twoja pełna zadumy i troski, aż nadto osłaniają twoją myśl: wzdychasz w głębi serca nad zachodem pięknych dni swego kraju. Pociesz się: dochodzisz kresu, nie ujrzysz już klęski, którą przeczuwałeś!

Przechadzacie się, ty i twoi ludzie, mości de Bougainville, po całej wyspie, wszędzie was podejmują, korzystacie ze wszystkiego, nikt wam nie stawia tamy; żadne drzwi nie są wam zamknięte, ponieważ użytek drzwi jest nieznany; zapraszają was, siadacie; roztaczają pod wami całe bogactwo kraju. Chcecie dziewcząt? Nie porywajcie ich; oto matki prowadzą je ku wam całkowicie nagie; oto chaty pełne mężczyzn i kobiet; oto jesteście posiadaczem młodej ofiary obowiązków gościnności. Zaścielają wam ziemię liśćmi i kwiatami, grajkowie nastroili instrumenty, nic nie zamąci słodyczy waszych uścisków; dziewczę odpowie im z całą swobodą; rozlega się hymn, hymn, który zagrzewa cię, abyś był mężczyzną, zachęca twą kochankę, aby była kobietą, kobietą uległą, rozkoszną i tkliwą; i oto, wyszedłszy z objęć tej kobiety, zabiłeś jej przyjaciela, brata, może ojca! Wreszcie oddalacie się z Tahiti, słyszycie żegnania dobrych i prostodusznych mieszkańców; obyście mogli i wy, i wasi współobywatele, i inni mieszkańcy Europy znaleźć śmierć w odmętach morskich, nim powrócicie tu znowu! Od świtu spozostzegają, iż narządacie żagle; rzucają się na was, ściskają was, płaczą. Płaczcie, nieszczęśliwi Tahici, płaczcie; ale płaczcie nad przybyciem, a nie nad odjazdem tych ambitnych, zepsutych i złych ludzi. Kiedyś poznacie ich lepiej; kiedyś przybędą z krucyfiksem w jednej dłoni, a sztyltem w drugiej, mordować was lub zmusić, byście przyjęli ich obyczaj i wiarę; jednego dnia znajdziecie się pod ich jarzmem, prawie równie nieszczęśliwi jak oni.

Pan de Bougainville wziął z sobą na pokład młodego krajowca; za pierwszym lądem, jaki Tahita ujrzał, sądził, że to ojczyzna podróżnika. Aoturu (to imię Tahity) nie przestał wzdychać za swym krajem; jakoż pan de Bougainville odesłał go, pokrywwszy cały wydatek i uczyniwszy co można dla zapewnienia mu bezpieczeństwa podróży. O Aoturu, jakże rad⁵⁶ będziesz ujrzeć ojca, matkę, braci, siostry, kochankę i ziomek! Co im opowiesz o nas?

Kawaler de Bournaud, towarzysz podróży pana de Bougainville, miał służącego nazwiskiem Barre. Gdy wylądowano na wyspie Tahiti, krajowcy otaczają Barrego, krzyczą, że to kobieta, i gotują się wyświadczyć jej honory należne płci. Barre była to w istocie dziewczyna rodem z Burgundii, sierota, która przebrała się za mężczyznę, skuszona chętką podróży naokoło świata. Nie była ani ładna, ani brzydka; miała dwadzieścia sześć czy siedem lat i odznaczała się przez cały czas podróży wielką odwagą i najskrupulatniejszą obyczajnością.

Pan de Bougainville chwali wielce sposoby, za pomocą których Holendrzy zapewnili sobie wyłączny handel korzeniami, trzcina cukrową, goździkami i muszkatem: najpierw, zakupując liście z drzew, które to drzewa, obdzierane przez trzy lata, musiały w końcu zginać; następnie, niszcząc dokoła wszystkie szczepy i zamykając je w ogrodzeniu dość

⁵⁴plugawa choroba — choroba weneryczna, przenoszona drogą płciową. [przypis edytorski]

⁵⁵ściągać (pot.) — zabierać po kryjomu cudzą własność; kraść. [przypis edytorski]

⁵⁶rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

szcuple, aby go można było upilnować. Pierwsza próba wydarcia im tego bogactwa musi się udać; dziw jest, iż nie podjęto jej w ciągu dwóch lat.

Do opisu podróży pan de Bougainville dołączył słowniczek języka Tahiti, z którego widzimy, iż alfabet tego ludu nie posiada ani *a*, ani *c*, ani *d*, ani *f*, ani *g*, ani *q*, ani *x*, ani *y*, ani *z*⁵⁷, co tłumaczy, czemu Aoturu, który był już w pewnym wieku, nie mógł zgoła nauczyć się naszej mowy, w której było zbyt wiele nowych dźwięków dla jego mało giętkich organów.

Po tym słowniku mieści się kilka uwag pana de Péirere⁵⁸, tłumacza królewskiego, który tym bardziej usprawiedliwia młodego Tahitę.

Oto jedyna podróż, której czytanie obudziło we mnie pociąg do obcych ziem. Dotąd ostatecznym wynikiem moich rozważań było, że nigdzie człowiekowi nie jest lepiej niż u siebie.

Pomówię z okazji podróży pana Anquetil⁵⁹ do Indii o duchu podróży, których nie jestem wielkim zwolennikiem, i przytoczę swoje racje. Nie rozwiodłem się nad najważniejszymi szczegółami tej podróży dokoła świata, ponieważ dotyczą prawie wyłącznie spostrzeżeń nautycznych⁶⁰, astronomicznych i geograficznych, równie ważnych dla poznania globu i bezpieczeństwa podróżników, jak opowieści wypełniające dzieła innych podróżników ważne są dla poznania człowieka, ale mniej od tych drugich zabawne. Aby mieć z nich korzyść, trzeba udać się do samego dzieła pana Bougainville, do którego odsyłam, ostrzegając wszelako, iż niewiele zeń skorzysta, kto nie jest oswojony z językiem marynarzy, dla których, zdaje się, autor szczególnie je przeznaczył. Tak wnoszę z małego jego starania o to, aby tę lekturę uczynić łatwą dla innych.

⁵⁷alfabet tego ludu nie posiada ani *a*, ani *c*, ani *d*, ani *f*, ani *g*, ani *q*, ani *x*, ani *y*, ani *z* — faktycznie w alfabecie tahitańskim występuje tylko pięć samogłosek (jedną z nich jest „a”) oraz dziewięć spółgłosek (jedną z nich jest „f”). [przypis edytorski]

⁵⁸Péirere, Jacob Rodrigue, port.: *Jacob Rodrigues Pereira* (1715–1780) — żydowski uczonec z Portugalii, osiadły we Francji, poliglota, jeden prekursorów edukacji głuchoniemych i logopedii; w 1772 opublikował słownictwo tahitańskie do *Podróży* Bougainville’a, po tym, jak nauczył się tego języka od pierwszego Tahitańczyka, który w 1769 przepłynął na pokładzie europejskiego statku. [przypis edytorski]

⁵⁹Anquetil-Duperron, *Abraham Hyacinthe* (1731–1805) — francuski podróżnik i orientalista, pierwszy zawodowy francuski indolog; w latach 1755–1761 podróżował po Indiach, gdzie zebrał liczne rękopisy tekstów w języku awestyjskim i dzieł tradycji zoroastryjskiej; w 1771 opublikował w trzech tomach *Zend-Awestę*, najstarsze europejskie tłumaczenie *Awesty*. [przypis edytorski]

⁶⁰nautyczny — związany z nawigacją morską, żeglarstwem. [przypis edytorski]

PRZYCZYNEK DO PODRÓŻY BOUGAINVILLE'A

czyli *Dialog pomiędzy A. i B. o niewłaściwości wiązania pojęć moralnych z pewnymi czynnościami fizycznymi, które ich nie znoszą.*

At quanto meliora monet, pugnantiæque istis,
Dives opis natura suae, tu si modo recte.
Dispensare velis, ac non fugienda petendis
Immiscere: tuo vitio, rerumne labores,
Nil referre putas? ⁶¹

*Horat. Satir. lib. I, sat. 2, v. 73 et seq.*⁶²

I. SĄD O PODRÓŻY BOUGAINVILLE'A

A.: To wspaniałe gwieździste sklepienie, pod którym spotkaliśmy się wczoraj i które zdawało się uręczać piękny dzień, nie dotrzymało słowa.

B.: Cóż można wiedzieć?

A.: Mgła jest tak gęsta, iż zasłania widok pobliskich drzew.

B.: To prawda; ale jeżeli ta mgła, która zajmuje niższą część atmosfery jedynie dlatego, iż jest ona dostatecznie naładowana wilgocią, opadnie na ziemię?

A.: A jeżeli, przeciwnie, podniesie się i zajmie wyższą warstwę, gdzie powietrze jest mniej gęste i może, jak mówią chemicy, nie być nasycone?

B.: Trzeba czekać.

A.: A czekając, coź robisz?

B.: Czytam.

A.: Nadal *Podróż Bougainville'a*?

B.: Nadal.

A.: Nie rozumiem zgoła tego człowieka. Studia matematyczne, wymagające życia siedzącego, wypełniły jego młode lata; i oto nagle z ustronnego i poświęconego medytacji obyczaju przechodzi do czynnego, pełnego trudów, wędrownego i burzliwego zawodu podróżnika.

B.: Zgoła nie. Jeżeli okręt jest jedynie pływającym domem i jeżeli wyobrazisz sobie żeglarza, który przebywa niezmierzone przestrzenie zamknięty nieruchomości w dość ciasnej przestrzeni, ujrzyysz, iż odbywa on podróż dokoła ziemi na desce, jak ty i ja podróż dokoła wszechświata na posadzce.

A.: Druga osobliwość to sprzeczność charakteru człowieka i jego przedsięwzięcia. Bougainville smakuje w uciechach, lubi kobiety, widowiska, biesiady; rzuca się w wir świata z równą ochotą, z jaką wystawia się na kaprysy rozbujanego żywiołu. Jest wesoły i miły; prawdziwy Francuz, obciążony po jednej stronie rachunkiem różniczkowym i całkowym, a po drugiej podróżą dokoła świata.

B.: Robi jak wszyscy: szuka rozrywek po skupieniu, a skupia się, odetchnąwszy rozrywką.

A.: Co myślisz o jego *Podróży*?

B.: O ile mogę sądzić z dość powierzchownej lektury, pomieściłbym jej korzyści w trzech głównych punktach: lepsza znajomość naszej starej siedziby i jej mieszkańców; więcej pewności na morzach, które przebył z sondą w rękę, i więcej ścisłości w mapach. Ruszając w drogę, Bougainville miał zapas potrzebnej wiedzy i przymioty sposobne do tych celów: wykształcenie, odwagę, prawdomówność, szybki rzut oka, który ogarnia zjawiska i skraca czas obserwacji; rozwagę, cierpliwość, żądzę widzenia, oświecenia się

Okręt

⁶¹*At quanto meliora monet, pugnantiæque istis...* — Ileż więc trafniej, a temu całkiem przeciwnie, nam radzi pełna zasobów natura, bylebyś tylko rozsądnie jej darami szafował, tego, co dobre, nie mieszał, z tym, co trzeba unikać. Wszystko to jedno, czy z własnej winy, czy z winy stosunków cierpisz?... (tłum. Marceli Motty). [przypis edytorski]

⁶²*Horat. Satir. lib. I, sat. 2, v. 73 et seq.* (łac.) — Horacy, *Satyry*, ks. I, Satyra 2, w. 73 i nast. [przypis edytorski]

i pouczenia; znajomość rachunku, mechaniki, geometrii, astronomii oraz dostateczne wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych.

A.: A styl?

B.: Niewymuszony, oddający ton danej rzeczy, prosty i jasny, zwłaszcza jeżeli ktoś zna język marynarzy.

A.: Czy przeprawa, jaką odbył, była długa?

B.: Naznaczyłem ją na tym globie. Widzisz tę linię z czerwonych punktów?

A.: Która wychodzi z Nantes?

B.: I biegnie aż do Cieśniny Magellana, wchodzi w Ocean Spokojny, wije się wężowo między tymi wyspami tworzącymi olbrzymi archipelag od Filipinów do Nowej Holandii, ociera się o Madagaskar, Przylądek Dobrej Nadziei, przebywa Atlantyk, ciągnie się wzdłuż Afryki i schodzi się wreszcie z punktem, w którym podróżnik wsiadł na okręt.

A.: Czy wiele wycierpiał?

B.: Każdy podróżnik naraża się, i to z całą świadomością, na niebezpieczeństwa powietrza, ognia, wody i ziemi; ale żeby nablądziwszy się miesiące całe między niebem a morzem, między życiem a śmiercią, stawiający czoło burzom, zajrzawszy w oczy rozbi-
ciu, chorobie, brakowi wody i chleba, nieszczęśliwy, którego okręt rozbił się w drzazgi, padł, konając z wyczerpania i nędzy, do stóp zakamieniałego potwora, który mu odmawia najpilniejszej pomocy lub każe mu jej nielitościwie wyczekiwać, to okrucieństwo...

A.: Zbrodnia godna kary.

B.: Jedna z klęsk, na które podróżnik nie liczył.

A.: I nie powinien był liczyć. Sądziłem, iż potęgi europejskie wysyłają jako rządców zamorskich posiadłości jedynie dusze uczciwe, osobników pełnych ludzkości, zdolnych współczuć...

B.: Dużo się o to troszczą!

A.: Są doprawdy osobliwe rzeczy w tej *Podróży Bougainville'a*.

B.: Tak, dużo.

A.: Wszak on twierdzi, że dzikie zwierzęta garną się do człowieka i że ptaki siadają na nim, skoro nie znają niebezpieczeństwa tej poufalości?

B.: Inni powiadali to już przed nim.

A.: W jaki sposób tłumaczy on obecność pewnych zwierząt na wyspach oddzielonych od stałego lądu olbrzymią przestrzenią morską? Co zaniósł tam wilka, lisa, psa, jelenia, węża?

B.: Nie tłumaczy, stwierdza fakt.

A.: A ty, jakże go tłumaczysz?

B.: Któż zna pierwotną historię naszego globu? Ileż ziem, dziś oddzielonych, łączyło się niegdyś z sobą? Jedyne zjawisko, na którym można by budować jakieś przypuszczenie, to kierunek masy wód, która je rozdzieliła.

A.: A to jak?

B.: Przez ogólną formę wyrw. Któregoś dnia zabawimy się tym dociekaniem, jeżeli cię to zajmuje. Na razie, widzisz tę wyspę, którą zowią Wyspą Lansjerów? Widząc miejsce, które zajmuje ona na kuli ziemskiej, nie masz takiego, kto by nie spytał, skąd się tam mogli wziąć ludzie? Jaka styczność łączyła ich niegdyś z resztą ludzkiego rodzaju? Jak mogą żyć w warunkach, które każą się im rozmnażać na przestrzeni mającej nie więcej niż milę średnicy?

A.: Tępią się wzajem i zjadają; stąd może pierwsza epoka, bardzo dawna i bardzo naturalna, ludożerstwa, jest pochodzenia wyspiarskiego.

B.: Albo rozmnażanie ograniczone jest przez jakieś zabobonne prawo: dławi się dziecko w łonie matki, deptanej stopami kapłanki.

A.: Albo mężczyzna, zarżnięty, ginie pod nożem kapłana; albo szuka się ucieczki w trzebieniu samców...

B.: Albo w zszywaniu części rodzajnych u samic lub w tyłu innych obyczajach równie nieodzownych jak dziwacznych i okrutnych, których przyczyna zagubiła się w nocy czasów i staje się udręką filozofów. Dość stałe można oglądać zjawisko, jak nadnaturalne i boskie instytucje umacniają się i uwieczniają, przekształcają się z biegiem czasu w społeczne i narodowe prawa, instytucje zaś społeczne i narodowe uświęcają się i wyradzają w nadnaturalne i boskie przepisy.

Podróż, Niebezpieczeństwo

Obyczaje, Prawo, Religia

A.: Jedna z palingenez nad wyraz oplakanych dla ludzkości...

B.: Źdźbło więcej, dodane do więzów, w których się dławimy.

A.: Nieprawdaż, ten Bougainville był w Paragwaju w chwili wypędzenia jezuitów?

B.: Tak.

A.: I cóż mówi o tym?

A.: Mniej, niżby można powiedzieć, ale dość, aby nas pouczyć, że ci okrutni Spartiaci w sutannach obchodzili się ze swymi indyjskimi niewolnikami jak Lacedemończycy⁶³ z helotami, skazywali ich na ustawną pracę, kąpali się w ich pocie, nie zostawili im żadnej własności, ogłupiali ich zabobonem, wymagając głębokiej czci, chodzili wśród nich z batem w dłoni i okładali nim bez względu na wiek i płeć. Jeszcze jakie sto lat, a wypędzenie ich stałoby się niemożliwe albo też dałoby przyczynę do długiej wojny między tymi mnichami a monarchą, którego władzę zdołali pomału strząsnąć.

A.: A owi Patagończycy, którymi doktor Maty i akademik La Condamine⁶⁴ narobili tyle hałasu?

B.: To dobrzy ludzie, którzy podchodzą do ciebie i ściskają cię, wołając „*Chaua*”; silni, krzepcy, nieprzekraczający wszelako pięciu stóp i sześciu cali, ogromni jedynie swą korpulencją, rozmiarami głowy i tęgością członków. Zrodzony z pędem do cudowności, która wszystko przesadza wkoło niego, w jakiż sposób człowiek zostawiłby właściwe proporcje przedmiotom, skoro trzeba mu, że tak rzeknę, usprawiedliwić drogę, jaką odbył, i trudy, jakie sobie zadał dla oglądania ich tak daleko?

A.: A o dzikich co myślisz?

B.: Zdaje się, że okrucieństwo, jakie objawiają niekiedy, tłumaczy potrzebą codziennej ochrony od drapieżnych zwierząt. Są oni niewinni i łagodni wszędzie tam, gdzie nic nie mąci ich spokoju i bezpieczeństwa. Wszelka wojna rodzi się ze obopólnych roszczeń do jednego przedmiotu. Człowiek cywilizowany ma z drugim człowiekiem cywilizowanym wspólne pretensje do posiadania pola, którego zajmują dwa krańce, i pole to staje się przedmiotem waśni.

A.: A tygrys ma z dzikim człowiekiem wspólne roszczenia do posiadania lasu, i oto pierwsza niezgoda i przyczyna najdawniejszej wojny... Czy widziałeś mieszkańca Otaiti⁶⁵, którego Bougainville wziął na pokład i przewiózł do kraju?

B.: Widziałem; nazywał się Aoturu. Pierwszy łąd, który spostrzegł, wziął za ojczyznę podróżników; czy oszukano go co do czasu przeprawy, czy ulegając naturalnej omyłce co do pozornego oddalenia brzegów od linii, gdzie niebo styka się z widnokretem, nie znał prawdziwej rozciągłości ziemi. Zwyczaj wspólności kobiet był tak silnie zakorzeniony w jego umyśle, iż rzucił się na pierwszą Europejkę, która wyszła na jego spotkanie, i gotował się bardzo poważnie wyrazić jej swoje uczucia modą Otaiti. Nudził się między nami. Ponieważ alfabet otajski nie zna głósłki *b*, ani *c*, ani *d*, ani *f*, ani *g*, ani *q*, ani *x*, ani *y*, ani *z*, nie mógł się w żaden sposób nauczyć naszego języka, który nastroczał jego pozbawionym giętkości narządowi zbyt wiele obcych artykulacji i nowych dźwięków. Nie przestawał wzdychać za ojczyzną i nie dziwił się. *Podróż Bougainville'a* jest jedynym opisem, który obudził we mnie pociąg do obcych stron; aż do tej lektury myślałem, że nigdzie nie jest równie dobrze jak u siebie. Uważałem, że musi to być wrodzone uczucie każdego mieszkańca ziemi, naturalny wynik przywiązania do gleby, przywiązania wynikłego z wygod, jakich tam zażywa, a których nie ma pewności znaleźć gdzie indziej.

A.: Jak to, nie sądzisz, aby mieszkaniec Paryża był przekonany, że zboże rośnie równie dobrze w Campagna Romana⁶⁶ co na polach Beauce⁶⁷?

B.: Na honor, nie. Bougainville odesłał Aoturu do ojczyzny, zapewniwszy mu kosztą i bezpieczeństwo podróży.

A.: O, Aoturu! Jakże rad będziesz ujrzeć ojca, matkę, braci, siostry, nałożnice, krajanów! Co im powiesz o nas?

⁶³Lacedemończycy — Spartanie. [przypis edytorski]

⁶⁴La Condamine, Charles-Marie de (1701–1774) — francuski przyrodnik, matematyk i podróżnik. [przypis edytorski]

⁶⁵Otaiti — dawna nazwa wyspy Tahiti. [przypis edytorski]

⁶⁶Kampania Rzymska (wl. *Campagna Romana*) — nizinny obszar w środkowych Włoszech, wokół Rzymu. [przypis edytorski]

⁶⁷Beauce — bardzo żyzny region w płn. Francji. [przypis edytorski]

kolonializm, niewola,
okrucieństwo, ksiądz

Obyczaje, Pożądanie

B.: Niewiele rzeczy, w które zresztą nie uwierzą.

A.: Czemu niewiele?

B.: Ponieważ niewiele z nich był w stanie ogarnąć i ponieważ nie znajdzie w swoim języku żadnych terminów odpowiadającym temu, o czym ma jakieś pojęcie.

A.: A dlaczego nie uwierzą?

B.: Ponieważ porównując swoje obyczaje z naszymi, będą raczej woleli wziąć Aoturu za kłamcę, niż nas uważać za tak głupich.

A.: W istocie?

B.: Nie wątpię o tym: życie dzikich jest tak proste, a nasze społeczeństwo jest tak zawiąkaną machiną! Mieszkaniec Otaiti sięga początków świata, Europejczyk zaś sięga jego starości. Przestrzeń dzieląca go od nas większa jest niż oddalenie między nowo narodzonym dzieckiem a zgrzybiałym starcem. Nie rozumie naszych zwyczajów, naszych praw; widzi w nich tylko zapory, poprzebierane w setkę rozmaitych form; zapory zdolne jedynie zrodzić oburzenie i wzdąć u istoty, w której poczucie wolności jest najgłębszym z uczuć.

A.: Czy ty wierzysz w tę bajkę o Otaiti?

B.: To nie bajka; nie miałbyś żadnej wątpliwości co do szczerości Bougainville'a, gdybyś znał *Przyczynę* do jego *Podróży*.

A.: I gdzież można znaleźć ów *Przyczynę*?

B.: Tu, na tym stole.

A.: Użyczysz mi go?

B.: Nie; ale możemy go przebiec razem, jeśli zechcesz.

A.: Oczywiście! Oto mgła opada, lazur zaczyna się pojawiać. Zdaje się, że moim losem jest być zawsze pobitym przez ciebie, aż do najmniejszych drobiazgów; muszę być widać bardzo dobry, skoro ci przebaczam tę ustawiczną wyższość!

B.: Masz, masz, czytaj. Opuść ten wstęp, który nie ma znaczenia, i idź prosto do pożegnania, jakim jeden z naczelników wyspy uczcił naszych podróżników. To ci da niejaki pojęcie o ich wymowie.

A.: W jaki sposób Bougainville zrozumiał to pożegnanie, wygłoszone w nieznanym mu języku?

B.: Dowiesz się. To starzec przemawia do niego.

II. PRZEDMOWA POŻEGNALNA STARCA

Był ojcem licznej rodziny. Za przybyciem⁶⁸ Europejczyków obrzucił ich wzdurliwym spojrzaniem, nie okazując zdziwienia, lęku ani ciekawości. Zbliżyli się; odwrócił się plecami i odszedł do chaty. Milczenie i troska zdradzały aż nadto jego myśl: wzdychał w duchu nad minionym szczęściem swego kraju. Przy odjeździe Bougainville'a, gdy mieszkańcy cisnęli się tłumnie na brzegu, czepiali się odzieży cudzoziemca, ściskali jego towarzyszy i płakali, starzec wysunął się z surową twarzą i rzekł:

— Płaczcie, nieszczęśliwi mieszkańcy Otaiti! Płaczcie, ale z powodu przybycia, a nie odjazdu tych złych i ambitnych ludzi. Przyjdzie dzień, iż poznacie ich lepiej; wrócą kiedyś, uzbrojeni w ten kawałek drzewa, który widzicie oto u pasa jednych, z tym żelazem w dłoni, które wisi u boku drugich, aby was zakuć w łańcuchy, mordować was lub czynić niewolnikami swych szaleństw i występków. Przyjdzie dzień, iż będziecie służyli pod nimi, równie zepsuci, równie plugawi, równie nieszczęśliwi jak oni. Ale na szczęście sięgam kresu swoich dni; nie będę patrzył na klęskę, którą wam zwiastuję. O Otajczycy! O moi przyjaciele! mielibyście sposób uniknięcia złowrogiej przyszłości, ale wołałbym raczej umrzeć niż go wam doradzić. Niechaj się oddalą i niech żyją.

Następnie, zwracając się do Bougainville'a, dodał:

— A ty, wodzu rozbójników, podległych twym rozkazom, odepchnij co rychlej okręt od naszych brzegów. Jesteśmy niewinni, jesteśmy szczęśliwi, możesz jedynie zmacić nasze szczęście. Jesteśmy posłuszni czystemu zmysłowi natury, a ty siliłeś się zatrzeć w naszych duszach jego głoski. Tutaj wszystko należy do wszystkich, a ty obwieszczałeś nam jakąś niedorzeczną różnicę pomiędzy twoim a moim. Córki i żony są nam wspólne; dzieliłeś

Kolonializm

Kolonializm, Obyczaje

⁶⁸za przybyciem (daw.) — po przybyciu. [przypis edytorski]

z nami ten przywilej i zażęgłość⁶⁹ w ich piersiach nieznane szwały. W objęciach twoich stały się jak obłąkane; ty w ich ramionach stałeś się okrutny. One jęły nienawidzić się wzajem; wyście zaczęli się mordować o nie; wróciły do nas zmazane waszą krwią. Jesteśmy wolni i oto ty rzuciłeś w naszą ziemię nasienie przyszłej niewoli. Nie jesteś ani bogiem, ani biesem⁷⁰; kimże jesteś tedy, aby czynić niewolników? Oru! Ty, który rozumiesz język ludzi, powiedz nam wszystkim, jak powiedziałeś mnie, co oni wypisali na tej blasze: „Ten kraj jest nasz”. Gdyby Otajczyk wylądował kiedy na waszych brzegach i gdyby wrył na kamieniu lub korze drzewa: „Ten kraj należy do mieszkańców Otaiti”, co byś o tym mniemał? Jesteś silniejszy! I cóż to znaczy? Kiedy ci zabrano jeden z nędznych drobiazgów, jakich pełno masz na statku, okrzyknąłeś się, zemściłeś się; i w tej samej chwili zamyśliłeś w sercu ukraść całą krainę! Nie jesteś niewolnikiem; raczej ścierpiałbyś śmierć niż niewolę, a chcesz nas ujarzmić! Sądziś zatem, że mieszkaniec Otaiti nie umie bronić swej wolności i umrzeć? Ten Otajczyk, którym chcesz zawładnąć jak bydłem, jest twoim bratem. Jesteście obaj dziećmi natury: jakie masz prawo nad nim, którego on nie miałby nad tobą? Przybyłeś: czyśmy się targnęli na twą osobę? Czy złupiliśmy statek? Czyśmy cię chwycili i wydali na pastwę grotom naszych nieprzyjaciół? Czyśmy cię zmusili, byś uprawiał pola na równi z bydłętą? Szanowaliśmy w tobie swój obraz. Zostaw nam nasze obyczaje: rozsądniejsze są i uczciwsze od twoich; nie chcemy zmieniać tego, co ty nazywasz „naszym nieuctwem”, na twoje bezużyteczne wiadomości. Znamy wszystko, co potrzebne i dobre. Czy jesteśmy godni wzgardy, że nie umieliśmy sobie stworzyć zbytecznych potrzeb? Kiedy jesteśmy głodni, mamy co jeść; kiedy nam zimno, mamy się w co odziać. Odwiedzałeś nasze chaty: czegoś, powiedz, w nich brakuje? Uganiaj się, dokąd ci się podoba, za tym, co nazywasz „wygodami życia”, ale pozwól rozsądnym istotom zatrzymać się przy mecie, poza którą owocem ciężkich i ustawnych wysiłków byłyby jedynie dobra urojone. Skoro nas skłonisz, byśmy przekroczyli ciasną granicę potrzeby, kiedyż skończymy pracować? Kiedyż będziemy się cieszyli życiem? Staraliśmy się zmniejszyć, ile tylko możebne, sumę naszych rocznych i dziennych trudów, ponieważ nic nie wydaje się nam cenniejsze niż spoczynek. Wracaj do swego kraju miotać się, dręcząc, ile ci się podoba; pozwól nam zażywać wczasu⁷¹: nie wpieraj w nas ani swoich sztucznych potrzeb, ani urojonych cnót. Spójrz na tych mężczyzn: patrz, jacy prości, zdrowi i krzepcy. Spójrz na kobiety: patrz, jakie proste, zdrowe, świeże i ładne. Weź ten mój łuk, zawołaj na pomoc jednego, dwóch, trzech, czterech towarzyszy i próbujcie go napiąć. Ja go napinam sam jeden. Uprawiam ziemię, wspinam się na góry, przedzieram przez lasy, przebiegam milę w niespełna godzinę. Twój młodzi towarzysze ledwie mogli mi nadążyć, a mam przeszło dziewięćdziesiąt lat. Biada tej wyspie! Biada mieszkańcom Otaiti dziś i biada na przyszłość, od dnia, w którym nas odwiedziłeś! Zналиśmy tylko jedną chorobę: tę, na którą skazany jest człowiek, zwierzę i roślina: starość. Ty przyniosłeś inną: skaziłeś naszą krew. Trzeba nam będzie może wytepić własnymi rękami nasze córki, żony, dzieci; tych, którzy zbliżyli się do twoich kobiet; te, które zbliżyły się do twoich mężczyzn. Pola nasze przesiąkną nieczystą krwią, która przeszła z twoich żył w nasze albo w nasze dzieci, skazane na hodowanie i utrwalenie cierpienia, które wszczepiłeś ojcom i matkom, a które oni przekażą na wieki potomstwu. Nieszczęśliwy! Będziesz winien albo spustoszeń, które staną się następstwem złowrogich pieszczot twej zgrai, albo też mordów, które popełnimy, aby powstrzymać ich truciznę. Mówisz o zbrodniach! Czy wyobrażasz sobie większą zbrodnię niż twoja? Jaka jest u was kara na tego, kto zabija sąsiada? Śmierć od żelaza. Jaka na nikczemnika, który go otruje? Śmierć od ognia. Porównaj z tym swoją zbrodnię i powiedz, trucicieli narodów, na jaką karę zasłużyłeś? Jakże niedawno temu młoda Otajka poddawała się bez troski pieszczotom, uściskom młodego Otajczyka; dojrzewająca dziewczyna czekała niecierpliwie chwili wyzwolenia, gdy matka zdejmie jej zasłonę i obnaży piersi. Dumna była, iż budzi żądze i ściąga miłosne spojrzenia obcych, krewnych, braci; przyjmowała bez lęku i wstydu, w naszej obecności, w kole niewinnych Otajczyków, przy dźwięku fletni, wśród płasów, pieszczoty tego, którego wskazywało jej młode serce i tajemny głos zmysłów. Pojęcie zbrodni i niebezpieczeństwo choroby wstąpiły z to-

⁶⁹zażęgać (daw.) — podpalać, rozpalać. [przypis edytorski]

⁷⁰bies — diabeł. [przypis edytorski]

⁷¹wczas (daw.) — odpoczynek, wypoczynek. [przypis edytorski]

bą między nas. Rozkoszom, niegdyś tak słodkim, towarzyszą obecnie wyrzuty i groza. Ten czarny człowiek, który stoi obok ciebie i przysłuchuje mi się, dawał jakieś nauki naszej młodzie. Nie wiem, co mówił, ale od tego czasu chłopcy nasi wahają się, dziewczęta płoną rumieńcem. Kryj się, jeśli chcesz, w mrocznym lesie wraz z wyuzdaną towarzyszką swych rozkoszy, ale pozwól dobrym i prostym Otajczykom rozmnażać się bez wstydu w obliczu nieba, w biały dzień. Jakież zacniejsze i wyższe uczucie mógłbyś dać w miejsce tego, któreśmy im tchnęli i które ich ożywia? Mniemają, iż nadeszła chwila wzbogacenia narodu i rodziny nowym obywatelem, i szczytą się z tego. Jedzą, aby żyć i aby rosnąć; rosna, aby się rozmnażać, i nie widzą w tym grzechu ni wstydu. Słuchaj dalszego ciągu swych zbrodni. Ledwie pokazałeś się między nimi, stali się złodziejami. Ledwie stąpiłeś na naszą ziemię, zaczęła dymić krwią. Otajczyka, który biegł na twe spotkanie, który powitał cię i przyjął wołaniem: „Tairo! Przyjaciel, przyjaciel”, zabiłeś. I dlaczego? Ponieważ go uwiódl blask twoich błyszczących perełek. Dawał ci owoce; ofiarował własną żonę i córkę; ustępował ci chaty, a ty go zabiłeś za garstkę tych ziarn, które zabrał ci, nie poprosiwszy. Na odgłos twej morderczej broni uciekł w góry. Ale bądź pewien, iż gdyby nie ja, w jednej chwili zginęlibyście wszyscy. Ha! Czemu ich uspokoilem? Czemu powściągnąłem? Czemu wstrzymuję ich w tej chwili? Nie wiem; nie zasługujesz bowiem na żadną litość; masz duszę okrutną, która nie zaznała jej nigdy. Przechadzałeś się, ty i twój, po naszej wyspie; uszanowano cię; zażywałeś wszystkiego; nie znalazłeś na drodze zapory ani odmowy; zapraszano cię, siadałeś, roztaczano przed tobą cały dostatek. Pragnąłeś dziewcząt? Z wyjątkiem tych, które nie mają jeszcze przywileju ukazywania twarzy i piersi, matki przedstawiły ci wszystkie inne zupełnie nagie: oddano w twoje ręce tkliwą ofiarę obowiązków gościnności; usłano wam obojgu ziemię liśćmi i kwiatami; grajkowie nastroili instrumenty, nic nie mąciło słodyczy, nie krępowało swobody waszych uścisków. Odśpiewano hymn, który zagrzewał cię, abyś był mężczyzną, upominał nasze dziecię, aby było kobietą, kobietą chętną i pełną rozkoszy. Tańczono koło waszego legowiska; i oto, wychodząc z ramion tej kobiety, doświadczywszy na jej łonie najśłodszych upojeń, zabiłeś jej brata, przyjaciela, jej ojca może! Zrobiłeś gorzej: spójrz w tę stronę, popatrz na to okole⁷² najeżone grotami. Tę broń, która groziła jedynie nieprzyjaciółom, widzisz obróconą przeciw naszym własnym dzieciom; widzisz nieszczęsne towarzyszki naszych uciech. Patrz na ich smutek, na boleść ojców, na rozpacz matek. W tej oto zagrodzie skazane są, aby zginęły z naszych rąk albo z choroby, której im udzieliłeś. Oddał się, chyba że twoje okrutne oczy lubują się w widowisku śmierci. Oddał się, jedź. I oby występne morza, które oszczędziły cię w podróży, mogły zmazać swą winę i pomścić nas, pochłaniając cię, nim powrócisz! A wy, mieszkańcy Otaiti, schrońcie się do chat, schrońcie się wszyscy. Niechaj ci niegodni cudzoziemcy słyszą przy odjeździe jedynie ryczące fale i widzą jedynie pianę, której wściekłość bieli opustoszałe wybrzeże!

Ledwie skończył, gromada znikła, wielka cisza zapanowała na całej wyspie, słychać było jedynie ostry świst wiatru i głuchy łoskot wód. Można by rzec, iż powietrze i morze, wstrząśnięte głosem starca, gotowały się go usłuchać.

B.: I cóż, co o tym myślisz?

A.: Przemowa wydaje mi się wcale⁷³ szorstka; ale pod powłoką surowości i dzikości mam wrażenie, iż odnajduję w niej myśli i zwroty europejskie.

B.: Pomyśl, że to jest przekład z otajskiego na hiszpański i z hiszpańskiego na francuski. Starzec udał się w nocy do owego Oru, w którego chacie hiszpański język przechowywał się od niepamiętnych czasów. Oru spisał po hiszpańsku mowę starca i Bougainville miał jej odpis, gdy Otajczyk ją wygłaszał.

A.: Nie rozumiem w takim razie, czemu Bougainville usunął ten fragment. Ale wszak to nie wszystko: wyznaję, iż bardzo byłbym ciekaw reszty.

B.: To co następuje, może nie tak cię już zajmie.

A.: Mniejsza.

B.: To rozmowa kapelana z jednym z krajowców.

A.: Oru?

⁷²okole (daw.) — to, co otacza; obwód, okrąg; ogrodzone miejsce, zagroda. [przypis edytorski]

⁷³wcale — tu: całkiem, dość. [przypis edytorski]

B.: Właśnie. Skoro okręt Bougainville'a zbliżył się do Otaiti, niezliczona ilość wyzłobionych drzew zarośla się na wodzie; w jednej chwili otoczyły one jego statek; w jakąkolwiek stronę spojrzal, widział objawy zdziwienia i życzliwości. Rzucali mu zapasy, wyciągali doń ręce, czepiali się lin, drapali się na deski, obsiedli jego szalupę, krzyčili ku brzegowi, skąd rozlegał się odzew. Zbiegli się mieszkańcy; wszyscy tłoczą się na brzegu; chwytają ludzi i załogę i dzielą między siebie. Każdy prowadzi swego gościa do chaty; mężczyźni ściskają ich, obejmują, kobiety głaszczą po twarzy. Uprzymnij sobie ten obraz; uczyni się w myśli świadkiem tej gościnności i powiedz, jak ci się przedstawia rodzaj ludzki?

A.: Uroczo.

B.: Ale zapomniałbym może o wydarzeniu bardzo osobliwym! Tę scenę przyjaźni i ludzkości zmąciły nagle krzyki człowieka wołającego o pomoc; był to służący jednego z oficerów. Młodzi Otajczycy rzucili się nań, rozciągnęli go na ziemi, rozbierali go i gotowali się wyświadczyć mu pewną uprzejmość.

A.: Jak to! Te ludy tak pełne prostoty, ci dzicy tak dobrzy, tak uczciwi?...

B.: Mylisz się! Ów służący był kobietą przebraną za mężczyznę. Załoga nieświadoma była jego płci przez cały ciąg długiej przeprawy, Otajczycy natomiast odgadli ją na pierwszy rzut oka. Dziewczyna ta była rodem z Burgundii, nazywała się Barre, była ani ładna, ani brzydka. Nie opuściła nigdy swej wioski, a pierwszym jej zamysłem było objechać ziemię dookoła: okazywała się w każdej okoliczności roztropna i dzielna.

A.: Te wątłe organizmy mieszcżą niekiedy dusze bardzo silne.

III. ROZMOWA KAPELANA I ORU

Wedle sposobu, w jaki Otajczycy rozdzielili między siebie załogę, kapelan stał się gościem Oru. Kapelan i Otajczyk byli mniej więcej w równym wieku: trzydzieści pięć do sześciu lat. Oru miał wówczas w domu żonę i trzy córki, imieniem Asto, Palli i Thia. Rozebrały gościa, umyły mu twarz, ręce i nogi, podały zdrowy i skromny posiłek. Skoro nadeszła godzina spoczynku, Oru, który oddalił się był wraz z rodziną, zjawił się, przedstawił cudzoziemcowi żonę i trzy córki zupełnie nagie i rzekł:

— Podjadłeś sobie, jesteś młody, zdrow: jeżeli będziesz spał sam, źle ci się będzie spało: mężczyzna potrzebuje w nocy towarzyszek przy boku. Oto moja żona, oto córki, wybierz tę, która ci się nadaje; ale jeżeli chcesz mi wyświadczyć grzeczność, dasz pierwszeństwo najmłodszej, która nie ma jeszcze dzieci.

Matka dodała:

— Niestety! Nie mogę czynić jej wyrzutów. Biedna Thia! To nie jej wina.

Kapelan odparł, iż religia jego, stan, obyczaje i przystojność nie pozwalają mu przyjąć tej ofiary.

Oru rzekł:

— Nie wiem, co to za rzecz, którą nazywasz religią, ale mogę mieć o niej jedynie złe mniemanie, skoro broni ci kosztować niewinnej rozkoszy, do jakiej natura, wszechwładna pani, zaprasza nas wszystkich; dać istnienie jednemu z podobnych sobie, wyświadczyć przysługę, o którą ojciec, matka i dzieci cię proszą; wypłacić się gospodarzowi, który zgotował ci dobre przyjęcie, oraz wzbogacić naród, pomnażając go o jednego poddanego. Nie wiem, co to za rzecz, którą nazywasz stanem, ale twoim pierwszym obowiązkiem jest być człowiekiem i być wdzięcznym. Nie zamierzam nieść do twego kraju obyczajów Oru, ale Oru, twój gospodarz i przyjaciel, błaga cię, byś się poddał obyczajom Otaiti. Czy obyczaje Otaiti lepsze są czy gorsze niż wasze? Łatwo rozstrzygnąć to pytanie. Czy ziemia, w której się urodziłeś, ma więcej ludzi, niż może wyżywić? W takim razie obyczaje jej nie są ani lepsze, ani gorsze niż nasze. Czy może wyżywić więcej niż ma mieszkańców? Nasze obyczaje lepsze są niż twoje. Co do przystojności, którą się zaślaniasz, rozumiem cię: przyznaję, że zbłądziłem, i proszę o przebaczenie. Nie wymagam, byś szkodził swemu zdrowiu. Jeśliś zmęczony, trzeba, abyś spoczął, ale mam nadzieję, że nie zechcesz długo czynić nam przykrości. Patrz na troskę, jaką rozlałeś na twarzach kobiet. Lękają się, że zauważyłeś w nich jakąś skazę, która ściągnęła na nie wzgardę. Ale gdyby nawet tak było, czyż przyjemność uczczenia jednej z mych córek pośród jej siostr i towarzyszek oraz chluba spełnienia dobrego uczynku nie powinny ci wystarczyć? Bądź wspaniałomyślny!

przebranie

Obyczaje, Seks, Gospodarz,
Gość

Religia, Obyczaje, Seks,
Gospodarz

KAPELAN: To nie to: wszystkie cztery są zarówno piękne; ale moja religia! mój stan!

ORU: Należą do mnie i ja ci je ofiaruję; należą do siebie i oddają się tobie. Mimo wszelkich skrupułów sumienia, jakie nakłada ci owa jakaś religia i stan, możesz przyjąć bez obawy. Nie nadużywam swej powagi i bądź pewien, że znam i szanuję prawa jednostki.

Tu prawdopodobny kapelan przyznaje, iż nigdy Opatrzność nie wystawiła go na równie naglącą pokusę. Był młody, kręcił się, dręczył; odwracał spojrzenie od luby⁷⁴ suplikantek⁷⁵, ściągał je z powrotem ku nim; podnosił ręce i oczy ku niebu. Thia, najmłodsza, ścisnęła jego kolana i mówiła:

— Cudzoziemcze, nie martw ojca, matki, nie martw mnie! Uczcij mnie w tej chacie, pomiędzy moimi; wznies mnie do rzędu sióstr, które drwią sobie ze mnie. Asto, najstarsza, ma już troje dzieci; Palli, druga z kolei, dwoje, a Thia nie ma ich zgoła. Cudzoziemcze, zacny cudzoziemcze! Nie odtrącaj mnie! Uczyni mnie matką: daj mi dziecko, które bym mogła kiedyś prowadzić za rękę po Otaiti, które by za dziewięć miesięcy widziano u mojej piersi, z którego bym była dumna i które by stanowiło część mojego wiana, gdy przejdę z chaty ojca do innej. Może lepiej mi się powiedzie z tobą niż z młodymi Otajczykami. Jeżeli mi uczynisz tej łaski, nie zapomnę o tobie nigdy, będę cię błogosławiła całe życie, wypiszę twe imię na swoim ramieniu i na ramieniu twego syna; będziemy je wymawiali bez przerwy z radością. Kiedy zaś opuścisz te brzegi, życzenia moje będą ci towarzyszyć na morzu, póki nie przybędziesz do kraju.

Dobry kapelan powiadał, iż ścisnęła go za ręce, wlepiła weń wymowne i wzruszające spojrzenia, płakała; że ojciec, matka i siostry oddalili się, że został z nią sam na sam i że powtarzając: „Ależ moja religia, mój stan”, znalazł się nazajutrz na posłaniu obok młodej dziewczyny, która obsypywała go pieszczotami i wezwała ojca, matkę i siostry, skoro zbliżyli się rano do łoża, aby dołączyli do jej wdzięczności swoje dziękczynienia.

Asto i Palli, oddaliwszy się na chwilę, wrócili, niosąc krajowe potrawy, napoje i owoce; uściśniły siostrę i składały jej życzenia. Spożyli śniadanie wszyscy razem, po czym Oru, zostawszy sam z kapelanem, rzekł:

— Widzę, iż córka rada jest z ciebie, i dziękuję ci. Ale czy mógłbyś mnie pouczyć, co znaczy słowo „religia”, które powtarzałeś tyle razy i z taką boleścią?

Kapelan, podumawszy chwilę, odpowiedział:

— Kto uczynił twą chatę i sprzęty które się w niej mieszczą?

ORU: Ja sam.

KAPELAN: Otóż my wierzymy, że ten świat i wszystko, co zawiera, jest dziełem pewnego robotnika.

ORU: Ma zatem nogi, ręce i głowę?

KAPELAN: Nie.

ORU: Gdzież on mieszka?

KAPELAN: Wszędzie.

ORU: Tu także?

KAPELAN: Tak.

ORU: Nigdyśmy go nie widzieli.

KAPELAN: Nie pokazuje się nikomu.

ORU: To mi jakiś bardzo obojętny ojciec! Musi być stary, co najmniej w wieku swego dzieła.

KAPELAN: Nie starzeje się. Przemówił do naszych przodków; dał im prawa; przepisał sposób, w jaki chce, aby go czczono; nakazał pewne uczynki jako dobre, zabronił zaś innych jako złych.

ORU: Rozumiem. I jednym z tych uczynków zabronionych jako złe — to mieć sprawę z kobietą lub dziewczyną? Czemuż tedy uczynił dwie pćie?

KAPELAN: Aby się ludzie kojarzyli, ale za dopełnieniem pewnych warunków, po dokonaniu ceremonii, w myśl której mężczyzna należy do jednej kobiety i tylko do niej; kobieta do mężczyzny i tylko do niego.

ORU: Na całe życie?

KAPELAN: Na życie.

⁷⁴luby (przestarz.) — miły; ulubiony; ukochany. [przypis edytorski]

⁷⁵suplikantka (z łac.) — prosiąca, zanosząca prośbę, błagająca. [przypis edytorski]

ORU: Tak, iż gdyby się zdarzyło kobiecie mieć sprawę z innym niż własnym mężem lub mężowi z inną niż swą żoną... ale to się nie zdarza. Skoro bowiem ów stwórca jest obecny i skoro mu się to nie podoba, umie temu przeszkodzić.

KAPELAN: Nie, zostawia im swobodę; wówczas grzeszą przeciw prawu Boga (tak nazywamy wielkiego robotnika), przeciw prawom kraju i popełniają wielką zbrodnię.

ORU: Przykroby mi było dotknąć cię, ale gdybyś pozwolił, powiedziałbym swoje zdanie.

KAPELAN: Mów.

ORU: Te osobliwe przepisy wydają mi się sprzeczne z naturą i przeciwne rozumowi; ustanowione po to, aby mnożyć zbrodnie i martwić w każdej chwili starego robotnika, który wszystko zrobił bez rąk, bez nóg, bez narzędzi, który jest wszędzie i którego nie widzi się nigdzie; który trwa dziś i jutro, a nie ma ani dnia więcej; który rozkazuje i nie znajduje posłuchu; który może zapobiec, a nie zapobiega. Są przeciwne naturze, ponieważ przypuszczają, iż myśląca, czująca i wolna istota może być własnością istoty jej podobnej. Na czym miałyby się opierać to prawo? Czy nie widzisz, iż w twoim kraju pomieszano rzecz, która nie ma czucia, myśli, pragnienia, woli, którą się rzuca, bierze, zatrzymuje, wymienia, bez cierpienia i skargi z jej strony, z rzeczą, której się nie da wymienić ani nabyć, która ma wolność, wolę, chęć, która może się oddać lub wzbronić na chwilę, oddać się lub wzbronić na zawsze, która się skarży i cierpi i którą czynić przedmiotem handlu znaczy zniweczyć jej charakter i gwałcić jej naturę. Słowem, przepisy te są sprzeczne z ogólnym prawem żywych istot. Czy możesz w istocie wyobrazić sobie coś niedorzeczniejszego niż prawo, które potępia tak naturalną odmianę, nakazuje stałość, do jakiej nie jesteśmy zdolni, gwałci wolność mężczyzny i kobiety, skuwając ich z sobą na wieki? Coś bardziej szalonego niż wierność, która ogranicza najbardziej kapryśną z rozkoszy do jednego osobnika, niż przysięga nieodmienności, jaką czynią dwie osoby z krwi i ciała, w obliczu nieba, które nie jest ani przez chwilę jednakie, pod sklepieniem grotty, która grozi zawaleniem, w pobliżu skały, która rozsypuje się w proch, u stóp drzewa, które murszeje, na kamieniu, który się obluźnia? Wierzą mi, uczyniliście dołą człowieka gorszą od doli zwierzęcia. Nie wiem, kto jest ten twój wielki robotnik, ale cieszę się, że nie mówił do naszych ojców, i pragnę, aby nie przemówił do naszych dzieci, mógłby bowiem przypadkiem powiedzieć im te same głupstwa, a oni popełniliby może to głupstwo, że by mu uwierzyli. Wczoraj przy wieczerzy opowiadałeś nam o sędziach i księżach. Nie wiem, co to za osoby, które ty nazywasz sędziami i księżmi i których władza miarkuje wasze postęпки, ale powiedz, czy oni są panami dobrego i złego? Czy mogą sprawić, aby to, co jest sprawiedliwe, stało się niesprawiedliwym, to zaś, co niesprawiedliwe, było sprawiedliwym? Czy jest w ich mocy związać dobro z uczynkami szkodliwymi, a zło z niewinnymi lub pożytecznymi? Niepodobna, byś tak myślał; w ten sposób bowiem nie byłoby prawdy ani fałszu, dobrego ani złego, piękna ni szpetoty, chyba tylko to, co by się podobało wielkiemu robotnikowi, sędziom i kapłanom ogłosić za takie; z chwili na chwilę byłbyś zmuszony zmieniać swe pojęcia i uczynki. Pewnego dnia powiedziano by ci w imię jednego z twoich trzech mistrzów: „zabijaj”, i byłbyś obowiązany, wedle sumienia, zabijać; drugiego dnia: „kradnij”, i byłbyś zniewolony kraść; lub też: „nie jedz tego owocu”, i nie ważyłbyś się go jeść; „zabraniam ci tej jarzyny lub tego zwierzęcia”, i wystrzegalbyś się ich dotknąć. Nie byłoby dobrej rzeczy, której by ci nie było można zabronić, ani niegodziwości, której by nie można nakazać. A jakież byłby twój los, gdyby twoi trzej panowie, nie mogąc się zgodzić z sobą, zechcieli — każdy z osobna — pozwolić ci, nakazać i zabronić tę samą rzecz, jak sądzę, iż musi się zdarzać często? Wówczas, aby przypodobać się kapłanowi, będziesz musiał poróżnić się z sędzią; aby zadowolić sędziego, trzeba ci będzie narazić się wielkiemu robotnikowi; aby się zaś zasłużyć wielkiemu robotnikowi, będziesz musiał wyprzec się natury. I wiesz, co z tego wyniknie? Iż będziesz lekcewał wszystkich trzech; nie będziesz ani człowiekiem, ani obywatelem, ani pobożnym; nie będziesz niczym, będziesz w niezgodzie z wszelką władzą, w niezgodzie z sobą samym, staniesz się złym, udręczonym we własnym sercu; prześladowanym przez swych niedorzecznych panów, i nieszczęśliwym, jak byłeś wczoraj, kiedy ci przywiódłem córki i żonę i kiedy krzychałeś: „Moja religia! mój stan!”. Chcesz w każdym czasie i miejscu wiedzieć, co jest dobre i złe? Miej na względzie naturę rzeczy i uczynków, stosunek do bliźnich, wpływ twoich postępków na twój osobisty pożytek i na powszechne dobro. Je-

steś w obłądnie, jeśli mniemasz, iż jest cośkolwiek, w górze, na dole, we wszechświecie, co by mogło przyczynić coś lub ująć prawom natury. Jej wiekiustą wolą jest, aby przekładać dobro nad zło, dobro ogólne nad dobro jednostki. Możesz nakazywać rzecz przeciwną, nie znajdziesz posłuchu. Będziesz mnożył złoczyńców i nieszczęśliwych za pomocą lęku, kar i wyrzutów; znieprawisz sumienia, skazisz dusze ludzi, nie będą już sami wiedzieli, co czynić, a czego unikać. Wystraszeni w stanie niewinności, spokojni w zbrodni, zatracą gwiazdę polarną swej drogi. Odpowiedz szczerze: czy, na wspak wyraźnym nakazom trzech prawodawców, młody człowiek w twoim kraju nie ma nigdy bez ich zezwolenia sprawy z młodą dziewczyną?

KAPELAN: Skłamałbym, gdybym to zaręczał.

ORU: Żona, która przysięgła należeć jedynie do męża, nie oddaje się nigdy innemu?

KAPELAN: Bywa tak często.

ORU: Twoi prawodawcy karzą ich lub nie. Jeżeli karzą, są to dzikie zwierzęta, które znęcają się nad przyrodą. Jeżeli nie karzą, to głupcy, którzy przez daremny zakaz podali na wzgardę swą powagę.

KAPELAN: Winni, którzy uchodzą surowości praw, znajdują karę w powszechnym potępieniu.

ORU: To znaczy, że brak zdrowego rozumu w narodzie wypełnia funkcje sprawiedliwości, a niedorzeczność opinii uzupełnia prawo.

KAPELAN: Dziewczyna zbezczeszczona nie może znaleźć męża.

ORU: Zbezczeszczona! Czemu?

KAPELAN: Żonę niewierną otacza, mniej lub więcej, wzgarda.

ORU: Wzgarda! Dlaczego?

KAPELAN: Młody człowiek nazywa się nikczemnym uwodzicielem.

ORU: Nikczemnym! Uwodzicielem! Dlaczego?

KAPELAN: Ojciec, matka i dziecko są w rozpacz. Mąż niewierny jest rozpustnikiem, mąż zdradzony podziela hańbę żony.

ORU: Cóż za potworna sieć niedorzeczności! A jeszcze nie mówisz wszystkiego; skoro bowiem pozwolono sobie rozrządzić, wedle swego widzimisię, pojęciami sprawiedliwości i własności, odjąć albo nadać rzeczom dowolny charakter, kojarzyć z pewnymi uczynkami lub też wyłączać z nich dobro i zło, radząc się jedynie swego kaprysu, wypływają z tego wzajemne przygany, oskarżenia, podejrzania, tyrania, zawiść, zazdrość, oszukaństwa, zgrzyoty, ukrywanie się, obłudza, szpiegostwo, pułapki, waśnie, kłamstwa; córki okłamują rodziców, mężowie żony, żony mężów; dziewczęta, tak, jestem tego pewny, będą dusiły własne dzieci; podejrzliwi ojcowie będą lekceważyć i zaniedbywać swoje; matki opuszczają je i zdadzą na łaskę losu, a zbrodnia i rozpusta wyłonią się we wszelakiej postaci. Wiem to wszystko, jak gdybym żył wśród was. Tak jest, ponieważ tak musi być; owo społeczeństwo, którego piękny ład wychwała wam jego naczelnik, musi być jedynie zbiorowiskiem obłudników, którzy tajemnie depcą nogami prawo, lub też nieszczęśliwców, którzy w swej uległości stają się sami narzędziem własnej kaźni; głupców, w których przesąd do szczętu zdławił głos natury, lub wreszcie niewydarzonych istot, w których natura nie domaga się swoich praw.

KAPELAN: Jakbyś na to patrzył. Ale wy się przecież nie żenicie?

ORU: Żenimy się.

KAPELAN: Cóż to jest, to wasze małżeństwo?

ORU: Pozwolenie mieszkania we wspólnej chacie i sypiania we wspólnym łożu, póki nam to odpowiada.

KAPELAN: A skoro przestanie odpowiadać?

ORU: Rozłączamy się.

KAPELAN: A cóż z dziećmi?

ORU: O cudzoziemcze! To pytanie do reszty odsłania mi głęboką niedolę twego kraju. Wiedz, przyjacielu, że tutaj urodzenie dziecka jest zawsze szczęściem, a śmierć jego przedmiotem łez i żalów. Dziecko jest bardzo cenne, ponieważ ma się stać człowiekiem, toteż dbamy o nie o ileż więcej niż o rośliny i zwierzęta! Urodzenie dziecka staje się źródłem domowej i publicznej radości; jest to pomnożenie majątku chaty i siły narodu, para ramion i rąk więcej; widzimy w nim rolnika, rybołowcę, myśliwca, żołnierza, małżonka, ojca. Wracając z chaty męża do domu rodziców, żona zabiera z sobą dzieci, które wniosła

obyczaj, małżeństwo,
dziecko

w posagu; dzieli się po połowie te, które urodziły się w czasie wspólnego pożycia, wyrównując, o ile to możliwe, płęć, tak aby każdemu przypadło mniej więcej jednakowo dziewcząt i chłopców.

KAPELAN: Ależ dzieci są długi czas ciężarem, nim zaczną oddawać usługi.

ORU: Przeznaczamy na ich wychowanie i na utrzymanie starców szóstą część wszystkich płodów kraju; ta danina idzie za nimi wszędzie. Widzisz tedy, że im rodzina Otajczyka jest liczniejsza, tym bogatsza.

KAPELAN: Szóstą część!

ORU: Tak, to niezawodny sposób zachęty do rozmnażania się oraz wzbudzenia szacunku dla starców i troskliwości o dzieci.

KAPELAN: Czy małżonkom zdarza się wracać niekiedy do siebie?

ORU: Bardzo często; jednakże najkrótszy czas małżeństwa jest od jednego księżycy do drugiego.

KAPELAN: Chyba że kobieta zajdzie w ciążę; wówczas pożycie musi trwać najmniej dziewięć miesięcy?

ORU: Mylisz się: ojcostwo, jak danina, idzie za dzieckiem wszędzie.

KAPELAN: Mówiłeś coś o dzieciach, które kobieta wnosi mężowi w wianie...

ORU: Oczywiście. Oto moja starsza córka ma troje dzieci; chodzą, są zdrowe, ładne, zapowiadają, iż będą silne; skoro przyjdzie jej ochota wydać się za mąż, weźmie je z sobą, należą do niej: mąż przyjmie je z radością, a żona byłaby mu tym miłsza, gdyby była brzemienna czwartym.

KAPELAN: Z nim?

ORU: Z nim lub z innym. Im więcej nasze dziewczęta mają dzieci, tym bardziej są poszukiwane; im bardziej chłopcy są krzepcy i silni, tym są bogatsi; toteż o ile baczymy pilnie, aby chronić młodych od zbliżenia przed wiekiem płodności, o tyle zachęcamy do parzenia się, skoro są dojrzały, a dziewczęta sposobne do macierzyństwa. Niepodobna ci ocenić usługi, jaką oddałeś mojej Thii, jeżeliś ją uczynił brzemienną. Matka nie będzie jej już powtarzała przy każdym księżycu: „Ależ, Thio, co ty wyprawiasz? Nie zachodzisz w ciążę; masz dziewiętnaście lat; powinnaś już mieć dwoje dzieci, a nie masz żadnego. Kto zechce cię wziąć? Jeśli stracisz w ten sposób młode lata, co będzie na starość? Widocznie, Thio, musisz mieć jakąś wadę, która oddala od ciebie mężczyzn. Popraw się, dziecko; w twoim wieku byłam już trzy razy matką”.

KAPELAN: Jakich ostrożności używacie, aby chronić dorastających chłopców i dziewczęta?

ORU: To główny przedmiot wychowania i najważniejszy punkt obyczajności publicznej. Aż do dwudziestu dwu lat, dwa lub trzy lata poza wiek dojrzałości, chłopcy chodzą okryci długą tuniką, z biodrami opasanymi cienkim łańcuszkiem. Przed wiekiem dojrzałości dziewczętom nie wolno wychodzić bez zasłony. Zdjąć łańcuszek, podnieść zasłonę — to wykroczenia, które zdarzają się rzadko, ponieważ tłumaczymy młodym zawczasu przykre ich następstwa. Ale z chwilą gdy chłopiec doszedł pełni sił, gdy oznaki męskości ujawniają się wyraźnie, częsty zaś wypływ oraz jakość płynu nasiennego daje nam tego pewność, gdy młoda dziewczyna więdnie, smutnieje i dochodzi wieku, w którym zdolna jest odczuwać pragnienia, budzić je i zaspakając z pożytkiem, ojciec odwiązuje synowi łańcuch i obcina mu paznokcie przy średnim palcu prawej ręki, matka zdejmuję córce zasłonę. Chłopiec może zabiegać się o kobietę i być celem zabiegów, dziewczyna może przechadzać się publicznie z odkrytą twarzą i nagą piersią, przyjąć lub odrzucić pieszczoty mężczyzny. Wskazujemy jedynie chłopcu dziewczęta, dziewczynie chłopców, którym należy dać pierwszeństwo. Dzień wyzwolin dziewczyny albo chłopca jest wielkim świętem. Jeśli chodzi o dziewczynę, młodzi chłopcy zbierają się w wilię⁷⁶ koło chaty: całą noc wszystko rozbrzmiewa śpiewem i muzyką. W dzień rodzice prowadzą ją w okole, gdzie młodzież tańczy i ćwiczy się w skokach, pasowaniu⁷⁷ się i wyścigach. Roztacza się przed nią nagiego mężczyznę pod wszelką postacią, we wszelkich pozach. Jeśli chodzi o chłopca, młode dziewczęta raczą go swoim widokiem i ukazują jego spojrzeniom nagą kobietę bez ograniczeń i tajemnic. Reszta ceremonii odbywa się na łożu z liści, jak to widziałeś za

obyczaj, młodość,
dorosłość, seks

⁷⁶wilia (daw.) a. wigilia — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; w wilię: w przeddzień. [przypis edytorski]
⁷⁷pasować się — walczyć, zmagać się z kimś a. czymś (por. zapasy jako konkurencja sportowa). [przypis edytorski]

przybyciem. O schyłku dnia dziewczyna wraca do rodziców lub też przechodzi do chaty tego, którego wybrała, i zostaje tam, jak długo się jej podoba.

KAPELAN: Zatem ta uroczystość jest albo nie jest połączona z małżeństwem?

ORU: Rzekłeś...

A.: Co ja tu widzę na kraju⁷⁸...

B.: To notatka, w której dobry kapelan powiada, że przepisy rodziców co do wyboru chłopców i dziewcząt są pełne rozsądku oraz bardzo zmyślnych i użytecznych spostrzeżeń, ale że usunął ten katechizm, który ludziom zepsutym i powierzchownym jak my wydałby się bezgranicznie rozwiązy. Dodaje wszelako, iż nie bez żalu odrzucił te szczegóły, w których widzi się, po pierwsze, jak daleko naród, który zajmuje się nieustannie ważnym przedmiotem, może dojść w swoich badaniach bez pomocy fizyki i anatomii; po wtóre, jakie są różnice w pojmowaniu urody w kraju, gdzie patrzą na formy nie z punktu chwilowej przyjemności, ale gdzie je oceniają wedle bardziej trwałego pożytku. U nas, aby kobietę uznano za piękną, wymaga się lśniącej cery, wyniosłego czoła, pięknych oczu, harmonijnych i delikatnych rysów, wiotkiej kibici, małych ust, małych rąk, małej stopy... Tam prawie żaden z tych czynników nie wchodzi w rachubę. Kobieta, na którą zwracają się wszystkie oczy i którą ścigają żądze, to ta, która zapowiada wiele dzieci i wróży, że będą żwawe, inteligentne, odważne, zdrowe i silne. Nie ma prawie nic wspólnego między Wenus⁷⁹ ateńską a Wenus Otaiti: jedna jest bóstwem miłości, druga płodności. Pewna Otajka mówiła raz do drugiej: „Jesteś ładna, ale rodzisz brzydkie dzieci; ja jestem brzydka, ale rodzę ładne dzieci; toteż mężczyźni wolą mnie od ciebie”.

Po tej notatce kapelana Oru ciągnie dalej.

ORU: Szczęśliwym momentem dla młodej dziewczyny i jej rodziców jest chwila, w której spostrzeże oznaki ciąży. Wstaje, przybiega, zarzuca matce i ojcu ramiona na szyję; wśród wybuchów obopólnej radości oznajmia im to wydarzenie. „Mamo! Ojczulku! Uściskajcie mnie; jestem w ciąży!” — „Czy to tylko pewne?” — „Zupełnie”. — „I z kim?” — „Z takim a takim” ...

KAPELAN: W jaki sposób może wymienić imię ojca?

ORU: Jakże chcesz, aby go nie znała? Czas trwania miłości jest u nas określony tak samo, jak małżeństwo: sięga co najmniej od jednego do drugiego księżycy.

KAPELAN: I przepisu tego przestrzega się ściśle?

ORU: Zaraz osądzisz. Po pierwsze, obrót księżycy nie jest długi; dalej, skoro dwóch ojców ma uzasadnione pretensje do dziecka, przestaje ono należeć do matki.

KAPELAN: Do kogóż tedy?...

ORU: Do tego z dwóch, któremu woli je oddać; oto cały jej przywilej; że zaś dziecko jest samo w sobie przedmiotem szacunku i bogactwa, pojmujesz, iż wśród nas rozpustnice są rzadkie i że młodzi chłopcy stronią od nich.

KAPELAN: Macie zatem także rozpustnice? Bardzom rad z tego.

ORU: Mamy ich nawet niejeden rodzaj; ale odciągasz mnie od przedmiotu. Skoro tedy dziewczyna zajdzie w ciążę, a okaże się, że ojciec dziecka jest to młody człowiek piękny, dobrze zbudowany, dzielny, inteligentny i pracowity, nadzieja, iż dziecko odziedziczy jego cnoty, budzi nową radość. Wstyd przynosi dziewczynie jedynie zły wybór. Wyobrażasz sobie, jaką wagę przywiązujemy do zdrowia, piękności, siły, bystrości, odwagi: pojmujesz tedy, w jaki sposób, bez przymusu z naszej strony, przywileje krwi muszą się u nas przechowywać wiecznie. Ty, który przebiegłeś rozmaite okolice, powiedz, czy zauważyłeś gdzie tyłu pięknych mężczyzn i tyle pięknych kobiet co w Otaiti? Patrz na mnie: jak ci się wydają? Jest tutaj dziesięć tysięcy mężczyzn bardziej rośłych, silnych, ale ani jednego dzielniejszego ode mnie; toteż matki polecają mnie często córkom.

KAPELAN: Ale ze wszystkich dzieci, które możesz spłodzić poza własną chatą, cóż ci się dostaje?

ORU: Co czwarty chłopiec lub dziewczyna. Ustaliły się u nas prawa obiegu mężczyzn, kobiet i dzieci, czyli ramion wszelkiego wieku i do wszelakich funkcji, o wiele zaiste donioślejsze niż rozdział waszych dóbr, które są jedynie ich owocem.

KAPELAN: Rozumiem. A co są te czarne zasłony, które spotykam niekiedy?

⁷⁸kraj — tu: skraj, margines strony. [przypis edytorski]

⁷⁹Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

Uroda

Kobieta, Uroda, Matka

obyczaje, dziecko, rodzina

obyczaje

ORU: Oznaka bezpłodności wskutek przyrodzonej wady lub podeszłego wieku. Ta, która zdejmie zasłonę i zbliży się do mężczyzn, jest rozpustnicą; ten, który podniesie zasłonę i zbliży się do niepłodnej, jest rozpustnikiem.

KAPELAN: A szare zasłony?

ORU: Znak przewlekłej choroby. Ta, która porzuci zasłonę i zbliży się do mężczyzn, jest rozpustnicą; ten, który jej uchyli i zbliży się do kobiety chorej, jest rozpustnikiem.

KAPELAN: Macie jakie kary na rozpustę?

ORU: Żadnej, prócz nagany.

KAPELAN: Czy ojciec może mieć sprawę z własną córką, matka z synem, brat z siostrą, mąż z cudzą żoną?

ORU: Czemu nie?

KAPELAN: Niechby już było porubstwo⁸⁰; ale kazirodztwo, ale cudzołóstwo!...

ORU: Co mają oznaczać te słowa: porubstwo, kazirodztwo, cudzołóstwo?

KAPELAN: Zbrodnie, straszliwe zbrodnie, za które palą w moim kraju na stosie.

ORU: Czy za to w twoim kraju palą czy nie palą, mało mnie obchodzi. Ale nie będziesz sądził Europy na podstawie obyczajów Otaiti, ani tym samym odwrotnie: trzeba nam pewniejszego prawidła; gdzież je znajdziemy? Czy znasz jakie inne niż powszechne dobro i poszczególny pożytek? A teraz powiedz mi, w czym owo rzekome kazirodztwo sprzeczne jest z tym podwójnym celem? Mylisz się, przyjacielu, skoro sądzisz, iż raz ogłoszwszy prawo, wymyśliwszy zelżywą nazwę, uchwalwszy karę, przesądziło się już o rzeczy. Odpowiedz tedy, co rozumiesz pod kazirodztwem?

KAPELAN: Ależ kazirodztwo...

ORU: Kazirodztwo?... Czy dawno twój robotnik bez głowy, rąk i narzędzi sporządził świat?

KAPELAN: Nie.

ORU: Czy uczynił cały rodzaj ludzki naraz?

KAPELAN: Nie. Stworzył jedynie mężczyznę i kobietę.

ORU: Czy mieli dzieci?

KAPELAN: Oczywiście.

ORU: Przypuśćmy, że tych dwoje pierwszych rodziców miało jedynie córki i że ich matka zmarła pierwsza; lub że mieli jedynie synów i że kobieta straciła małżonka?

KAPELAN: Przypierasz mnie do muru; ale darmo byś gadał, kazirodztwo jest potworną zbrodnią; mówmy o czym innym.

ORU: Wyborny sposób argumentacji. Nie odezwę się ani słowem, póki mi nie powiesz, na czym polega okropność kazirodztwa.

KAPELAN: A więc, przyznaję, kazirodztwo nie obraża może w niczym przyrody; ale czy nie wystarcza, iż grozi ustrojowi społecznemu? W cóż obróciłoby się bezpieczeństwo monarchy i spokój państwa, gdyby cały naród, składający się z milionów ludzi, skupiał się około jakich pięćdziesięciu ojców rodziny?

ORU: Najgorszą możliwością byłoby to, iż tam gdzie jest tylko jedno duże społeczeństwo, byłoby pięćdziesiąt małych; więcej szczęścia, a mniej zbrodni.

KAPELAN: Sądzę wszelako, iż nawet tutaj syn rzadko zbliża się do matki.

ORU: Chyba że ma dla niej bardzo wiele szacunku oraz czułość, która mu każe zapomniać o nierówności wieku i przełożyć czterdziestoletnią kobietę nad dziewiętnastoletnią dziewczynę.

KAPELAN: A stosunki ojców z córkami?

ORU: Też nie są częste, chyba że córka jest brzydka i mało poszukiwana. Jeżeli ojciec ją kocha, troszczy się o to, aby jej zapewnić posag w dzieciach.

KAPELAN: To każe mi przypuszczać, iż los kobiet upośledzonych przez naturę nie musi być zbyt szczęśliwy w Otaiti.

ORU: To dowodzi, że nie masz wysokiego pojęcia o wspaniałomyślności naszej młodości.

KAPELAN: Co do związków braci z siostrami, nie wątpię, iż muszą być bardzo pospolite.

ORU: I bardzo pochwalane.

obyczaje

Prawo, Dobro, Zło

obyczaje

⁸⁰porubstwo (daw.) — rozwiązość. [przypis edytorski]

KAPELAN: Wedle tego co mówisz, ta namiętność, która powoduje tyle zbrodni i nie-
szczęść w naszych stronach, byłaby tutaj zupełnie niewinna.

ORU: Cudzoziemcze, grzeszysz brakiem rozsądku i pamięci: rozsądku, ponieważ wszę-
dzie, gdzie jest zakaz, musi on rodzić pokusę rzeczy zakazanej; pamięci, ponieważ nie po-
mnisz⁸¹ już o tym, co ci powiedziałem. Mamy stare rozpustnice, które wychodzą w nocy
bez zasłony i przyjmują mężczyzn, mimo iż nic nie może wyniknąć z tego zbliżenia; je-
żeli je ktoś rozpozna albo przydybie, wygnanie na północną część wyspy albo niewola
staje się ich karą; toż samo tyczy nieletnich dziewcząt, które uchylą białej zasłony bez
wiedzy rodziców (mamy dla takich zamknięte miejsce w chacie); mamy młodych ludzi,
którzy zdejmują łańcuszek przed czasem przepisany przez naturę i prawo (karcimy za
to ich rodziców); kobiety, którym czas ciąży wydaje się zbyt długi; kobiety i dziewczęta
nieprzestrzegające szarej zasłony; ale w rzeczy⁸² nie przywiązujemy wielkiej wagi do tych
błędów. Nie uwierzyłbyś, do jakiego stopnia pojęcie osobistego lub powszechnego do-
brobytu, zespolone w naszych głowach z pojęciem zaludnienia, oczyszcza obyczaje w tej
mierze.

KAPELAN: A czy miłość dwóch mężczyzn do jednej kobiety lub dwóch kobiet do jed-
nego mężczyzny nie powoduje zaburzeń?

ORU: Widziałem w życiu ledwie parę przykładów czegoś podobnego: wybór kobiety
lub mężczyzny kładzie kres wszystkiemu. Gwałt ze strony mężczyzny byłby poważnym
błędem; ale trzeba publicznej skargi, jest zaś prawie niesłychanym, aby dziewczyna lub
kobieta poskarżyła się. Jedyne, co zauważyłem, to iż kobiety mniej okazują współczucia
dla szpetnych mężczyzn niż młodzi ludzie dla upośledzonych kobiet, i nie jesteśmy z tego
nieradzi.

KAPELAN: Nie znacie zgoła, wedle tego, co widzę, zazdrości; ale tkliwość małżeńska,
miłość ojcowska, te dwa tak potężne i słodkie uczucia, jeśli nie są wam zupełnie obce,
muszą być w każdym razie wątle.

ORU: Zastąpiliśmy je innym, które jest o wiele bardziej powszechne, mocne i trwałe:
interesem. Połóż rękę na sumieniu; usuń na bok tę fanfaronadę⁸³ cnoty, która jest bez
ustanku na ustach twoich towarzyszy, a która nie mieszka w głębi ich serca. Powiedz
mi, czy w jakiegokolwiek okolicy świata istnieje ojciec rodziny, który, gdyby nie krępu-
jący go wstyd, nie wołałby raczej stracić żony niż mienia i dostatku całego życia? Bądź
pewny, iż wszędzie, gdzie człowiek będzie przywiązany do życia bliźniego jak do swego
łóżka, zdrowia, spokoju, swojej chaty, owoców, pola, uczyni dlań wszystko, co w jego
mocy. Tutaj to lzy zraszają łóże dziecka, które cierpi; tu pielęgnuje się matkę w choro-
bie; tu szanuje się płodną kobietę, dziewczynę dojrzałą dla męża, dorastającego chłopca;
tu rodzice zajmują się ich wychowaniem, ponieważ obecność ich jest zawsze wzrostem,
a strata uszczupleniem mienia.

KAPELAN: Obawiam się, że ten dziki ma słuszość. Biedny nasz chłopiec, który zamęcza
żonę, aby ulżyć koniowi, daje ginąć dziecku bez pomocy, a wzywa lekarza do chorego
wołu.

ORU: Nie bardzo rozumiem, co rzekłeś; ale skoro wrócisz do swej tak pięknie urzą-
dzonej ojczyzny, staraj się wprowadzić tam tę sprężynę, a wówczas uczucie wartość ro-
dzącego się dziecka oraz znaczenie zaludnienia. Chcesz, abym ci odsłonił jedną tajemnicę?
Ale uważaj, abyś jej nie zdradził. Przybywacie: ofiarujemy wam żony i córki; dziwicie się
temu, objawiacie wdzięczność, która pobudza nas do śmiechu, dziękujecie, podczas gdy
my wymierzamy na ciebie i twoich towarzyszy najważniejszy ze wszystkich podatków.
Nie zażądaliśmy od ciebie pieniędzy; nie rzuciliśmy się na twoje towary; wzgardziliśmy
twymi zapasami; ale żony nasze i córki postarały się wycisnąć krew z twoich żył. Skoro
się oddalisz, zostawisz nam dzieci; ten haracz ściągnięty z waszych osób, z waszej własnej
istoty, czyż nie jest twoim zdaniem tyle wart co inny? A jeśli chcesz ocenić jego wartość,
wyobraź sobie, że masz przebiec dwieście mil wybrzeża i że co dwadzieścia mil nakładają
na ciebie podobny podatek. Mamy olbrzymie przestrzenie leżące odłogiem, brak nam
rąk, ciebie poprosiliśmy o nie. Mamy kłęski zaraźliwych chorób do wyrównania, ciebie
użyliśmy dla zapełnienia szczyrb. Mamy nieprzyjaciół, trzeba nam żołnierzy: poprosili-

⁸¹pomnieć (daw.) — pamiętać. [przypis edytorski]

⁸²w rzeczy (daw.) — w gruncie rzeczy; w rzeczywistości. [przypis edytorski]

⁸³fanfaronada — chępliwość, przechwalanie się. [przypis edytorski]

obyczaje

Chłop

śmy ciebie, abys nam ich sporządził. Liczba kobiet i dziewcząt jest u nas zbyt duża na liczbę mężczyzn: zaprzęgliśmy cię do naszych zadań. Między kobietami i dziewczętami znajdują się takie, z których nie mogliśmy uzyskać dzieci, i te właśnie podsunęliśmy waszym uściskom. Mamy zapłacić haracz w ludziach gniotącemu nas sąsiadowi; ty i twoi towarzysze pokryjecie jego koszt; za kilka lat pošlemy mu waszych synów, jeżeli będą mniej warci od naszych. Jesteśmy silniejsi, zdrowsi od was, ale rychło spostrzegliśmy, iż przewyższacie nas inteligencją: natychmiast przeznaczylismy garstkę najładniejszych kobiet i dziewcząt, iżby przyjęły nasienie rasy lepszej niż nasza. Jest to próba, którąśmy podjęli i która może się powieść. Wydobyliśmy z ciebie i z twoich jedyną korzyść, jaką mogliśmy wydobyć; wierzaj mi, mimo że dzicy, umiemy także rachować. Udaj się, gdzie chcesz, wszędzie znajdziesz człowieka równie chytrego jak ty sam. Da ci zawsze jedynie to, co nie zda mu się na nic, a zażąda od ciebie zawsze tego, co mu jest użyteczne. Jeśli ci ofiaruje kawałek złota za kawał żelaza, to dlatego, iż nie dba o złoto, a ceni żelazo. Ale powiedz mi, czemu ty nie jesteś ubrany tak jak drudzy? Co znaczy ten długi płaszcz, który otula cię od stóp do głów, i ten szpiczasty worek, który spuszczasz na ramiona lub naciągasz na uszy?

KAPELAN: Znaczy, iż jak mnie widzisz, zaciągnąłem się do społeczności ludzi, którzy nazywają się w mojej ojczyźnie mnichami. Najświętszym z ich ślubów jest ten, iż nie zbliżą się nigdy do kobiety i nie będą płodzić dzieci.

ORU: Cóż tedy robisz?

KAPELAN: Nic.

ORU: I władze znoszą to plemię próżniaków, najgorsze ze wszystkich?

KAPELAN: Czynią więcej: szanują ich i nakazują szanować.

ORU: Pierwszą mą myślą było, iż natura, przypadek jakiś lub wybryk okrucieństwa pozbawiły cię zdolności płodzenia podobnych sobie istot i że przez litość obywatele woleli raczej zostawić was przy życiu niż zabijać. Ale, mnichu, córka powiedziała mi, że ty jesteś mężczyzną krępkim nie gorzej Otajczyka i spodziewa się, iż twoje mnogie pieszczoty nie będą bezowocne. Teraz rozumiem, czemu wykrzykiwałeś wczoraj wieczór: „Moja religia! Mój stan!”. Czy mógłbyś mnie pouczyć, jakie są przyczyny względów i szacunku, którymi rząd was otacza?

KAPELAN: Nie wiem.

ORU: Wiesz bodaj, dla jakiej racji, będąc mężczyzną, skazałeś się dobrowolnie na zaparcie się własnej męskości?

KAPELAN: To zbyt długie i trudne do tłumaczenia.

ORU: A co się tyczy owych ślubów bezpłodności, czy mnichy przestrzegają ich ściśle?

KAPELAN: Nie.

ORU: Byłem tego pewny. Czy macie też i mniszki żeńskiego rodzaju?

KAPELAN: Owszem.

ORU: Równie cnotliwe jak mnichy-mężczyźni?

KAPELAN: Poddane ściślejszemu zamknięciu, usychają z bóleści, giną z nudy.

ORU: I zniewaga uczyniona naturze jest pomszczona. O, szpetny kraj! Jeżeli wszystko tam odbywa się tak, jak prawisz, jesteście większymi barbarzyńcami od nas.

Dobry kapelan opowiada, iż resztę dnia przechadzał się po wyspie, odwiedzając chaty, i że wieczorem, po spożyciu posiłku, rodzice błagali go, aby się przespał z drugą córką; że Palli pojawiła się w tym samym negliżu co Thia i że miał sposobność wykrzyknąć kilka razy tej nocy: „Moja religia! Mój stan!”. Trzeciej nocy miały nim te same wyrzuty z najstarszą Asto, czwartą zaś poświęcił, przez uprzejmość, żonie gospodarza.

IV. DALSZY CIĄG DIALOGU

A.: Podoba mi się ten uczynny kapłan.

B.: A mnie o wiele więcej obyczaje Otaiti i wywody Oru.

A.: Mimo iż nieco przybrane po europejsku.

B.: Nie wątpię o tym.

Tutaj dobry kapelan skarży się, iż zbyt krótki pobyt w Otaiti nie pozwolił mu lepiej poznać obyczajów tego narodu, dość roztropnego, aby z własnego instynktu poprzestać na mierności, lub też dość szczęśliwego, aby posiadać klimat, którego żyzność pozwala mu

trwać w błogosławionym uspieniu; dość czynnego, aby zabezpieczyć konieczne potrzeby, a dość obojętnego, aby jego niewinność, spokój i szczęście mogły się nie obawiać zbyt szybkiego postępu wiedzy. Nic tam w mniemaniu i w prawach nie było złego, prócz tego, co było złe wedle natury. Prac i zbiorów dokonywano wspólnie. Pojęcie własności było tam bardzo ciasne; miłość, sprowadzona do fizycznego łaknienia, nie rodziła właściwych nam zaburzeń. Cała wyspa przedstawiała obraz szczęśliwej rodziny; chaty to były niby poszczególne apartamenty naszych pałaców. Kończąc, kapelan zaręcza, że ci Otajczycy zawsze mu będą przytomni⁸⁴ w pamięci; nieraz wręcz doznawał pokusy, aby rzucić swe szaty i spędzić resztę dni między nimi; a obawia się, iż nieraz przyjdzie mu żałować, że tego nie uczynił.

A.: Niezależnie od tej pochwały, jakież użyteczne wnioski można by wydobyć z dziwnych zwyczajów i obyczajów tego pierwotnego ludu?

B.: Co do mnie, widzę jasno, iż skoro niektóre przyczyny fizyczne, jak np. oporność gruntu, wprawiły w ruch przemysłowość człowieka, rzut ten prowadzi go o wiele poza cel i przekroczywszy granice potrzeby, niesie go w bezkresny ocean urojeń, z których już się nie wydobędzie. Oby szczęśliwy mieszkaniec Otaiti mógł się zatrzymać tam, gdzie się znajduje! Widzę, iż wyjąwszy ten ustronny zakątek globu, nie było i nie będzie może nigdzie obyczajności.

A.: Co rozumiesz tedy przez „obyczajność”?

B.: Powszechnie poddanie się prawom, dobrym czy złym, oraz zgodne z nimi postępowanie. Jeśli prawa są dobre, obyczaje są dobre; jeśli złe, obyczaje są złe; jeśli praw, dobrych lub złych, nie przestrzega się, co jest najgorszym stanem społeczeństwa, nie ma w ogóle obyczajów. Owóż jakże chcesz, aby prawa zażywały posłuchu, kiedy kłócą się między sobą? Przebiegnij dzieje wieków i narodów, zarówno dawnych, jak nowych, a ujrzyś wszędzie ludzi podległych trzem kodeksom: natury, społeczności i religii, oraz zniewolonych naruszać kolejno te trzy kodeksy, które nigdy nie były z sobą w zgodzie; z czego wynikło, iż nie było nigdy w żadnym kraju, jak to odgadł Oru, mówiąc o nas, ani człowieka, ani obywatela, ani religianta.

A.: Z czego wyciągniesz zapewne wniosek, iż skoro moralność oprze się na wiecznych stosunkach istniejących między ludźmi, prawo religijne stanie się może zbyt, społeczne zaś powinno być jedynie wyrazem natury.

B.: O ile nie chce mnożyć ludzi złych, zamiast czynić dobrych.

A.: Lub też, jeżeli uznamy potrzebę zachowania wszystkich trzech praw, dwa ostatnie powinny być jeno ścisłym odbiciem pierwszego, które przynosimy na świat wyryte na dnie duszy i które będzie zawsze najsilniejsze.

B.: To nie jest ściśle. Przynosimy, rodząc się, jedynie podobieństwo organizacji z innymi istotami; te same potrzeby, pociąg do tych samych przyjemności, wspólną niechęć do tych samych przykrości: oto co czyni człowieka, czym jest, i co powinno być podstawą jego moralności.

A.: To nie jest łatwe.

B.: To jest tak trudne, iż skłonny jestem wierzyć, że najbardziej dziki lud na kuli ziemskiej, Otajczycy, o ile się trzyma ściśle prawa natury, bliższy jest dobrego prawodawstwa niż którykolwiek cywilizowany naród.

A.: Ponieważ łatwiej im pozbyć się nieokrzesań niż nam cofnąć się z drogi i wyleczyć z przesądów.

B.: Zwłaszcza tych, które tyczą stosunków płci.

A.: Może. Ale zacznijmy od początku. Spytajmy po prostu natury i przyjrzyjmy się bez uprzedzeń, co nam odpowie w tym względzie.

B.: Zgoda.

A.: Czy małżeństwo jest rzeczą naturalną?

B.: Jeśli rozumiesz przez małżeństwo skłonność, jaką samica okazuje jednemu samcowi lub jaką samiec zdradza dla jednej samicy, wzajemną skłonność, w której następcie powstaje mniej lub więcej trwały związek, uwieczniający gatunek przez rozmnożenie osobników — w takim razie małżeństwo jest rzeczą naturalną.

⁸⁴przytomny (daw.) — obecny (przy czymś, przy jakimś wydarzeniu); trwale pozostający (np. w myślach). [przypis edytorski]

A.: Myślę jak i ty; skłonność taką bowiem można zauważyć nie tylko u ludzi, ale i w innych gatunkach zwierząt: dowodem liczny huf⁸⁵ samców, które na wiosnę oblegają jedną samicę, a z których jeden tylko uzyskuje prawa małżonka. A zaloty?

B.: Jeśli rozumiesz przez zaloty tę różnorodność środków, gwałtownych lub tkliwych, jakie namiętność podsuwa samcowi czy samicy dla uzyskania tego wyróżnienia, prowadzącego do najśłodszej, najważniejszej i najpowszechniejszej ze wszystkich rozkoszy, zaloty są rzeczą naturalną.

A.: Jestem twego zdania. Dowodem owe najróżniejsze przymilności, jakie rozwija samiec, aby się spodobać samicy, samica zaś, aby podniecić namiętność i utrwalić skłonność samca. A kokieteria?

B.: Jest to kłamstwo polegające na udawaniu namiętności, której się nie czuje, i przyrzekaniu wyróżnienia, którego się nie użyczy. Samiec-kokiet drwi sobie z samicy. Samica-kokietka drwi sobie z samca; przewrotna igraszka, która sprowadza niekiedy najopłakańsze nieszczęścia; śmieszna komedia, za którą oszukujący i oszukiwany jednaką ponoszą karę przez stratę najszacowniejszych chwil życia.

A.: Zatem kokieteria, wedle ciebie, nie jest objawem naturalnym?

B.: Tego nie mówię.

A.: A stałość?

B.: Nie powiem ci w tej materii nic lepszego, niż Oru powiedział kapelanowi. Biedna próżnostka dwojga dzieci, które nie znają samych siebie i którym pijaństwo chwili przesłania niestałość wszystkiego, co ich otacza!

A.: A wierność, ten rzadki fenomen?

B.: U nas jest prawie zawsze uporem i męczarnią uczciwego mężczyzny i uczciwej kobiety; w Otaiti — chimera⁸⁶.

A.: A zazdrość?

B.: To namiętność ubogiego i skąpego bydlęcia, które lęka się, iż mu czegoś braknie; uczucie niegodne człowieka; następstwo naszych fałszywych obyczajów oraz prawa własności rozciągniętego na przedmiot czujący, myślący, obdarzony wolą i swobodą.

A.: Zatem zazdrość, wedle ciebie, nie jest uczuciem naturalnym?

B.: Tego nie mówię. Przywary i cnoty, wszystko zarówno jest w naturze.

A.: Zazdrość jest ponury.

B.: Jak tyran, ponieważ ma świadomość swej tyranii.

A.: A wstyd?

B.: Ależ ty mnie wyciągasz na wykład psychologii miłosnej. Człowiek nie chce, aby go niepokojono ani też przeszkadzano mu w jego rozkoszach. Słodczyce miłości wiodą za sobą niemoc, która wydałaby go bez obrony na łup nieprzyjacielowi. Oto i cała naturalna podstawa wstydu; reszta jest narzucona.

W trzecim ustępie, którego ci nie odczytałem, kapelan czyni uwagę, iż Otajczyk nie rumieni się za mimowolne drgnienia, jakie budzą się w nim w sąsiedztwie żony, w otoczeniu córek, i że te przyglądają się im, niekiedy ze wzruszeniem, nigdy z zakłopotaniem. Skoro tylko kobieta stała się własnością mężczyzny, ukradkowe zaś posiadanie dziewczyny zaczęto uważać za kradzież, zrodziły się pojęcia wstydu, powściągliwości, przystojności, urojonych cnót i występków; słowem, silono się stworzyć między płciami zapory, które by im przeszkodziły zapraszać się wzajem do pogwałcenia narzuconych praw. Zapory te wywierały często wręcz przeciwny skutek, rozpalając wyobraźnię i drażniąc pragnienia. Skoro widzę drzewa zasadzone dokoła naszych pałaców oraz chusteczkę, która kryje i zarazem odsłania pierś kobiecą, mam wrażenie, iż widzę w tym bezwiedny powrót ku lasowi oraz tajemne parcie do pierwotnej swobody naszego dawnego mieszkania. Otajczyk rzekłby nam: „Czemu się kryjesz? Czego się wstydzisz? Czy robisz co złego, poddając się najdostojniejszemu popędowi przyrody? Mężczyzno, wystąp szczerze, jeśli budzisz sympatię. Kobieto, jeżeli ten mężczyzna ci odpowiada, przyjm go z tą samą szczerością”.

A.: Nie złość się. O ile zaczynamy jak ludzie cywilizowani, rzadkim jest, abyśmy nie kończyli na sposób otajski.

⁸⁵huf — hufiec; zastęp, oddział. [przypis edytorski]

⁸⁶Chimera (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: urojenie, mrzonka [przypis edytorski]

B.: Tak, te przedwstępne komedie konwensu pochłaniają pół życia genialnego człowieka.

A.: Zgoda; ale cóż to szkodzi, jeśli ten zgubny popęd ducha ludzkiego, przeciw któremu tak się okrzykiwałeś przed chwilą, ulega w tej samej mierze osłabieniu? Pewien współczesny filozof, zapytany, czemu mężczyźni ubiegają się o kobiety, a nie kobiety o mężczyzn, odpowiedział, iż naturalne jest prosić o coś tego, kto może w każdej chwili owego czegoś użyć.

B.: Argument ten wydawał mi się zawsze bardziej zmysłny niż przekonywujący. Natura, nieobyczajna jeżeli chcesz, prze bez różnicy jedną płć ku drugiej; otóż u dzikiego i bydlęcego człowieka, którego można sobie wyobrazić, ale który może nie istnieje nigdzie...

A.: Nawet w Otaiti?

B.: Nawet... Przestrzeń dzielącą mężczyznę od kobiety przebyłby ten, który by był najbardziej rozkochany. Jeżeli się ociągają, jeżeli umykają przed sobą, jeżeli się ścigają, unikają, zaczepiają, bronią, to dlatego, iż namiętność, nierówna w swych postępach, nie działa w obojgu z jednakową siłą. Z czego wynika, że rozkosz rozlewa się, trawi i gaśnie z jednej strony, wówczas gdy ledwie zaczyna się budzić z drugiej; stąd obustronne uczucie smutku. Oto wierny obraz tego, co by się działo między dwojgiem młodych, wolnych i zupełnie niewinnych istot. Ale kiedy kobieta poznała, przez doświadczenie lub wychowanie, mniej lub więcej okrutne następstwa słodkiej chwili, serce jej drży za zbliżeniem mężczyzny. Serce mężczyzny nie drży; zmysły jego rozkazują, on słucha. Zmysły kobiety przemawiają również; ale lęka się usłuchać ich. Rzeczą mężczyzny jest sprawić, by zapomniała o tej obawie, upoić ją, porwać. Mężczyzna jest pod działaniem całego naturalnego popędu do kobiety; naturalny popęd kobiety do mężczyzny, powiedziałby geometra, jest wypadkową z linii prostej namiętności i odwrotnie działającej linii obawy. Wypadkowa ta wikła się u nas mnóstwem rozmaitych czynników społecznych; czynników, które wszystkie prawie zmierzają ku temu, aby pomnożyć lęklivość jednej płci, a trwanie pościgu z drugiej. Jest to rodzaj taktyki, w której równolegle rozwija się zasoby obrony i ataku. Uświęcono obronę kobiety; okryto hańbą gwałt mężczyzny; gwałt, który byłby jedynie lekkim wykroczeniem w Otaiti, stał się zbrodnią w naszym społeczeństwie.

A.: Ale w jaki sposób utrzymało się, iż akt, którego cel jest tak podniosły i do którego natura zaprasza mocą najsilniejszego pociągu, iż największa, najśłodsza, najniewinniejsza z rozkoszy stała się dla nas najobfitszym źródłem zepsucia i nieszczęść?

B.: Oru wytłumaczył to dziesięć razy kapelanowi; posłuchaj go tedy raz jeszcze i staraj się zapamiętać.

Przez tyranię mężczyzny, który zmienił posiadanie kobiety w prawo własności.

Przez zwyczaje i obyczaje, które uzależniły związek małżeński od mnóstwa warunków.

Przez prawa społeczne, które poddały małżeństwo nieskończonym formalnościom.

Przez charakter naszego społeczeństwa, w którym nierówność majątku i stanu wytworzyła stosowność lub niestosowność małżeństwa.

Przez dziwną sprzeczność, wspólną wszystkim społeczeństwom, w których urodzenie dziecka zawsze uważane za wzrost bogactwa narodu, jest częściej i pewniej jeszcze wzrostem ubóstwa w rodzinie.

Przez polityczne rachuby monarchów, którzy wszystko ściągnęli⁸⁷ do swej korzyści i bezpieczeństwa.

Przez instytucje religijne, które przywiązały miano cnót i występków do spraw niedopuszczających żadnej moralności.

Jakże daleko jesteśmy od natury i szczęścia! Władztwa natury nikt nie zdoła zniweczyć: darmo stawiać mu przeszkody i zapory; będzie trwało. Piszcie, ile wam się podoba, na tablicach spiżowych — aby się posłużyć wyrażeniem roztropnego Marka Aurelego⁸⁸ — że rozkoszne tarcie się o siebie dwóch naskórków jest zbrodnią⁸⁹; serce ludzkie będzie

⁸⁷ściągać do czegoś (daw.) — sprowadzać do czegoś; redukować. [przypis edytorski]

⁸⁸Mark Aureliusz (121–180) — cesarz rzymski (od 161), filozof, zwolennik stoicyzmu; autor napisanego po grecku zbioru prywatnych notatek, znanego pod tradycyjnym tytułem *Rozmyślenia*. [przypis edytorski]

⁸⁹wyrażeniem (...) Marka Aurelego, że rozkoszne tarcie się o siebie dwóch naskórków jest zbrodnią — por. Marek Aureliusz, *Rozmyślenia* VI, 13, gdzie jednak współżycia seksualnego autor nie nazywa zbrodnią, ale zaleca

się dławić między groźbą waszego napisu a gwałtownością swego popędu. Ale to nie-ujarzmione serce nie przestanie się buntować; i po sto razy w życiu wasze przerażające głoski znikną naszym oczom. Wyryjcie na marmurze: „Nie będziesz jadł iksjona ani gryfa⁹⁰; będziesz miał sprawę tylko z żoną; nie poślubisz swojej siostry”, ale nie zapomnijcie wznosić kar w miarę niedorzeczności zakazów; dojdziecie do okrucieństwa, a nie zdolacie wyrodzić we mnie głosu natury.

A.: Jakże szczupły byłby kodeks narodów, gdyby się go ściśle dostosowało do kodeksu natury! Ileż błędów i występków oszczędziłoby się człowiekowi!

B.: Czy chcesz poznać skróconą historię prawie całej naszej nędzy? Oto ona: był człowiek naturalny; wprowadzono w jego wnętrzu człowieka sztucznego i wraz⁹¹ wszczęła się w tym wnętrzu wojna domowa, która trwa całe życie. To naturalny człowiek jest mocniejszy, to miażdży go człowiek moralny i sztuczny; w obu wypadkach to smutne monstrum, szarpane, rwane kleszczami, udręczone, rozpięte na kole, bez ustanku jęczy, bez ustanku jest nieszczęśliwe, czy że przejmuje je i upaja fałszywa duma, czy też powala je i gnębi fałszywa hańba. Mimo to istnieją przemożne okoliczności, które sprowadzają człowieka do jego pierwotnej prostoty.

A.: Nędza i choroba, dwaj wielcy czarnoksiężnicy.

B.: Rzekłeś. W istocie, cóż dzieje się wówczas z wszystkimi tymi narzuconymi cnotami? W nędzy mężczyzna jest bez sumienia; w chorobie kobieta bez wstydu.

A.: Uważałem to.

B.: Ale drugim fenomenem, który również zapewne nie uszedł twej uwagi, jest to, iż powrót sztucznego i moralnego człowieka idzie krok w krok za powrotem od stanu choroby do zdrowia. Chwila, w której niemoc się kończy, jest chwilą, w której wojna domowa zaczyna się na nowo i prawie zawsze z ujemnym wynikiem dla intruza.

A.: To prawda. Ja sam doświadczyłem, że człowiek naturalny objawia w rekonwalescencji siłę zgubną dla sztucznego i moralnego człowieka. Ale ostatecznie powiedz mi, czy trzeba człowieka cywilizować, czy też zostawić instynktowi?

B.: Mam odpowiedzieć szczerze?

A.: Oczywiście.

B.: Jeśli zamierzasz być jego tyranem, cywilizuj go; zatruj go, ile tylko zdołasz, moralnością przeciwną naturze; stawiaj mu wszelkie zapory; otocz widmami, które go będą straszyć; utrwal na wieczność wojnę w jego wnętrzu; niech człowiek naturalny wciąż będzie w łańcuchach i pod stopami człowieka moralnego. Chcesz, aby był szczęśliwy i wolny? Nie mieszaj się do jego spraw: dość nieprzewidzianych wydarzeń doprowadzi go do wiedzy i skażenia. Bądź zawsze przekonany, że to nie dla was, ale dla siebie przemądrzy prawodawcy urobili was i wychowali na takich, jakimi jesteście. Odwołuję się do wszystkich politycznych, społecznych i religijnych urzędzeń; zbadaj je do głębi: ujrzysz, jak z wieku na wiek rodzaj ludzki ugina kark w jarzmo, które garść hultajów stara się mu nałożyć. Miej się na baczności przed tym, kto chce wprowadzać porządek. Urządzać zawsze znaczy narzucać się za pana innym, zakuwając ich w pęta: Kalabryjczycy⁹² są prawie jedyni, których nie zdołały jeszcze omamić pochlebstwa prawodawców.

A.: I ten kalabryjski bezrząd podoba ci się?

B.: Zdaję się na wyrok doświadczenia i zakładam się, że ich barbarzyństwo mniej jest oplakane niż nasza cywilizacja. Ileż drobnych łajdactw równoważy u nas okrucieństwo paru wielkich zbrodni, o które robi się tyle hałasu! Ludzie niecywilizowani przedstawiają mi się jako mnogość rozproszonych i oddzielnych sprężyn. Bez wątpienia, gdyby się zdarzyło niektórym z owych sprężyn zderzyć się, wówczas jedna albo druga, lub też obie, skruszyłyby się. Aby zapobiec temu niebezpieczeństwu, osobnik o głębokiej mądrości

uświadomienie sobie, do czego się ono sprowadza jako czynność fizjologiczna, i traktowanie go jako czegoś tylko z pozoru ważnego. [przypis edytorski]

⁹⁰Nie będziesz jadł iksjona ani gryfa — odniesienie do francuskiego tekstu przekładu biblijnej *Księgi Powtórzonego Prawa* (14, 12–13), bazującego na tłumaczeniu łacińskim, gdzie wśród zakazanych do spożycia ptaków drapieżnych występują *le griffon* (łac. *gryphes*) oraz *l'ixion* (łac. *ixion*); przeniesione z łaciny nazwy iksjon i gryf wśród zakazanych ptaków występują również w polskim przekładzie Biblii sporządzonym przez Jakuba Wujka (XVI w.). [przypis edytorski]

⁹¹wraz (daw.) — od razu, natychmiast, zaraz. [przypis edytorski]

⁹²Kalabryjczycy — mieszkańcy pld.-zach. części Płw. Apenińskiego, włoskiego regionu zwanego Kalabrią. [przypis edytorski]

i wzniosłym geniuszu skupił te sprężyny i złożył z nich machinę; i w tej machinie, nazwanej społecznością, wszystkie sprężyny stały się czynne, zależne jedna od drugiej, bez ustanku napięte. Otóż w ciągu jednego dnia skruszyło się ich w tym prawnym porządku więcej niż wprzód w ciągu roku w bezładzie przyrody. A co za hałas! Co za spustoszenie! Cóż za olbrzymie zniszczenie małych sprężynek, skoro dwie, trzy, cztery ogromne machiny zderzą się gwałtownie!

A.: Zatem wybrałbyś raczej stan natury dzikiej i nieokrzeseanej?

B.: Dalibóg, nie śmiem rozstrzygać; ale wiesz, że widywano nieraz człowieka z miasta, jak zrzucał szaty i wracał do lasu, nigdy zaś nie widziano człowieka z lasu, aby się ubrał i osiedlił w mieście.

A.: Często przychodziło mi na myśl, że suma dobra i zła zmienna jest dla każdej jednostki, ale dola i niedola danego zwierzęcego gatunku ma swoje niepodobne⁹³ do przekroczenia granice, i że wysiłki nasze przynoszą nam może w ostatecznym wyniku tyleż utrapień co korzyści; tak, iż zadajemy sobie mnóstwo trudu, aby pomnożyć dwa człony równania, między którymi zachodzi wiekuista i konieczna równość. Mimo to nie wątpię, iż przeciętna długość życia człowieka cywilizowanego jest większa niż u człowieka dzikiego.

B.: A jeżeli trwanie machiny nie jest właściwą miarą jej większego lub mniejszego zużycia, cóż stąd za wniosek?

A.: Widzę, iż wszystko zważywszy, byłbyś skłonny uważać ludzi za tym gorszych i nieszczęśliwszych, im bardziej są cywilizowani?

B.: Nie będę przebiegał wszystkich okolic świata, ale uprzedzam cię, iż stan człowieka wyda ci się szczęśliwym jedynie w Otaiti, a znośnym jedynie w pewnym zakątku Europy. Tam podejrzliwi i zazdrośni o swe bezpieczeństwo władcy dołożyli starań, aby go utrzymać w tym, co nazywasz ogłupieniem.

A.: W Wenecji może?

B.: Czemu nie? Nie zaprzeczysz przynajmniej, że nigdzie nie ma mniej nabytej oświaty, mniej sztucznej moralności i mniej urojonych cnót i przywar.

A.: Nie spodziewałem się pochwały tego rządu.

B.: Toteż go nie chwaleb. Wskazuję ci rodzaj kompensaty za niewolę, którą wszyscy cudzoziemcy odczuli i wysławiali.

A.: Nędzna kompensata!

B.: Może. Grecy skazali na śmierć człowieka, który dodał jedną strunę do lutni Merkurego⁹⁴.

A.: I zakaz ten jest krwawą satyrą na ich pierwszych prawodawców. Należało przeciąć pierwszą strunę.

B.: Zrozumiałeś mnie. Wszędzie gdzie jest lutnia, są i struny. Póki naturalne popędy będą podlegały fałszerstwu, spodziewaj się spotkać niegodziwe kobiety.

A.: Jak pani Reymer.

B.: Okrutnych mężczyzn.

A.: Jak Gardeil.

B.: I ludzi nieszczęśliwych bez żadnej przyczyny.

A.: Jak Tanié, panna de la Chaux, kawaler Desroches i pani de la Carlière. To pewne, iż na próżno szukałoby się w Otaiti przykładów podobnego zepsucia jak u dwojga pierwszych i podobnego nieszczęścia jak u tamtych trojga. Cóż tedy uczynimy? Wróćmy do natury? Poddamy się prawom?

B.: Będziemy przemawiali przeciw niedorzecznym prawom póty, póki nie uzyskamy ich naprawy; nim to zaś nastąpi, będziemy im posłuszni. Ten, który mocą własnej powagi narusza złe prawo, uprawnia innego do naruszenia dobrych. Mniej niebezpieczne jest być szalonym w towarzystwie szaleńców niż być rozsądnym samemu. Powtarzajmy to samym sobie, krzyczymy bez ustanku, iż narzucono wstyd, karę i hańbę uczynkom niewinnym

Prawo

⁹³niepodobny (daw.) — nieprawdopodobny, niemożliwy. [przypis edytorski]

⁹⁴Merkury (mit. rzym.) — posłaniec bogów, opiekun kupców, podróżników i złodziei, odpowiednik greckiego Hermesa; miał być wynalazcą lutni; Grecy skazali na śmierć człowieka, który dodał jedną strunę do lutni Merkurego: poeta i muzyk grecki Timoteos z Miletu (V/IV w. p.n.e.) miał dodać do tradycyjnie siedmiostrunowej liry jedną czy też więcej strun, a kiedy przybył do Sparty, rozgniewane władze nakazały ucięcie nadmiarowych strun jego instrumentu, po czym skazały go na wygnanie. [przypis edytorski]

w swoim założeniu; ale nie popełniamy ich, ponieważ wstyd, kara i hańba są największymi z nieszczęść. Naśladujmy dobrego kapelana, który był mnichem we Francji, dzikim w Otaiti.

A.: Radzisz tedy wdziawać habit kraju, do którego się jedzie, a zachować habit kraju, w którym się jest.

B.: A zwłaszcza być uczciwym i szczerym do ostatnich granic w odniesieniu do kruchych istot, które nie mogą spełnić naszego szczęścia, nie wyrzekając się najszacowniejszych przywilejów społecznych... A owa gęsta mgła, cóż się z nią stało?

A.: Opadła.

B.: Będziemy zatem mogli po południu wybierać między przechadzką a zostaniem w domu?

A.: To będzie zależało, jak sądzę, raczej od kobiet niż od nas.

B.: Zawsze kobiety! Nie można uczynić kroku, aby ich nie spotkać na drodze.

A.: Gdybyśmy im przeczytali rozmowę kapelana i Oru?

B.: Jak myślisz, co by powiedziały?

A.: Nie wiem.

B.: A co by pomyślały?

A.: Może coś przeciwnego temu, co by powiedziały.

Rozmowa ojca z dziećmi

ALBO O NIEBEZPIECZEŃSTWIE STAWIANIA SIĘ WYŻEJ PRAW

(ogłoszone drukiem w roku 1773)

Mój ojciec⁹⁵, człowiek bardzo roztropny, ale zarazem i bardzo pobożny, głośny był w okolicy dla swej nieskazitelnej uczciwości. Niejeden raz współobywatele wybierali go na rozjemcę; ludzie obcy, których zgoła nie znał, powierzali mu wykonanie swej ostatniej woli. Skoro umarł, ubodzy oplakiwali jego stratę. Podczas choroby wielcy i mali okazywali, jak bardzo im zależy na jego ocaleniu. Skoro stało się pewne, iż zbliża się do końca, całe miasto okryło się smutkiem. Obraz jego będzie zawsze obecny mej pamięci; zdaje mi się, że go widzę w fotelu z poręczami, w zwyczajnej spokojnej postawie i z pogodną twarzą. Zdaje mi się, że go słyszę jeszcze. Oto obraz jednego z naszych wieczorów i przykład, jak nam upływały inne.

Było to w zimie. Siedzieliśmy dokoła niego przy ogniu, ksiądz, siostra i ja. Rozmowa toczyła się o utrapieniach sławy; w konkluzji ojciec rzekł:

— Mój synu, obaj narobiliśmy dużo hałasu w świecie; z tą różnicą, że hałas, który ty robiłeś swoim narzędziem, odejmował spokój tobie; hałas zaś, jaki ja robiłem moim, odejmował spokój innym.

Po tym niewybrednym koncepcie stary kowal zadumał się, wodząc po nas okiem ze szczególną bacznością⁹⁶, aż proboszcz rzekł:

— O czym dumasz, ojcze?

⁹⁵Mój ojciec... — czytamy w „Correspondance littéraire” Grimma, z marca 1771: „P. Diderot, majster nożowniczy w Langres, umarł w r. 1759, powszechnie oplakiwany w mieście, zostawiając dzieciom przyzwoity jak na swój stan mająteczek oraz sławę uczciwości i cnoty pożądaną dla każdego stanu. Widziałem go na trzy miesiące przed śmiercią. Udając się do Genewy, w marcu 1759, skierowałem się umyślnie przez Langres i całe życie będę rad, że poznałem tego czcigodnego starca. Zostawił troje dzieci: starszego syna, Dionizego Diderot, urodzonego w 1713; to właśnie nasz filozof; córkę, osobę o wybornym sercu i niepospolitej sile charakteru, która od śmierci matki poświęciła się wyłącznie staraniom o ojca i dom i z tej przyczyny odrzuciła propozycję małżeństwa; wreszcie młodszego syna, który obrał stan duchowny: jest kanonikiem katedralnym w Langres, jednym z najświetniejszych ludzi w diecezji. Jest to człowiek o dziwnym kroju umysłu, krańcowej pobożności i jak sądzę, nieodznaczający się zbytnią miarą w poglądach i uczuciach. Ojciec kochał starszego syna z sympatii i z serca; córkę — z wdzięczności i czułości; młodszego syna — z wyrozumowania, przez szacunek dla jego stanu. Wyjaśnienia te zdały mi się potrzebne przed odczytaniem niniejszego utworu”. [przypis tłumacza]

⁹⁶baczność — uwaga, czujność. [przypis edytorski]

— Myślę sobie — odparł — iż reputacja zacnego człowieka, najbardziej pożądana ze wszystkich, ma swoje niebezpieczeństwa nawet dla tego, kto na nią zasługuje. — Następnie po krótkiej pauzie dodał: — Drżę jeszcze, kiedy pomyślę o tym... Czy uwierzylibyście, dzieci? Raz w życiu omal nie wtrąciłem was w ruinę; tak jest, omal nie zrujnowałem was bez ratunku.

KSIĄDZ: A to jak?

OJCIEC: Jak? Zaraz... Nim zacznę (rzekł do córki), podnieś mi, siostrzyczko, poduszkę, która opadła za nisko; a ty (zwrócił się do mnie) załóż mi poły szlafroka, ogień parzy mi nogi. Znalіście wszyscy proboszcza z Thivet⁹⁷?

SIOSTRA: Zacnego starego księżyne, który w setnym roku życia robił jeszcze cztery mile⁹⁸ w ciągu ranka?

KSIĄDZ: Ten co umarł, mając sto jeden lat, na wiadomość o śmierci brata, który mieszkał z nim razem i liczył ich sobie dziewięćdziesiąt dziewięć?

OJCIEC: Ten sam.

KSIĄDZ: I cóż?

OJCIEC: Otóż spadkobiercy jego, ludzie ubodzy i żyjący po gościńcach, po wsiach, u bram kościołów, gdzie zebrali na życie, przesłali mi pełnomocnictwo, które upoważniało mnie, abym się udał na miejsce i objął tymczasowo w posiadanie cały inwentarz. Jak odmówić biedakom usługi, którą oddałem wielu zamożnym rodzinom? Pośpieszyłem do Thivet, zgłosiłem się do władz; kazałem przyłożyć pieczęcie i oczekiwałem spadkobierców. Zjawili się niebawem; było ich jakich dziesięciu lub dwunastu. Kobiety, bez pończoch, bez trzewików, prawie bez odzieży, trzymały na łonie dzieci otulone w dziurawe fartuchy; starcy, okryci łachmanami, dowlekli się, niosąc na ramionach, na kij, garść łachów zawiniętych w inny łach; słowem, obraz najohydniejszej nędzy. Wyobraźcie sobie zatem radość tych spadkobierców na myśl o jakim dziesiątku tysięcy franków⁹⁹, który przypadał na każdego z nich, ile że wedle sąsiedzkich gadek spadek po proboszczu mógł wynosić dobre sto tysięcy. Zdjęto pieczęcie. Param się cały dzień spisywaniem inwentarza. Zapada noc. Biedacy rozchodzą się; zostaję sam. Pilno mi było oddać każdemu jego część, odprawić ich i wrócić do swych zajęć. Była tam pod biurkiem stara walizka, bez pokrywy, wypełniona przeróżnymi papierami; ot, stare listy, bruliony, odwieczne kwity, rachunki i inne świstki; ale w podobnym wypadku należy czytać wszystko, nie zaniedbać niczego. Dobijałem do końca nudnego przeglądu, kiedy wpadło mi w ręce dość obszerne pismo; a to pismo, wiecie, co to było!? Testament podpisany ręką proboszcza! Testament, którego data była tak dawna, iż ci, których mianował wykonawcami, nie żyli już od dwudziestu lat! Testament, w którym odprawiał z niczym biedaków koczujących dokoła mnie, generalnymi zaś spadkobiercami czynił Freminów, bogatych księgarzy z Paryża, których musisz znać. Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie i boleść; cóż bowiem począć z tym aktem? Spalić go? Czemu nie? Czyż wszystko nie czyniło go bezwartościowym? I miejsce, gdzie go znalazłem, i papiery, między które był zamieszany, czyż nie świadczyły dość silnie przeciw niemu, nawet bez jego krzyczącej niesprawiedliwości? Tak powiadałem sobie w duchu; wyobrażając sobie równocześnie rozpacz odartych ze swych nadziei biedaków, zbliżałem pomalutku testament do ognia; i znowuż oblegały mnie inne myśli... Ogarniał mnie jakiś lęk, iż mogę się omylić w rozstrzygnięciu tak ważnego wypadku; nieufność do własnego rozumu; obawa, iż słucham raczej głosu współczucia, krzyczącego w głębi serca, niż głosu sprawiedliwości... Tak spędziłem noc, zastanawiając się nad tym niesprawiedliwym dokumentem, który trzymałem kilkakrotnie tuż nad ogniem, niepewny, czy go spalę czy nie. Przeważyło to ostatnie; minuta wcześniej lub później — stałoby się przeciwnie. W tej rozterce ducha uznałem, iż najroztropniej będzie zasięgnąć rady jakiej światłej osoby. Siadam o świcie na koń, pędzę cwałem ku miastu; mijam, nie zatrzymując się, drzwi swego domu. Zsiadam z konia przed seminarium ora-

starość

Sumienie, Sprawiedliwość,
Bieda

⁹⁷Thivet — miejscowość w pln.-wsch. Francji, w departamencie Górna Marna. [przypis edytorski]

⁹⁸mila — dawna miara odległości o różnej wartości; mila francuska (*lieue*) była równa ok. 4 km. [przypis edytorski]

⁹⁹frank — dawna francuska jednostka monetarna. [przypis edytorski]

torian¹⁰⁰, między którymi jeden wyróżniał się bystrością sądu i świętością obyczajów: to ojciec Bouin, który zostawił w diecezji sławę największego kazuisty¹⁰¹.

Kiedy ojciec doszedł do tego punktu, wszedł doktor Bissei: był to lekarz i przyjaciel domu. Zapytał o zdrowie ojca, zmacał puls, coś dodał, coś ujął w diecie, wziął krzesło i zaczął gwarzyć z nami.

Ojciec spytał doktora o kilku chorych, między innymi o starego hultaja, intendenta u niejakiego pana de La Mesangere, eks-mera¹⁰² w naszym miasteczku. Intendent ten wprowadził największy nieład w interesy swego pana, zaciągnął fałszywe pożyczki pod jego imieniem, usunął ważne dokumenty, przywłaszczył sobie kapitały, popełnił mnóstwo łajdactw, z których większość dowodnie stwierdzono, i znajdował się w przededniu skazania na hańbiącą karę, o ile nie na gardło. Sprawa ta zaprzętała wówczas całą okolicę. Doktor orzekł, iż więzień ma się bardzo lichy, nie tracił jednak nadziei, iż uda się go ocalić.

OJCIEC: To by znaczyło oddać mu bardzo złą przysługę.

JA: I spełnić bardzo zły uczynek.

DOKTOR BISSEI: Zły uczynek?... Czemuż to, jeśli łaska?

JA: Tylu jest niegodziwych ludzi na świecie, iż nie trzeba zatrzymywać tych, którzy mają ochotę się wynosić.

DOKTOR BISSEI: Moją rzeczą jest leczyć, nie sądzić; ulecę go, ponieważ to mój zawód; następnie sędzia każe go powiesić, bo to jego zawód.

JA: Tak, doktorze, ale istnieje obowiązek wspólny wszelkiemu dobremu obywatelowi, panu, mnie, to znaczy pracować ze wszystkich sił dla dobra rzeczy publicznej; a zdaje mi się, że nie jest dla niej korzyścią ocalenie złoczyńcy, od którego bezzwłocznie prawa ją oswobodzą.

DOKTOR BISSEI: A któż ma prawo uznać go za złoczyńcę? Czy ja?

JA: Nie, jego uczynki.

DOKTOR BISSEI: A komuż przynależy sądzić te uczynki? Mnie?

JA: Nie; ale pozwól, doktorze, bym odmienił nieco zagadnienie, przypuszczając, iż chodzi o człowieka, którego zbrodnie stwierdzone są publicznie. Wzywają pana; przybywasz, odsłaniasz firanki i poznajesz Cartouche'a albo Niveta¹⁰³. Czy ratowałbyś Cartouche'a albo Niveta?

Po chwili niepewności doktor Bissei odpowiedział stanowczo, że tak; zapomniałby nazwiska chorego, aby się zająć jedynie chorobą; jest to jedyna rzecz, którą wolno mu mieć na względzie. Gdyby uczynił krok poza te granice, niebawem nie wiedziałby, gdzie się zatrzymać; gdyby skreślenie recepty miała poprzedzać ocena życia i obyczajów chorego, znaczyłoby to zdawać życie ludzkie na łaskę niewiedzy, namiętności, uprzedzeń.

— To samo, co pan mówisz o Nivecie, jansenista¹⁰⁴ powie mi o moliniście¹⁰⁵, katolik o protestancie, Jeśli mnie pan oddalisz od łoża Cartouche'a, fanatyk oddali mnie od łożka niedowiarka. Dość już mamy trudu z dawkowaniem lekarstw, aby sobie przydawać jeszcze trud dawkowania stopnia niegodziwości, który pozwala lub wzbrania je stosować...

— Ale, doktorze — odparłem — jeżeli po twojej pięknej kuracji pierwszym użytkiem, jaki złoczyńca uczyni ze zdrowia, będzie to, iż zamorduje twego przyjaciela, cóż powiesz? Połóż rękę na sumieniu; nie będziesz żałował, że go uleczyłeś? Nie wykrzyk-

Lekarz

¹⁰⁰oratorianie — katolickie stowarzyszenie osób duchownych lub świeckich, w którym nie ma obowiązku składania ślubów zakonnych, założone w XVI w. przez Filipa Neri. [przypis edytorski]

¹⁰¹kazuista — człowiek stosujący kazuistykę: drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

¹⁰²mer — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

¹⁰³Cartouche, Nivet — głośni ówczesni zbrodniarze. [przypis tłumacza]

¹⁰⁴jansenista — zwolennik jansenizmu: ruchu teologiczno-duchowego w Kościele katolickim, funkcjonującego we Francji w XVII–XVIII w., zapoczątkowanego przez biskupa Kornela Ottona Jansena (1585–1638), inspirowanego pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej i koncentrującego się na znaczeniu Bożej łaski. [przypis edytorski]

¹⁰⁵molinista — zwolennik molinizmu: koncepcji teologicznych hiszpańskiego jezuitę, Ludwika Moliny (1535–1600) na temat relacji pomiędzy wolną wolą a Bożą łaską, propagowanych przez francuskich jezuitów; w obronę jansenizmu i polemikę przeciw zwalczającym ich molinistom zaangażował się m.in. Blaise Pascal, pisząc *Provincjałki*. [przypis edytorski]

niesz z goryczą: „Po co spieszyłem z pomocą?! Czemuż nie dałem mu umrzeć?” Czy to nie może ci zatruć reszty życia?

DOKTOR BISSEI: Zapewne, iż będę czuł żal; ale nie wyrzuty.

JA: A jakież mógłbyś pan mieć wyrzuty, nie mówię, żeś zabił, nie o to bowiem chodzi, ale żeś pozwolił zginąć wściekłemu psu? Doktorze, posłuchaj mnie. Jestem odważniejszy od pana; nie dam się okiełzać czczym rozumowaniom. Jestem lekarzem. Przyglądam się choremu; patrząc nań, poznaję zbrodniarza i powiadam mu wręcz: „Nieszczęśliwy, umieraj co rychlej; oto co możesz uczynić najlepszego dla bliźnich i dla siebie. Wiem dobrze, co trzeba by zalecić, aby odjąć klucie w bok, które cię nęka, ale ani mi to w głowie; nie życzę tak źle mym ziomkom, aby cię wysłać na nowo między nich i gotować sobie samemu wiekuiastą zgryzotę na myśl o twoich nowych zbrodniach. Nie będę twoim współnikiem. Ukarano by tego, kto by cię ukrywał w domu: i ja miałbym rozgrzeszać z winy kogoś, kto by cię ocalił?! To być nie może. Jeżeli czego żałuję, to tego, iż wydając cię śmierci, wydieram cię zasłużonym męczarniom. Nie będę się bawił w ratowanie zbrodniarza, skoro naturalna sprawiedliwość, dobro społeczne, bezpieczeństwo bliźnich nakazują mi wydać go władzom. Umieraj: nie będzie powiedziane, iż dzięki mej sztuce i staraniom istnieje jeden potwór więcej”.

DOKTOR BISSEI: Dobranoc, ojczulku. Ale, ale: mniej kawy po obiedzie, słyszy pan.

OJCIEC: Ach, doktorze, to taka dobra rzecz!

DOKTOR BISSEI: Przynajmniej dużo, dużo cukru.

SIOSTRA: Ale, doktorze, czy cukier nie rozgrzewa za nadto?

DOKTOR BISSEI: Baśnie! Bywaj pan zdrow, filozofie.

JA: Doktorze, jeszcze chwilę. Galen¹⁰⁶, który żył za Marka Aurelego¹⁰⁷ i który z pewnością nie był lada jakim człowiekiem, mimo iż wierzył w sny, amulety i uroki, powiada tak o swoich sposobach chronienia noworodków: „Przeznaczam je dla Greków, Rzymian, dla wszystkich tych, którzy wstępują w ich ślady na drodze wiedzy. Co się tyczy Germanów i innych barbarzyńców, są ich niegodni na równi z niedźwiedziami, dzikami, lwami i innymi leśnymi bestiami”¹⁰⁸.

DOKTOR BISSEI: Znałem ten ustęp. Jesteście obaj w błędzie: Galen, iż wygłosił swą niedorzeczną sentencję, pan, iż czynisz z niej autorytet. Nie istniałbyś pan ani pańska pochwała czy krytyka Galena, gdyby natura nie posiadała własnych sekretów dla chronienia dzieci Germanów.

JA: W czasie ostatniej zarazy w Marsylii...¹⁰⁹

DOKTOR BISSEI: Śpiesz się pan, bo mi pilno.

JA: Złoczyńcy grasowali po domach, rabując, zabijając, korzystając z powszechnego bezładu, aby się wzbogacić za pomocą wszelkich niegodziwości. Jednego ze złoczyńców dotknęła zaraza; grabarz, któremu policja poleciła uprzątnięcie trupów, poznał go. Spogląda na zbrodniarza i rzecze: „Ha, nędzniku, to ty”; zarazem chwytając go za nogi i wlecze do okna. Próżno zbrodniarz krzyczy: „Nie jestem umarły”. Tamten odpowiada: „Dość jesteś umarły” i rzuca go błyskawicznie z trzeciego piętra. Doktorze, wiedz, iż grabarz, który tak sprawnie dokończył zadumionego łajdaka, mniej jest winny w mych oczach niż zdatny lekarz, który by go uleczył; i bądź pan zdrow.

DOKTOR: Drogi filozofie, zawsze gotów jestem podziwiać twój zapał i wymowę, ale twoich zasad moralnych nie przejmę nigdy ani ksiądz dobrodziej też nie, założę się.

KSIĄDZ: Zakłada się pan na pewne.

Miałem się wziąć do księdza; ale ojciec, zwracając się do mnie z uśmiechem, rzekł:

— Przemawiasz przeciw własnej sprawie.

JA: A to jak?

¹⁰⁶ Galen, właśc. *Claudius Galenus* (ok. 130–ok. 200 n.e.) — wybitny rzymski lekarz i anatom pochodzenia greckiego; filozof; wywarł ogromny wpływ na rozwój anatomii, fizjologii i farmakologii; autorytet medycyny średniowiecza i odrodzenia. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *Marek Aureliusz* (121–180) — cesarz rzymski, filozof, zwolennik stoicyzmu. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *Przeznaczam je dla Greków (...) dla wszystkich tych, którzy wstępują w ich ślady na drodze wiedzy. Co się tyczy Germanów i innych barbarzyńców, są ich niegodni na równi z niedźwiedziami...* — Galen, *De sanitate tuenda* I 10. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *W czasie ostatniej zarazy w Marsylii* — w czerwcu 1720 wybuchła w portowej Marsylii epidemia dżumy, zawleczonej z Bliskiego Wschodu wskutek złamania procedur kwarantanny; w ciągu 3 lat jej ofiarą padła połowa mieszkańców miasta i jedna czwarta ludności Prowansji. [przypis edytorski]

OJCIEC: Pragniesz śmierci tego hultaja, intendenta pana de La Mesangere, nieprawdaż? Pozwólże tedy działać doktorowi. Mruczysz coś pod nosem?

JA: Mówię, że nigdy Bissei nie zasłuży na napis, jaki Rzymianie po śmierci Hadriana VI¹¹⁰ pomieścili nad drzwiami lekarza: „Oswobodzicielowi Ojczyzny”!

SIOSTRA: I gdyby był lekarzem Mazarina¹¹¹, nie byłby, jak Guenaut¹¹², dał przyczyny do odezwania się woźniców po śmierci ministra: „Kamraci, przepuśćmy pana doktora, to on wyświadczył nam tę łaskę, iż zgładził kardynała”.

Ojciec uśmiechnął się i rzekł:

— Na czym to stanąłem?

SIOSTRA: Przybyłeś do ojca Bouin.

OJCIEC: Przedstawiam mu całą rzecz. Ojciec Bouin powiada: „Nic chwalebniejszego, drogi panie, nad uczucie litości dla tych nieszczęśliwych spadkobierców. Zniszcz pan testament, dopomóż im, zgadzam się; ale pod warunkiem, iż zwrócisz generalnemu spadkobiercy ściśle tę sumę, której go pozbawisz, ani mniej, ani więcej”. Ale czuję jakiś chłód w plecach. Doktor musiał zostawić drzwi otwarte; siostrzyczko, idź zamknąć.

SIOSTRA: Idę; ale mam nadzieję, że nie będziesz, ojczu, mówił dalej, póki nie wrócę.

OJCIEC: To się rozumie.

Siostra, która zabawiła jakiś czas, wróciła i rzekła nieco podrażniona:

— Ten wariat zawiesił na drzwiach dwie tabliczki; jedna opiewa: „Dom do sprzedania za dwadzieścia tysięcy franków lub do najęcia za tysiąc dwieście franków rocznie”; druga zaś: „Dwadzieścia tysięcy franków do wypożyczenia na rok, na sześć od sta¹¹³”.

JA: Wariat? A gdyby był tylko jeden napis, gdzie ty widzisz dwa, i gdyby napis o pożyczce był jedynie przekładem ogłoszenia najmu? Ale dajmy temu pokój i wróćmy do ojca Bouin.

OJCIEC: Ojciec Bouin dodał: „I któż pana upoważnił, abyś dawał lub odejmował sankcję aktom? Kto cię upoważnił do wykładania intencji zmarłych?”

— Ale, ojczu Bouin, a waliza?

— Kto cię upoważnił do rozstrzygania, czy testament wyrzucono z umysłu, czy też zabląkał się przez nieuwagę? Czy nigdy nie zdarzyło ci się popełnić podobnej nieuwagi i odnaleźć na dnie wiadra ważnego papieru, który rzuciłeś tam przez roztargnienie?

— Ale, ojczu Bouin, a data, a niesprawiedliwość tego aktu?...

— Kto cię upoważnił do wyrokowania o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości aktu i kazał uważać ten zapis za nieusprawiedliwiony dar, a nie za restytucję¹¹⁴ lub inny czyn płynący z godziwych pobudek?

— Ale, ojczu Bouin, to¹¹⁵ są najbliżsi spadkobiercy, w nędzy, tamten zaś daleki krewny i bogacz?...

— Kto cię upoważnił do szacowania, co zmarły był winien swoim bliskim, których nie znasz zresztą?

— Ale, ojczu Bouin, ta mnogość listów od właściciela legatu¹¹⁶, których zmarły nawet nie raczył otworzyć!...

— Zapomniałem przytoczyć jedną okoliczność — dodał ojciec. — Mianowicie w stosie papierów, między którymi tkwił ów nieszczęsny testament, znajdowało się dwadzieścia, trzydzieści, nie wiem ile, listów od Freminów, wszystkie zapieczętowane.

— Nie ma — rzekł ojciec Bouin — ani walizy, ani daty, ani listów, ani ojca Bouin, ani „jeżeli”, ani „ale”, które by miało tu coś do gadania; nie wolno nikomu naruszać praw,

¹¹⁰Hadrian VI, właśc. *Adriaan Florenszoon Boeyens* (1459–1523) — papież od 1522, z pochodzenia Holender; usiłował przeprowadzić reformy w Kościele. [przypis edytorski]

¹¹¹Mazarin, *Jules*, właśc. *Giulio Raimondo Mazzarini* (1602–1661) — francuski kardynał pochodzenia włoskiego, od 1642 pierwszy minister Francji; reformator Francji, którą faktycznie rządził w zastępstwie małoletniego Ludwika XIV. [przypis edytorski]

¹¹²Guenaut, *François* (1590–1657) — francuski lekarz nadworny królowej Anny Austriaczki. [przypis edytorski]

¹¹³od sta (daw.) — od stu (*sta*: daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

¹¹⁴restytucja (z łac. *restitutio*: przywrócenie) — przywrócenie dawnego stanu, odtworzenie; tu: rekompensata, odszkodowanie. [przypis edytorski]

¹¹⁵toć (daw., gw.) — przecież. [przypis edytorski]

¹¹⁶legat — zapisana w testamencie korzyść majątkowa dla osoby niebędącej spadkobiercą. [przypis edytorski]

wchodzić w myśl zmarłego i rozporządzać cudzym mieniem. Jeżeli Opatrzność postanowiła skarać albo prawego dziedzica, albo spadkobiercę, albo zmarłego — nie wiadomo bowiem którego z nich — przypadkowym zachowaniem tego testamentu, trzeba by tak zostało.

Po tak jasnym, tak stanowczym orzeczeniu najświetlejszego człowieka w naszym duchowieństwie zmilkłem osłupiały i drżący, myśląc w duchu, co by się ze mną, co by się z wami stało, dzieci, gdyby mi się zdarzyło spalić testament — jak to po dziesięć razy miałem pokusę uczynić — gdybym później stał się pastwą skrupułów i poszedł się radzić ojca Bouin. Byłbym zwrócił, och! byłbym zwrócił, to więcej niż pewna, i byłibyście zrujnowani.

SIOSTRA: Zatem, ojcze, trzeba ci było po tym wszystkim wrócić na plebanię i oznajmić gromadzie nędzarzy, że nic w tym domu nie należy do nich i że mogą sobie iść, jak przyszli? Z duszą tak współczującą jak twoja, ojcze, w jaki sposób zdobyłeś się na to?

OJCIEC: Dalibóg, sam nie wiem. W pierwszej chwili myślałem zrzucić się z pełnomocnictwa i złożyć je w ręce adwokata; ale adwokat byłby sobie postąpił z całą ścisłością, byłby wziął i powyrzucał za kark tych biedaków, których niedoli mogłem może ulżyć. Wróciłem tedy tego samego dnia do Thivet. Moje nagłe zniknięcie i ostrożności, które podjąłem, wyjeżdżając, zaniepokoiły ich; wyraz smutku, z jakim zjawilem się z powrotem, pomnożył jeszcze ten niepokój. Mimo to zapanowałem nad sobą, maskowałem się, jak umialem.

JA: To znaczy dość lichy.

OJCIEC: Zacząłem od tego, iż ukryłem wszystkie cenne przedmioty. Zgromadziłem w domu garść mieszkańców, którzy w razie potrzeby udzieliliby mi czynnej pomocy. Otworzyłem piwnice i spichrze, które wydałem na łup nieszczęśliwym, zachęcając, aby pili, jedli i aby podzielili między siebie wino, zboże i inne zapasy.

KSIĄDZ: Ależ, ojcze!...

OJCIEC: Wiem, to tak samo nie należało do nich jak wszystko inne.

JA: Czekażcie, księżo, przerywasz.

OJCIEC: Następnie, błąd jak śmierć, chwiejąc się na nogach, otwierając usta i nie znajdując słowa, siadając, wstając, rozpoczynając zdanie i nie mogąc dokończyć, płacząc, podczas gdy ci ludzie, przerażeni, wykrzykiwali wkoło mnie: „Co takiego, drogi panie, co się stało? Co się stało?“, odparłem: „Testament, testament, który was wydziedzicza“. Tych kilka słów kosztowało mnie tyle, iż zdawało mi się, że zemdleję.

SIOSTRA: Rozumiem to.

OJCIEC: Co za scena, co za scena, moje dzieci! Dreszcz mnie przechodzi, gdy ją wspomnę. Zda mi się, że słyszę jeszcze krzyki bóleści, wściekłości, furii, wycie przekleństw... — Tu ojciec przyłożył ręce do oczu, uszu. — Te kobiety — rzekł — te kobiety, widzę je: jedne tarzały się po ziemi, wydierały sobie włosy, darły policzki, piersi; inne toczyły pianę, chwytaly niemowlęta za nogi, gotowe, gdyby ich nie wstrzymano, strzaskać im głowę o bruk; mężczyźni chwytały, obalali, tłukli, co im popadło w ręce, grozili podpaleniem domu; inni, wyjąc, orali ziemię pazurami, jakby szukali trupa, aby go poszarpać; wśród tego zaś całego tumultu słychać było przeraźliwe krzyki dzieci, które nie wiedząc czemu, dzieliły rozpacz rodziców, czepiały się ich sukien, odtrącane przez nich nieludzko. Nie sądzę, abym kiedykolwiek podobnie cierpiał w życiu.

Wśród tego napisałem do spadkobiercy w Paryżu. Doniosłem o wszystkim i prosiłem, aby pospieszył z przybyciem, ile że to był jedyny sposób uprzedzenia jakiegoś wypadku, któremu nie w mej mocy byłoby zapobiec.

Uspokoilem nieco nieszczęśliwych nadzieją, którą sam się łudziłem w istocie; mianowicie, iż zdołam uzyskać od spadkobiercy zupełne zrzeczenie się lub też doprowadzić do korzystnego układu; po czym rozmieściłem krewniaków po najodleglejszych chatkach. Fremin przybył z Paryża; przyjrzałem mu się bystro, ujrzałem twardą fizjonomię, która nie zwiastowała nic dobrego.

JA: Wielkie czarne i gęste brwi, małe wpadnięte oczy, szerokie, nieco krzywe usta, pleć¹¹⁷ smągła i zeszpecona ospą?

¹¹⁷pleć (daw.) — cera; karnacja. [przypis edytorski]

OJCIEC: To, to. Przebył owe sześćdziesiąt mil w niespełna trzydzieści godzin. Zaczęłam od tego, iż pokazałem mu nieszczęśliwych, których sprawy miałem bronić. Stali przed nim w milczeniu; kobiety płakały; mężczyźni, wsparci na kijach, z gołą głową, gnietli w rękach czapki. Fremin, siedząc, z przymkniętymi oczami, z pochyloną głową i brodą wspartą na piersi, nie patrzył na nas. Przemówiłem jak najgoręcej; nie wiem, skąd się nam bierze wymowa w podobnych wypadkach. Wykazałem namacalnie, jak wątpliwe jest, czy ten spadek słusznie dostaje się w jego ręce; zakląłem go na jego dostatek, na nędzę, którą ma przed oczami; zdaje mi się nawet, że rzuciłem się do jego stóp; nie mogłem wydobyc ani obola¹¹⁸. Odpowiedział, że nie wchodzi w te względy; istnieje testament; historia testamentu jest mu obojętna; woli raczej zdać się na moje postępowanie niż na moje słowa. Oburzony, rzuciłem mu klucze w nos; podniósł je, zagarnął wszystko. Wróciłem do domu tak przejęty, tak zgryziony, zmieniony, że matka wasza, która żyła jeszcze, sądziła iż zdarzyło mi się jakieś nieszczęście... Och, dzieci, cóż za człowiek ten Fremin!

Zapadliśmy w milczenie; każdy dumał na swój sposób nad tą osobliwą przygodą. Nadeszło kilka osób; jakiś duchowny, którego nazwiska już nie pamiętam; gruby przeor, który się lepiej znał na winie niż na zagadnieniach moralnych; jakiś prawnik, rejent¹¹⁹ i naczelnik policji, nazwiskiem Dubois; wreszcie w chwilę później robotnik, który miał do ojca sprawę. Wprowadzono go, a z nim byłego inżyniera z miasteczka, który obecnie wycofał się z rzemiosła i uprawiał matematykę. Był on sąsiadem robotnika, robotnik zaś był z zawodu kapelusznikiem.

Wszedłszy, kapelusznik dał ojcu do zrozumienia, iż jak na to, co mu przagnie zwierzyć, zgromadzenie jest nieco za liczne. Wszyscy ruszyli się z miejsc, zostaliśmy tylko przeor, rejent, geometra i ja, kapelusznik bowiem zatrzymał nas.

— Panie Diderot — rzekł do ojca, spojrzawszy dokoła, czy nikt nie może słyszeć — uczciwość pańska i rozum sprowadziły mnie do tego domu; rad¹²⁰ jestem, iż zastałem tu panów, którym może nie mam zaszczytu być znany, ale których znam wszystkich. Ksiądz, prawnik, uczony, filozof i zacny człowiek! Byłby to dziwny traf, gdybym wśród tych osób tak różnego stanu, a jednak o świątłych i sprawiedliwych, nie znalazł rady.

Następnie dodał:

— Przede wszystkim przyrzeknijcie mi, panowie, zachować w tajemnicy sprawę, bez względu na to, co uznam za właściwe uczynić.

Przyrzekliśmy, po czym ciągnął dalej.

— Nie mam dzieci, nie miałem ich z ostatniej żony, którą straciłem przed dwoma blisko tygodniami. Od tego czasu nie żyję po prostu; nie mogę pić, jeść, pracować, spać. Wstaję, ubieram się, wychodzę, błąkam się po mieście żarty¹²¹ głęboką zgryzotą. Pielęgnowałem żonę w chorobie przez osiemnaście lat; otoczyłem ją wszystkimi staraniami, jakie ode mnie zależały i jakich wymagało jej smutne położenie. Wydatki, które dla niej poniosłem, pochłonęły owoce naszego skromnego mienia i mej pracy, zostawiły mnie pod brzemieniem długów. Znalazłem się po jej śmierci wyczerpany, znużony, zmarnowawszy młodość; byłbym wręcz w tym samym punkcie, co w chwili gdy rozpoczął rzemiosło, gdybym przestrzegął praw i oddał w ręce dalekich krewnych należną część tego, co mi żona wniosła w posagu. Miała bardzo przyzwoitą wyprawkę, rodzice bowiem, kochając córkę, uczynili dla niej wszystko, co mogli, więcej, niż mogli; ładną, porządną i obficie zaopatrzoną garderobę, która została jak nowa, nieboraczka bowiem nie miała czasu jej zużyć; prócz tego dwadzieścia tysięcy w gotowiznie. Ledwie nieboszczka zamknęła oczy, ukryłem rzecz i pieniądze. Panowie, znacie obecnie sprawę. Czym zrobił dobrze, czy źle? Nie czuję się spokojny w sumieniu. Mam uczucie, że jakiś głos mi powiada: „Ukradłeś, ukradłeś, oddaj, oddaj”. Co myślicie? Zważcie panowie, iż żona, odchodząc, uniosła z sobą wszystko, co zarobiłem w ciągu dwudziestu lat: nie jestem już prawie zdolny do pracy; wpadłem w długi i jeżeli zwrócę spadek, zostaje mi, nie dziś,

Wdowiec, Pieniądz,
Choroba, Żona, Mąż,
Prawo, Sprawiedliwość,
Kradzież, Sumienie

¹¹⁸ *obol* — staroż. drobna moneta grecka; wkładana w usta zmarłego jako opłata dla Charona, przewoźnika dusz. [przypis edytorski]

¹¹⁹ *rejent* (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

¹²⁰ *rad* (daw.) — zadowolony; *rad jestem*: cieszę się. [przypis edytorski]

¹²¹ *zarty* — tu: zżerany. [przypis edytorski]

to jutro, jedynie szpital. Mówcie, panowie, czekam waszego wyroku. Czy mam zwrócić i skończyć w szpitalu?

— Idźmy koleją, wedle godności — rzekł ojciec, skłaniając się w stronę duchownego.

— Słuchamy, księże przeorze.

— Moje dziecko — rzekł przeor do kapelusznika — nie lubię skrupułów, to robi zamęt w głowie i na nic się nie zda; może nie trzeba było brać tych pieniędzy; ale skoro wzięłeś, jestem zdania, abys je zachował.

OJCIEC: Ależ, księże przeorze, to chyba nie wasze ostatnie słowo?

PRZEOR: Na honor, tak; nic więcej nie umiem rzec w tej sprawie.

OJCIEC: To niewiele. Słuchamy, panie rejencie.

REJENT: Mój przyjacielu, twoje położenie jest nader przykre; kto inny poradziłby ci może, abys zabezpieczył kapitał krewnym żony, iżby w razie twej śmierci nie przeszedł na twą rodzinę, i abys póki życia, korzystał z procentów. Ale istnieją prawa; prawa zaś nie przyznają ci ani dochodu, ani kapitału. Wierz mi, uczyni zadość prawom i bądź uczciwym człowiekiem; raczej szpital, jeśli tak padnie.

JA: Istnieją prawa! Jakie prawa?

OJCIEC: A pan, panie matematyku, jak rozwiążesz zagadnienie?

GEOMETRA: Mój przyjacielu, wszak powiedziałeś nam, że wzięłeś około dwudziestu tysięcy franków?

KAPELUSZNIK: Tak, panie.

GEOMETRA: A ile w przybliżeniu kosztowała cię choroba żony?

KAPELUSZNIK: Mniej więcej tę samą sumę.

GEOMETRA: A więc! Gdy kto z dwudziestu tysięcy spłaci dwadzieścia tysięcy, zostaje zero.

OJCIEC do mnie: A co powiada filozofia?

JA: Filozofia milczy, gdzie prawo jest niedorzeczne.

Ojciec uczuł, iż nie trzeba mnie przyciskać; po czym, zwracając się do kapelusznika, rzekł:

— Mój przyjacielu, przyznałeś się, iż od czasu jak zagrabiłeś spadek po żonie, straciłeś spokój. I na cóż ci się zdadzą te pieniądze, skoro odjęły ci najwyższe dobro? Pozbądź się ich co rychlej i pij, jedz, śpij, pracuj, bądź szczęśliwy w domu, jeśli zdołasz się w nim utrzymać, lub gdzie indziej, jeżeli nie zdołasz.

Kapelusznik odpowiedział:

— Nie, proszę pana, wywędruję do Genewy.

— I myślisz, że zostawisz wyrzuty sumienia tutaj?

— Nie wiem; ale wywędruję do Genewy.

— Wędruj gdzie chcesz, wszędzie odnajdziesz sumienie.

Kapelusznik odszedł: dziwna jego odpowiedź wywołała komentarze. Zgodzono się, iż oddalenie miejsca i czasu osłabia może mniej lub więcej wszystkie uczucia, wszelką świadomość, nawet świadomość zbrodni. Przeniósłszy się np. do Chin, morderca zbyt jest daleko, aby dojrzeć krwawiącego trupa, którego zostawił nad brzegiem Sekwany. Wyrzut sumienia rodzi się może nie tyle z odrazy do siebie, ile z obawy przed drugimi; nie tyle ze wstydu samego uczynku, co z hańby i kary, które by nastąpiły po nim, gdyby go odkryto. A któryż tajemny zbrodniarz czuje się tak bezpieczny, aby się mógł nie obawiać pułapki nieprzewidzianych okoliczności lub niedyskrecji niebacznego słówka? Jaką ma pewność, iż się nie zdradzi w majakach gorączki lub snu? W miejscu, gdzie spełnił zbrodnię, posłyszają go i będą zgubiony. Otoczenie jego w Chinach nie zrozumie go.

— Moje dzieci, dni nieprawego wypełnione są lękiem¹²². Spokój istnieje jedynie dla poczciwego człowieka. On jeden żyje i umiera bezpiecznie.

Wyczerpawszy temat, goście odeszli; brat i siostra wrócili do pokoju; podjęliśmy przerwana rozmowę, ojciec zaś rzekł:

— Bogu chwała! Otośmy znowu razem. Dobrze mi z innymi, ale z wami lepiej.

Następnie, zwracając się do mnie:

— Czemu — spytał — nie powiedziałeś kapelusznikowi swego zdania?

— Boś mi, ojcze, przeszkodził.

¹²²dni nieprawego wypełnione są lękiem — zdanie z *Księgi Hioba* (Hi 15,20). [przypis edytorski]

— Czym źle uczynił?

— Nie, ponieważ na nic dobra rada dla głupca. Jak to, czyż ten człowiek nie jest najbliższym krewnym żony? Czy mienia, które sobie zachował, nie otrzymał w posagu? Czy nie przynależy mu z najgodziwszego tytułu? Jakież jest prawo owych krewniaków?

OJCIEC: Widzisz tylko prawo, ale nie widzisz jego ducha.

JA: Widzę jak ty, ojczy, niebezpieczeństwo płynące dla kobiet, będących, jak nieraz się zdarza, przedmiotem wzdargy i nienawiści mężów, gdyby w razie śmierci mienie żon miało stać się ich własnością. Ale cóż to znaczy dla mnie, uczciwego człowieka, który dobrze spełniłem obowiązki względem żony? Czym nie dość nieszczęśliwy, żem ją stracił? Trzebaż mnie jeszcze odzierać z puścizny?

OJCIEC: Ale jeśli uznajesz mądrość prawa, trzeba się doń stosować, o ile mi się zdaje.

SIOSTRA: Bez prawa nie ma kradzieży.

JA: Mylisz się, siostrze.

BRAT: Bez prawa wszystko przynależy wszystkim: nie ma własności.

JA: Mylisz się, bracie.

BRAT: Na czymże tedy zasadza¹²³ się własność?

JA: Pierwotnie jest to objęcie w posiadanie przez pracę. Natura ustanowiła dobre prawo od wieków; społeczeństwo ubezpiecza ich wykonanie; siła ta ma wszelką moc przeciw złemu, nie ma żadnej przeciw uczciwemu człowiekowi. Jestem tym uczciwym człowiekiem i w tej okoliczności, jak w wielu innych, które bym mógł wyszczególnić, pozywam ją przed trybunał własnego serca, rozumu, sumienia, przed trybunał własnego serca, rozumu, sumienia, przed trybunał naturalnej sprawiedliwości; przesłuchuję ją, poddaję się jej lub też ją unicestwiam.

OJCIEC: Głoś te zasady po świecie, ręczę ci, że się przyjmą, i zobaczysz, jakie ładne stąd rzeczy wynikną.

JA: Nie będę ich głosił; istnieją prawdy nieprzeznaczone dla szaleńców, ale zachowam je dla siebie.

OJCIEC: Dla siebie, jako dla mądrego człowieka?

JA: Z pewnością.

OJCIEC: Wedle tego, domyślam się, że również nie pochwalisz sposobu, w jaki postąpiłem w sprawie testamentu w Thivet. A ty, księżu, co myślisz?

KSIĄDZ: Myślę, ojczy, iż roztropnie uczyniłeś, żeś się poradził ojca Bouin i żeś mu uwierzył; gdybyś poszedł za pierwszym popędem, byłibyśmy w istocie zrujnowani.

OJCIEC: A ty, wielki filozofie, nie jesteś tego zdania?

JA: Nie.

OJCIEC: To bardzo zwięźle. Jedź dalej.

JA: Każesz, ojczy?

OJCIEC: Oczywiście.

JA: Bez ogródek?

OJCIEC: Oczywiście.

JA: Nie, z pewnością nie — odparłem z ogniem — nie jestem tego zdania. Co do mnie, myślę, iż jeżeli kiedy popełniłeś, ojczy, zły uczynek w życiu, to wtedy; iż jeżelibyś się czuł zobowiązany do restytucji wobec legatariusza¹²⁴ w razie zniszczenia testamentu, bardziej jeszcze miałeś ten obowiązek wobec prawych dziedziców za to, żeś tego nie uczynił.

OJCIEC: Muszę wyznać, iż ten postępek zawsze mi leżał na sercu; ale ojciec Bouin!...

JA: Ojciec Bouin, z całą sławą wiedzy i świętości, był jedynie lichym doktrynerem, bigotem¹²⁵ o ciasnej głowie.

SIOSTRA po cichu: Czy twoim zamiarem jest zrujnować nas?

OJCIEC: Spokojnie, spokojnie! Zostawże ojca Bouin i powiedz nam swoje racje, nie wymyślając na nikogo.

Głupiec

prawo, własność, praca

¹²³zasadzać się na czymś — opierać się na czymś, mieć w czymś podstawę. [przypis edytorski]

¹²⁴legatariusz — osoba niebędąca spadkobiercą, ale otrzymująca legat, tj. zapisaną w testamencie korzyść majątkową. [przypis edytorski]

¹²⁵bigot — dewot; człowiek przywiązujący przesadną wagę do zewnętrznych form pobożności, zaniedbujący przy tym duchowość wewnętrzną i moralność. [przypis edytorski]

JA: Moje racje? Bardzo proste; oto one. Albo testator¹²⁶ chciał zniweczyć akt, który uczynił w nieczułości serca, jak wszystko zdaje się tego dowodzić, i ty udaremniłeś jego opamiętanie; albo też chciał, aby ten okrutny akt utrzymał się w mocy, i ty stałeś się współnikiem jego niesprawiedliwości.

OJCIEC: Niesprawiedliwości? To lekko powiedziane.

JA: Tak, niesprawiedliwości; wszystko bowiem, co ów ojciec Bouin ci nagadał, to jedynie czcza kazuistyka, mizerne przypuszczenia, same domysły bez wartości, bez żadnej wagi wobec warunków odejmujących wszelki charakter ważności niesprawiedliwemu aktowi, który ty wydobyłeś z kurzu, wywlokłeś na światło i wróciłeś do czci. Waliza z papierami; wśród tych papierów stary szpargał unicestwiony przez swą datę, przez swą niesprawiedliwość, przez fakt zamieszania między inne szpargały, przez śmierć egzekutorów¹²⁷, przez wzgardę listów spadkobiercy, przez bogactwo tegoż spadkobiercy i nędzę prawych dziedziców! Cóż można temu przeciwstawić? Domniemaną restytucję! Okaże się, że nieborak księżyna, który nie miał szeląga¹²⁸, kiedy przybył na probostwo, i który strawił osiemdziesiąt lat, aby uskładać niespełna sto tysięcy, ciulając grosz do grosza, dopuścił się niegdyś na szkodę Freminów (u których nigdy nie mieszkał i których nigdy może nie znał inaczej niż z nazwiska!) kradzieży stu tysięcy franków! A gdyby nawet ta mniemana kradzież była prawdą, wielkie nieszczęście!... Byłbym spalił ten akt nieprawości. Trzeba go było spalić, powiadam; trzeba było słuchać serca, które nie przestało trapić cię później; miało ono więcej rozumu niż ten głupiec Bouin, którego wyrok dowodzi jedynie groźnego ucisku religijnych przesądów na najtęższe głowy oraz zgubnego wpływu niesprawiedliwych praw, fałszywych zasad na zdrowy rozum i wrodzoną sprawiedliwość. Gdybyś, ojcze, był obecny przy tym, gdy proboszcz pisał niegodziwy testament, czyż nie byłbyś go podarł w sztuki? Los daje ci ów akt w ręce i ty go zachowujesz?

OJCIEC: A gdyby proboszcz ciebie uczynił generalnym spadkobiercą?

JA: Wstrętny akt byłby tym rychlej unicestwiony.

OJCIEC: Nie wątpię; ale czy nie ma żadnej różnicy między zapisem na rzecz cudzą a twoją?...

JA: Żadnej. Oba są sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, uczciwe albo nieuczciwe.

OJCIEC: Skoro prawo nakazuje po śmierci sporządzanie inwentarza i odczytanie wszystkich papierów, bez wyjątku, ma w tym zapewne swoje pobudki; jakież są one?

JA: Gdybym był zjadliwy, odpowiedziałbym: obedrzeć spadkobierców, mnożąc koszta sądowe; ale pomyśl, ojcze, że ty nie byłeś tam jako urzędnik; że wyzwolony od wszelkiej formy¹²⁹ prawnej, nie miałeś do spełnienia innej funkcji prócz naturalnej dobroczynności i sprawiedliwości.

Siostra milczała, ale ścisła mi rękę na znak uznania. Ksiądz kręcił głową, ojciec zaś powiedział:

— A teraz jeszcze jeden kamyk do ogródka ojca Bouin. Sądziś przynajmniej, iż religia mnie rozgrzesza?

JA: Tak sądzę; ale to nie przynosi jej zaszczytu.

OJCIEC: Ten akt, który ty palisz mocą osobistej powagi, czy sądziś, iż byłby uznany za prawomocny przed trybunałem?

JA: Może; ale to nie przynosi zaszczytu prawu.

OJCIEC: Mniemasz, iż byłoby ono pominęło wszystkie okoliczności, które ty podkreślasz z taką siłą?

JA: Nie mam pojęcia, ale byłbym pragnął wyjaśnić to do gruntu. Poświęciłbym jaki pięćdziesiątek ludwików¹³⁰; byłaby to dobrze umieszczona dobroczynność: zaskarżyłbym testament w imieniu tych nędzarzy.

¹²⁶testator — spadkodawca. [przypis edytorski]

¹²⁷egzekutor — tu: wykonawca testamentu. [przypis edytorski]

¹²⁸szeląg — dawna drobna moneta polska z miedzi; w oryginale *sou*: drobna moneta francuska. [przypis edytorski]

¹²⁹forma — tu: formalność. [przypis edytorski]

¹³⁰ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791, mająca wartość 8 talarów (*écu*). [przypis edytorski]

OJCIEC: Och, co do tego, gdybyś był przy mnie i udzielił mi tej rady, to mimo iż w początkach rzemiosła pięćdziesiąt ludwików stanowi poważną sumę, można się założyć, że byłbym usłuchał.

KSIĄDZ: Co do mnie, wołałbym oddać te pieniądze wydziedziczonym biedakom niż adwokatom i sędziom.

JA: Myślisz więc, bracie, że proces byłby przegrany?

KSIĄDZ: Nie wątpię. Sędziowie trzymają się ściśle prawa, jak ojciec i ksiądz Bouin; i dobrze czynią. Sędziowie zamykają w podobnym wypadku oczy na okoliczności, jak ojciec i ksiądz Bouin, z obawy przed niebezpieczeństwami, jakie by stąd wynikły; i dobrze czynią. Poświęcają niekiedy, wbrew świadectwu nawet własnego sumienia, jak ojciec i ksiądz Bouin, dobro nieszczęśliwego i niewinnego, nie mogliby go bowiem ratować, nie popuszczając cugli niezliczonej mnogości łajdaków; i dobrze czynią. Obawiają się, jak ojciec i ksiądz Bouin, wydać wyrok sprawiedliwy w danym wypadku, ale zgubny w tysiącu innych przez mnogość nadużyć, którym otworzyłby drzwi; i dobrze czynią. W sprawie zaś testamentu, o który chodzi...

OJCIEC: Twoje argumenty dałyby się może utrzymać prywatnie, ale nigdy publicznie. Niejeden wolnomyślny adwokat, który powiedziałby mi w cztery oczy: „Niech pan spali testament”, nie odważyłby się udzielić tej rady na piśmie w formie prawnej.

JA: Rozumiem; była to sprawa nienadająca się, aby ją wytaczać przed sędziów. Toteż, do kroćset, nie doszłoby do tego, ojczu, gdybym ja był na twoim miejscu.

OJCIEC: Byłbyś przełożył swój rozum nad rozum publiczny; wyrok człowieka nad wyrok prawnika.

JA: Z pewnością. Czyż człowiek nie jest dawniejszy od prawnika? Czy rozum rodzaju ludzkiego nie jest o wiele świętszy niż rozum prawodawcy? Nazywamy się cywilizowanymi, a gorsi jesteśmy od dzikich. Zdaje się, że trzeba nam jeszcze brnąć wieki całe z szaleństwa w szaleństwo, z niedorzeczności w niedorzeczność, nim dojdziemy tam, gdzie elementarna iskierka rozsądku, instynkt, zawiodłoby nas zupełnie prosto. Toteż zbłąkaliśmy się tak dokładnie...

OJCIEC: Synu, synu, dobra to poduszka rozum, ale zdaje mi się, że głowa jeszcze spokojniej odpoczywa na poduszce religii i praw; i skończmy dyskusję, nie mam bowiem ochoty spędzić bezsennej nocy. Ale zdaje mi, żeś ty się coś nadąsał. Powiedz tedy, gdybym spalił testament, czy byłbyś mi przeszkodził w restytucji?

JA: Nie, ojczu; twój spokój jest mi nieco droższy niż wszystkie majątki świata.

OJCIEC: Odpowiedz twoja cieszy mnie, a to dla pewnej przyczyny.

JA: Powiesz nam ją, ojczu?

OJCIEC: Chętnie. Kanonik Vigneron, twój wuj, był to człek twardy, żyjący na złej stopie z kolegami, których życiem swoim i mową stawiał ustawicznie pod pręgierzem. Byłeś przeznaczony na jego następcę, ale w chwili gdy miał umierać, postanowiono w rodzinie, iż lepiej odwołać się do Stolicy Apostolskiej w Rzymie niż składać na ręce kapituły rezygnację, której by nie przyjęto. Kurier rusza. Wuj umiera na godzinę lub dwie przed domniemanym przybyciem kuriera i oto kanonia¹³¹ oraz tysiąc osiemset franków stracone. Matka twoja, ciotki, krewni, przyjaciele, byli wszyscy zdania, aby ukryć śmierć kanonika. Odrzuciłem tę radę; kazałem natychmiast uderzyć w dzwony.

JA: I dobrze uczynił, ojczu.

OJCIEC: Gdybym usłuchał poczciwych kumoszek i gdybym miał później wyrzuty, widzę, iż nie byłbyś się zawahał poświęcić mi swego łańcucha.

JA: I bez tego. Wołałbym raczej być dobrym filozofem lub niczym niż złym kanonikiem.

Gruby przeor wtoczył się do pokoju i rzekł, dosłyszawszy ostatnich słów:

— Złym kanonikiem! Rad bym wiedzieć, w jaki sposób można być dobrym albo złym przeorem, dobrym albo złym kanonikiem; to są sprawy tak obojętne!

Ojciec wzruszył ramionami i wyszedł dla dopełnienia jakichś nabożnych obowiązków. Przeor rzekł:

— Zgorszyłem trochę papusia¹³².

¹³¹kanonia — urząd kanonika. [przypis edytorski]

¹³²papuis — zdrobn. od *papa* (fr.): ojciec. [przypis edytorski]

BRAT: Możliwe.

Po czym, wyjmując z kieszeni książkę, rzekł:

— Muszę wam odczytać kilka stron z opisu Sycylii przez ojca Labat¹³³.

JA: Znam. To historia *calzolaio*¹³⁴ z Mesyny.

BRAT: Właśnie.

PRZEOR: I cóż on robił, ten *calzolaio*?

BRAT: Historyk opowiada, iż będąc z natury zacnym człowiekiem, przyjacielem porządku i sprawiedliwości, wiele cierpiał, przebywając w kraju, gdzie prawa nie tylko nie miały mocy, ale nie znajdowały nawet zrozumienia. Każdy dzień znaczył się jakąś zbrodnią. Powszechnie znani mordercy przechadzali się z podniesioną głową i urągali publicznemu oburzeniu. Rodzice biadali nad córkami uwiedzionymi i wtrąconymi przez okrucieństwo rabusiów z hańby w nędzę. Monopol wydzieriał pracowitemu człowiekowi jego dobytek; wszelakiego rodzaju łupiestwa wyciskały gorzkie łzy uciśnionym obywatelom. Winni umykali się karze albo przez swoje wpływy, albo przez przekupstwo, albo przez obejście form. *Calzolaio* widział to wszystko; serce mu się krwawiło; dumał bez przerwy na swym zydelku¹³⁵ nad sposobem położenia kresu zamętowi.

PRZEOR: Cóż mógł wskórać, taki biedaczyna!

BRAT: Zobaczysz ksiądz. Jednego dnia ustanowił w swoim sklepiku trybunał.

PRZEOR: A to jak?

JA: Przeor chce, aby machnąć opowiadanie, jak on macha swoją jutrznię¹³⁶.

PRZEOR: Czemu nie? Sztuka krasomówcza zaleca, aby opowiadanie było zwięzłe, Ewangelia zaś, aby modlitwa była krótka.

BRAT: Na wieść o jakiejś okrutnej zbrodni wywiadywał się o nią; przeprowadzał u siebie w domu ścisłe i tajemne śledztwo. Dopełniwszy podwójnej funkcji oskarżyciela i sędziego, ukończywszy proces kryminalny i wydawszy wyrok, wychodził z rusznicą¹³⁷ pod płaszczem; i w dzień, jeżeli spotkał zbrodniarza w ustronnym miejscu, lub też w nocy, w czasie ich wypraw, kropił do nich z garłacza¹³⁸, celując, jak mógł najlepiej.

PRZEOR: Boję się, że ten zacny człowiek skończył na szubienicy. Bardzo mi to przykro.

BRAT: Po egzekucji zostawiał trupa na miejscu, nie zbliżając się doń, i wracał do domu, zadowolony jak ktoś, kto zabił wściekłego psa.

PRZEOR: I dużo zabił takich psów?

BRAT: Liczono ich więcej niż pięćdziesięciu, wszystko osoby wyższego stanu. Wówczas wicekról przyrzekł dwa tysiące talarów¹³⁹ temu, kto wyda zabójcę, i przysiągł w obliczu ołtarza, iż przebaczy winnemu, o ile się oskarży sam.

PRZEOR: Nie ma głupich!

BRAT: W obawie, aby podejrzenie i kara nie padły na niewinnego...

PRZEOR: Oddał się w ręce wicekróla!

BRAT: Przemówił w te słowa: „Spełniłem, panie, twój obowiązek. To ja skazałem i wydałem na śmierć zbrodniarzy, których ty powinienesz być ukarać. Oto protokoły, stwierdzające ich zbrodnie. Ujrzysz w nich metodę postępowania sądowego, którego się trzymałem. Miałem pokusę, aby zacząć od ciebie, ale szanowałem w twojej osobie dostojnego monarchę, którego przedstawiasz. Życie moje w twoich rękach, możesz nim rozrządzać”.

PRZEOR: Co też się stało.

BRAT: Nie wiem; ale wiem, że przy całym tym pięknym zapale ów człowiek był tylko mordercą.

PRZEOR: Mordercą! Ostre słowo: jakież inne można by mu dać miano, gdyby zabijał uczciwych ludzi?

sprawiedliwość, kara,
władza, sąd

¹³³Labat, Jean-Baptiste (1663–1738) — francuski duchowny, podróżnik, botanik i etnograf. [przypis edytorski]

¹³⁴calzolaio (wl.) — szewc. [przypis tłumacza]

¹³⁵zydel — prosty, drewniany stół. [przypis edytorski]

¹³⁶jutrznia (rel.) — pierwsza z siedmiu codziennych modlitw katolickiej liturgii godzin, obowiązkowych dla osób ze święceniami duchownymi, odmawiana rano, pierwotnie o świcie. [przypis edytorski]

¹³⁷rusznica — dawna ręczna broń palna o długiej lufie. [przypis edytorski]

¹³⁸garłacz — dawna broń palna z charakterystycznym rozszerzeniem wylotu lufy, rodzaj krótkiej strzelby, używanej gł. w XVI–XVIII w. [przypis edytorski]

¹³⁹talara — dawna duża srebrna moneta o stosunkowo dużej wartości; w oryginale: *écu*, francuski odpowiednik talara, równy trzem liwrom. [przypis edytorski]

JA: Szaleństwo!

SIOSTRA: Byłoby pożądane, aby...

BRAT do mnie: Jesteś monarchą: przedłożono ci sprawę do rozstrzygnięcia; jakże wypadnie?

JA: Księżę, zastawiasz mi pułapkę; dam się w nią chwycić. Skazałbym wicekróla, aby zajął miejsce szewca, a szewca, by zajął miejsce wicekróla.

SIOSTRA: Bardzo dobrze, bracie.

Ojciec ukazał się z powrotem z ową pogodną twarzą, jaką zawsze miał po modlitwie. Opowiedziano mu sprawę i potwierdził wyrok księdza. Siostra dodała:

— I oto pozbawiono Mesynę jeżeli nie jedynego sprawiedliwego człowieka, to przynajmniej jedynego dzielnego obywatela, który się tam znalazł. Martwi mnie to.

Dano do stołu; obecni sprzeczali się trochę ze mną; żartowali silnie z przeora, z jego sądu w sprawie kapelusznika i skromnej opinii, jaką ma o przeorach i kanonikach. Przedłożono mu kwestię testamentu; zamiast ją rozstrzygnąć, opowiedział nam wydarzenie z własnego życia.

PRZEOR: Przypominacie sobie olbrzymie bankructwo bankiera Bourmont?

OJCIEC: Czy sobie przypominam? I mnie szarpnęło ono trochę.

PRZEOR: Tym lepiej!

OJCIEC: Czemu?

PRZEOR: Temu, iż jeśli źle uczyniłem, większą będę miał ulgę w sumieniu. Zamianowano mnie syndykiem¹⁴⁰ wierzycieli. Znalazł się między czynnymi walorami Bourmonta oblig¹⁴¹ na sto talarów¹⁴², wystawiony przez biednego kupca w sąsiedztwie. Oblig ten, podzielony między wierzycieli, nie dawał ani dwunastu su¹⁴³ na głowę; ściągnięty zaś z nieboraka, wtrąciłby go w ruinę. Przypuściłem...

OJCIEC: Iż każdy wierzyciel z osobna nie odmówiłby dwunastu su na rzecz nędzarza; podarłeś książdł weksel i uczyniłeś jałmużnę z mojej sakiewki.

PRZEOR: W istocie. Gniewa się pan?

OJCIEC: Nie.

PRZEOR: Niechże pan zechce uwierzyć, że inni również by się nie gniewali; i rzecz załatwiona.

OJCIEC: Ale, księżę przeorze, jeżeli drzesz mocą własnej powagi jeden weksel, czemu nie podrzesz dwóch, trzech, czterech; tyle ilu zapragniesz wspomóc biedaków cudzym kosztem? Ta zasada miłosierdzia może daleko zaprowadzić, księżę przeorze; sprawiedliwość, sprawiedliwość...

PRZEOR: Już to powiedziano nieraz: jest często wielką niesprawiedliwością.

Młoda osoba, która mieszkała na pierwszym piętrze, zeszła w tej chwili; istne wcielenie wesołości i pustoty. Ojciec spytał, czy ma nowiny o mężu: ów mąż był to ladaco, który dał żonie przykład złych obyczajów (o ile mi się zdaje, poszła po trosze za tym przykładem) i który, aby uniknąć pościgu wierzycieli, drapnął na Martynikę¹⁴⁴. Pani d'Isigny — to nazwisko naszej lokatorki — odparła:

— Mąż? Bogu chwała, nie słyszę już o nim; może utonął.

PRZEOR: Utonął! Winszuję pani.

PANI D'ISIGNY: Cóż panu na tym zależy, księżę przeorze?

PRZEOR: Mnie nic, ale pani?

PANI D'ISIGNY: A co mnie?

¹⁴⁰syndyk — osoba wyznaczona przez sąd do zarządzania majątkiem osoby lub firmy, która ogłosiła upadłość, i dokonywania podziału funduszy między wierzycieli. [przypis edytorski]

¹⁴¹oblig (daw.) — zobowiązanie; tu: weksel, dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych. [przypis edytorski]

¹⁴²talár — dawna duża srebrna moneta o stosunkowo dużej wartości; w oryginale: *écu*, francuski odpowiednik talara, równy trzem liwrom. [przypis edytorski]

¹⁴³su, właśc. *sou* — dawna drobna moneta francuska, warta 1/20 liwra (franka). [przypis edytorski]

¹⁴⁴Martynika — wyspa w archipelagu Małych Antyli, między Morzem Karaibskim a otwartym Oceanem Atlantyckim; dawniej posiadłość kolonialna Francji, ob. jej departament zamorski. [przypis edytorski]

PRZEOR: Hm, powiadają...

PANI D'ISIGNY: Cóż powiadają?

PRZEOR: Skoro pani chce wiedzieć, powiadają, że on przejął jakieś pani listy.

PANI D'ISIGNY: Ba, czyż ja nie miałam w zamian ładnej kolekcji jego listów?

Na to wszczęła się nad wyraz zabawna kłótnia między przeorem a panią d'Isigny o przywileje obu płci. Pani d'Isigny wezwała mnie na pomoc; miałem właśnie dowieść przeorowi, że pierwsze z małżonków, które naruszy umowę, wraca wolność drugiej stronie; ale ojciec poprosił o krymkę¹⁴⁵, przerwał rozmowę i wyprawił nas spać. Skoro na mnie przyszła kolej życzyć mu dobrej nocy, ściskając go, rzekłem mu do ucha:

— Doprawdy, ojczy, zdaje mi się, że nie ma praw dla mądrego człowieka.

— Mów ciszej...

— Skoro wszystkie podlegają wyjątkom, do niego należy osądzić, w którym wypadku winien się poddać im lub nie.

— Nie gniewałbym się — odparł ojciec — gdyby był w mieście jeden albo dwóch takich jak ty obywateli; ale nie chciałbym w nim mieszkać, gdyby wszyscy myśleli tak samo.

Prawo, Sprawiedliwość

Pani de La Carlière

CZYLI O NIEKONSEKWENCJI SĄDÓW PUBLICZNYCH O NASZYCH PRYWATNYCH UCZYNKACH¹⁴⁶

— Wracamy?

— Wcześniej jeszcze.

— Widzisz te chmury?

— Nie obawiaj się; rozpierzchną się same, nawet bez śladu wiatru.

— Tak sądzisz?

— Często obserwowałem to zjawisko w lecie, w upał. Niższa część atmosfery, wskutek opadów wodnych pozbawiona wilgoci, wchłonie część gęstej pary tworzącej ciemną oponę¹⁴⁷, która zasłania ci niebo. Masa tej pary rozłoży się mniej więcej równomiernie w całej masie powietrza; dzięki temu dokładnemu rozmieszczeniu lub kombinacji — jak ci się podoba nazwać — atmosfera stanie się jasna i przezroczysta. Jest to niby laboratoryjne doświadczenie, odbywające się nad naszymi głowami. Za kilka godzin lazur zacznie przebijać przez rozrzedzone chmury; chmury staną się coraz rzadsze; lazurowe okna coraz liczniejsze i obszerniejsze; niebawem ani będziesz wiedział, co się stało z czarnym welonem, który cię przerażał, oraz zdumiejesz się i uradujesz przejrzystością powietrza, czystością nieba i urodą dnia.

Niebo

— Ależ prawda! Gdy ty mówiłeś, patrzałem na niebo i zjawisko to zdawało się spełniać twoje rozkazy.

— Jest po prostu związane z ilością wody rozpuszczonej w powietrzu.

— Tak jak para, która ćimi powierzchnię szklanki, skoro napełnimy ją mrożoną wodą, jest jedynie rodzajem strątu¹⁴⁸.

— A te olbrzymie balony, pływające lub wiszące w atmosferze, są jedynie nadmiarem wody, której nasycone powietrze nie może rozpuścić.

— Tkwią w niej jak kawałki cukru na dnie filiżanki kawy, która nie może ich już więcej wchłonać.

— Bardzo słusznie.

— I przyrzekasz mi za powrotem¹⁴⁹...

¹⁴⁵krymka — przylegająca do głowy czapeczka bez daszka, często ozdobiona haftem; typowa część stroju Tatarów krymskich, stąd nazwa. [przypis edytorski]

¹⁴⁶*Pani de La Carlière* — utwór ten, skreślony w r. 1772, bardzo głośny swojego czasu, stanowi, podobnie jak *To nie bajka...*, udratyzowane opowiadanie z prawdziwego zdarzenia i również krążył długo jedynie w rękopiśmiennych kopiach. W druku ukazał się w r. 1798. [przypis tłumacza]

¹⁴⁷opona (daw.) — zasłona; okrycie, powłoka. [przypis edytorski]

¹⁴⁸strątu (chem.) — osad; nierozpuszczalna substancja, strącana podczas procesu chemicznego. [przypis edytorski]

¹⁴⁹za powrotem (daw.) — po powrocie. [przypis edytorski]

— Sklepienie usiane gwiazdami, najpiękniejsze, jakie być może.
— Skoro tedy mamy dalej zażywać przechadzki, czy mógłbyś mi powiedzieć — wszak ty znasz wszystkich, którzy tu bywają — kto jest ten wysoki, szczupły, melancholijny jegomość, który nie odezwał się ani słowa i którego, skoro towarzystwo się rozproszyło, zostawiono samego w salonie.

— To człowiek, którego boleść przejmuję mnie szczerym szacunkiem.

— A zowie się?

— Kawaler Desroches.

— Ten Desroches, który po śmierci skąpego ojca, stawszy się właścicielem olbrzymiej fortuny, zasłynął przez swą rozrzutność, swoje miłości i niespokojne życie?

— Ten sam.

— Wariat, który przechodził wszelakie przeobrażenia, którego widziano kolejno w sutannie, w sędziowskiej todze i w uniformie?

— Tak, ten wariat.

— Jakże się zmienił.

— Życie jego jest pasmem osobliwych wydarzeń. To jedna z najnieszcześniejszych ofiar kaprysów losu i nieopatrznych sądów ludzi. Skoro opuścił Kościół dla trybunału, rodzina podniosła krzyki oburzenia; głupia zaś publiczność, która nieodbycie¹⁵⁰ staje po stronie ojców przeciw dzieciom, zaczęła nań ujadać jednogłośnie.

— A cóż dopiero za gwałt, kiedy się wycofał z trybunału, aby wstąpić do wojska!

— A w gruncie cóż on popełnił? Dzielny czyn, którym szczycilibyśmy się obaj, a który ściągnął nań reputację skończonego szaleńca; i potem dziwisz się, że obłądne paplarstwo ludzkie nudzi mnie, niecierpliwi, drażni.

— Dalibóg, wyznaję, iż sądziłem Desroches'a jak cały świat.

— I oto w jaki sposób, z ust do ust, przez to, iż jedni stają się bezmyślnym echem drugich, podaje się dzielnego człowieka za durnia, rozumnego za głupca, zacnego za hultaja, odważnego za wariata i na odwrót. Nie, te niedorzeczne paple nie warte są, aby kierując swoim życiem, liczyć za cośkolwiek ich pochwałę lub naganę. Posłuchaj, do kroćset, i spal się ze wstydu.

Desroches został bardzo młodo rajcą¹⁵¹ parlamentu¹⁵²; pomyślne okoliczności zaprowadziły go szybko do Wielkiej Izby; z kolei przeszedł do sądu kryminalnego, gdzie poruczono mu raport w doniosłej sprawie. Na podstawie jego wniosków skazano złoczyncę na najsroższą karę. W dzień egzekucji zwyczaj nakazuje urzędnikowi, który był sprężyną wyroku, udać się do ratusza, iżby tam przyjął ostatnie rozporządzenie nieszczęśliwych, jeżeli tego sobie życzą, jak w tym wypadku. Było to w zimie. Desroches i jego kolega grzali się koło ognia, kiedy oznajmiono przybycie pacjenta. Człowieka tego, któremu tortura pogruchoła wszystkie kości, niesiono na materacu. Znalazszy się w obliczu sędziego, podnosi się, obraca oczy ku niebu i woła:

— Wielki Boże! Sprawiedliwe sądy twoje!

Złożono go na materacu u stóp Desroches'a.

— I to pan mnie skazałeś! — rzekł silnym głosem, zwracając się doń. — Jestem winien zbrodni, o którą mnie oskarżają; tak, jestem winien, wyznaję. Ale pan nic o tym nie wiesz.

Następnie, przechodząc całe śledztwo, wykazał mu jasno jak na dłoni, że dowody były równie bezpodstawne, jak wyrok niesprawiedliwy. Desroches, drżąc na całym ciele, zrywał się, drze na sobie togę i wyrzeka się na zawsze niebezpiecznej funkcji wyrokowania o życiu ludzkim.

I oto, kogo nazywają wariatem! Człowieka, który zna samego siebie i lęka się pokalać suknię duchowną lub splamić rękę krwią niewinnego.

— Bo takich rzeczy się nie wie.

— Kiedy się nie wie, trzeba milczeć.

— Ale aby milczeć, trzeba być ostrożnym.

— A cóż szkodzi być ostrożnym?

¹⁵⁰nieodbycie (daw.) — koniecznie, bezwarunkowo. [przypis edytorski]

¹⁵¹rajca (daw.) — członek rady miejskiej, radny. [przypis edytorski]

¹⁵²parlament — we Francji królewskiej: regionalny najwyższy sąd. [przypis edytorski]

— To, iż odmawia się wiary dwudziestu ludziom, których się szanuje, dla jednego, którego się zna.

— Och, drogi panie, nie żądam tylu ręcycieli, kiedy chodzi o to, aby uwierzyć w dobro!

— Ale w zło!

— Dajmy temu pokój; odciągasz mnie od przedmiotu i drażnisz mnie. Trzeba było jednak czymś być. Desroches kupił dowództwo kompanii.

— To znaczy, wyrzekł się skazywania na śmierć bliźnich, aby ich zabijać zgola bez procesu.

— Nie rozumiem, jak można żartować z podobnych rzeczy.

— Cóż chcesz? Jesteś smutny, a ja wesoły.

— Aby ocenić wartość gadań ludzkich, trzeba by znać dalszy ciąg jego dziejów.

— Poznam go, jeśli zechcesz.

— To będzie długie.

— Tym lepiej.

Desroches odbywa kampanię w r. 1745 i spisuje się dzielnie. Uszedłszy niebezpieczeństw wojny, dwustu tysięcy strzałów z fuzji, łamie nogę, dosiadając narowistego konia, o kilka mil od dworu, gdzie zamierzał odbyć leże zimowe. Trzeba było słyszeć, w jaki sposób nasze bawidamki obnosiły ten wypadek.

— Ha! Istnieją pewne osoby, z których świat przywykł się śmiać i dla których nie znajduje nic prócz śmiechu.

— Człowiek, który złamał nogę, to w istocie bardzo ucieszne! Więc dobrze, panowie śmieszki, śmiećcie się do syta, ale wiedźcie, iż lepiej byłoby dla Desroches'a, gdyby go rozniosła kula armatnia lub gdyby padł na polu bitwy pchnięty bagnietem. Wypadek ten zdarzył mu się w wioszczynie, gdzie poza plebanią lub zamkiem nie było możliwego schronienia. Przeniesiono go do zamku, który należał do pani de La Carliere, młodej wdowy, dziedziczki tych włości.

— Któż nie słyszał o pani de La Carliere? Któż nie słyszał o jej bezgranicznym poświęceniu dla starego zazdrosnego męża, któremu chciwość rodziny wydała ją w czternastym roku?

— W wieku, w którym przyjmuje się najpoważniejsze z zobowiązań, dlatego aby móc się różować i nosić ładne kolczyki, pani de La Carliere była w pożyciu z mężem najbardziej uważającą i uczciwą żoną.

— Wierzę, skoro tak powiadasz.

— Przyjęła i ugościła kawalera Desroches jak najdawniej. Interesy powoływały ją do miasta; mimo swoich spraw i mimo deszczów jesiennych, które wzdymając wody sąsiedniej Marny¹⁵³, pozwalały jej wyjeżdżać z domu jedynie statkiem, przeciągała pobyt na wsi aż do zupełnego wyleczenia Desroches'a. Wyzdrowiał wreszcie; i oto, przywiązany wdzięcznością oraz bardziej słodkimi uczuciami do swej młodej, bogatej i pięknej gospodyni, jedzie wraz z nią w jednej kolasce¹⁵⁴ do Paryża.

— Tak, to była niebiańska istota: ilekroć pojawiała się w teatrze, budziła powszechny zachwyt.

— I tam ją widziałeś?...

— Tak.

— W ciągu kilku lat ich zażyłości zakochany kawaler, który też nie był obojętny pani de La Carliere, ofiarował jej kilka razy małżeństwo; ale świeża pamięć utrapień pod jarzmem pierwszego małżonka, a bardziej jeszcze reputacja wietrznika¹⁵⁵, jaką kawaler sobie wyrobił, przeraziły panią de La Carliere, która nie wierzyła w poprawę tego rodzaju ludzi. Pani de La Carliere toczyła wówczas proces ze spadkobiercami męża.

— Musiało też być sporo gadań z okazji tego procesu?

— Owszem, i to najróżniejszych. Możecie się domyślić, że Desroches, który zachował wielu przyjaciół w palestrze¹⁵⁶, krzątał się gorliwie koło sprawy pani de La Carliere.

— Która też była mu wdzięczna.

¹⁵³Marna — rzeka we Francji, prawy dopływ Sekwany. [przypis edytorski]

¹⁵⁴kolasa — odkryty powóz konny bez resorów. [przypis edytorski]

¹⁵⁵wietrznik (daw.) — człowiek niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

¹⁵⁶palestra — ogół adwokatów; adwokatura. [przypis edytorski]

— Wystawał bez ustanku pod drzwiami sędziów.

— Zabawne jest, iż mimo że zupełnie wyleczony ze złamania, nie pokazywał się w sądzie inaczej jak w pantoflu. Utrzymywał, iż prośby jego, poparte pantoflem, działały bardziej wzruszająco. Prawda, iż wzuwał go raz na jedną, raz na drugą nogę, z czego nawet śmiano się po trochu.

— I aby go odróżnić od krewniaka tego samego nazwiska, wołano go Desroches-Pantofel. Wreszcie, dzięki słuszności sprawy i przy pomocy patetycznego pantofla, pani de La Carlière wygrała proces.

— I została panią Desroches, w obliczu Boga i ludzi.

— Jak tobie pilno! Nie lubisz szczegółów; dobrze, daruję ci je. Porozumieli się zatem ostatecznie, chwila połączenia była bliska. Jednego dnia, po wielkim obiedzie, pośród licznego grona złożonego z obu rodzin i z garści przyjaciół, pani de La Carlière, przybierając dostojną postawę i uroczysty ton, zwróciła się do kawalera i rzekła: „Panie Desroches, posłuchaj. Dziś, jesteśmy oboje wolni, jutro już nie; mam się stać panią twego szczęścia lub nieszczęścia, jak i ty mego wzajem. Co do mnie, zastanowiłam się dobrze; racz i ty pomyśleć nad tym poważnie. Jeżeli czujesz w sobie pęd do miłostek, jaki władał tobą dotąd; jeżeli nie mam być jedynym celem twych pragnień, nie wiąż się; zaklinam cię na ciebie samego i na siebie. Pomyśl, że im mniej uważam się za stworzoną na kopciuszka, tym żywiej odczułabym zniewagę. Jestem ambitna, i to bardzo. Nie umiem nienawidzić, ale nikt bardziej nie umie gardzić, i to bez apelacji. Jutro u stóp ołtarza przysięgniesz należeć do mnie i tylko do mnie. Wejdz w siebie; zapytaj serca, póki czas; pomyśl, idzie tu o moje życie. Wierzaj, łatwo jest mnie zranić, a rana mej duszy nie zabliznia się nigdy, krwawi zawsze. Nie będę się skarżyła, ponieważ skarga zrazu nudzi, a w końcu pogarsza zło; litość jest uczuciem poniżającym dla tego, kto ją budzi. Zdławię w sobie boleść; przyplacę ją życiem. Kawalerze, powierzę ci mą osobę i mienie, poddam ci mą wolę i chęci; będziesz wszystkim dla mnie, ale trzeba, abym ja była wszystkim dla ciebie: nie ustąpię z tego ani na jotę. Jestem, jak sądzę, w tej chwili jedynym przedmiotem twych uczuć, ty jesteś nim z pewnością dla mnie, ale może się zdarzyć, iż ty spotkasz miłszą kobietę lub ja mężczyznę, który mi się wyda miłszy od ciebie. Gdyby wyższość przymiotów, rzeczywista lub urojona, usprawiedliwiała niestałość, nie byłoby w świecie uczciwości. Ja jestem uczciwa; chcę byś ty był taki również. Gotowa jestem do wszystkich poświęceń, aby cię nimi zdobyć bez zastrzeżeń. Oto moje prawa, moje dogmaty; nie ustąpię z nich nigdy. Uczynię wszystko, abyś w razie złamania wiary okazał się nie tylko niestały, ale abyś w oczach wszystkich zacnych ludzi, w oczach własnego sumienia był ostatnim niewdzięcznikiem. Przyjmuję ten sam zarzut, jeżeli twoim staraniom, twoim względem, twojej czułości nie odpowiem ponad twe nadzieje. Poznałam, do czego jestem zdolna przy boku męża, przy którym obowiązki żony nie były lekkie ani przyjemne. Wiesz obecnie, czego możesz po mnie oczekiwać; rozważ, czego możesz się lękać ze swej strony. Oświadc się, kawalerze, oświadc się jasno. Albo zostanę twą żoną, albo będę ci nadal przyjaciółką: wybór niezbyt okrutny. Mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu, zaklinam cię, nie narażaj mnie na to, bym musiała nienawidzić, bym musiała unikać ojca moich dzieci i w szale rozpaczyci odtrącać może ich niewinne pieszczoty. Obym mogła przez całe życie, wciąż z nowym zapalem, odnajdywać w nich ciebie i radować się, iż zostałam ich matką. Daj mi największy dowód zaufania, jakiego kiedy uczciwa kobieta żądała od zacnego mężczyzny; nie przyjmuj mej ręki, jeśli sądzisz, iż stawiam zbyt wysoką cenę. Nie tylko nie obrażę się, ale oplotę ramiona dokoła twej szyi; zaprawdę, miłość tych, które kiedykolwiek podbiłeś, oraz słodkości, jakie im rozpowiadałeś, nie zjednały ci nigdy równie szczerego, serdecznego pocałunku, jak ten, który będziesz zawdzięczał własnej otwartości i mojej wdzięczności!”

— Zdaje mi się, że słyszałem swego czasu, bardzo zabawną parodię tej przemowy.

— Z ust jakiejś serdecznej przyjaciółki pani de La Carlière?

— Na honor, przypominam sobie; zgadłeś.

— I to nie miałyby wystarczyć, aby wypędzić człowieka het, w lasy, z dala od całej tej eleganckiej kanalii, dla której nie ma nic świętego? Tak zrobię; skończy się na tym. Ani chybi; tak zrobię. Zebranie, które zaczęto od uśmieszków, skończyło się wśród łez. Desroches rzucił się do nóg pani de La Carlière, obsypując ją zaklęciami. Nie ominął niczego, co by mogło obciążać lub uniewinnić jego poprzednie prowadzenie się; porównał panią de La Carlière z kobietami, które znał i rzucił; wyciągnął z tego słusznego

i pochlebnego zestawienia pobudki zdolne ją uspokoić, zdolne ubezpieczyć jego samego przeciw modnej płochości¹⁵⁷, przeciw wybrykom młodego wieku, płynącym raczej z powszechnego obyczaju niż z charakteru. Mówił w istocie z przekonania, z intencją poparcia słów czynem. Pani de La Carlière patrzyła nań, słuchała, starała się przeniknąć słowa, gesty i tłumaczyła wszystko na jego korzyść.

— Czemuż by nie, jeżeli mówił szczerze.

— Pozwoliła się ująć za rękę, którą on całował, przyciskał do serca, całował znowu, zraszał łzami. Wszyscy dokoła podzielali ich tkliwość; wszystkie kobiety czuły jak pani de La Carlière, mężczyźni jak kawaler.

— To właściwość szlachetnego wzruszenia, iż zdoła tchnąć w zbiorowisko ludzi jedną duszę i jedną myśl. Jak się kochają, jak cenią w takich chwilach! Jak piękna na przykład jest ludzkość w teatrze! Czemuż trzeba rozstawać się tak szybko! Ludzie są tak dobrzy i tak szczęśliwi, kiedy zachoć zjednoczy ich uczucia, zleje je, zespoli w jedno!

— Cieszyliśmy się tym szczęściem, które i nas zbliżało wzajem, kiedy pani de La Carlière, ulegając popędowi szlachetnej duszy, wstała i rzekła: „Kawalerze, nie wierzę ci jeszcze, ale za chwilę uwierzę”.

— Milusia hrabinka doskonale przedrzeźniała ten patos pięknej krewniaczki.

— Łatwiej go jej przedrzeźniać niż odczuć. „Śluby wyrzeczone u stóp ołtarzy...” Śmiejesz się?

— Na honor, przepraszam; ale widzę jeszcze hrabinę, jak wspina się na palce, i słyszę jej napuszony ton.

— Ech, jesteś niegodziwy, zepsuty, jak cała ta gromada. Nie powiem nic więcej.

— Przyrzekam się już nie śmiać.

— Pamiętaj.

— A zatem, śluby wyrzeczone u stóp ołtarzy...

— ...tyle razy były wiarołomnie zdeptane, iż nie przywiązuję żadnej wagi do jutrzejszej uroczystej obietnicy. Obecność Boga mniej nam jest straszliwa niż sąd bliźnich. Panie Desroches, zbliż się pan. Oto moja ręka, podaj mi swoją i przysiąż wiekuistą wierność i miłość; weź na świadków wszystkich obecnych. Zgódź się, gdybyś mi dał słuszne powody do skargi, abym cię pozwała przed ten trybunał i wydała cię jego oburzeniu. Zgódź się, aby się zebrali na me wezwanie i aby cię nazwali zdrajcą, niewdzięcznym, przewrotnym, fałszywym, złym człowiekiem. Są to moi i twoi przyjaciele. Zgódź się, aby w chwili gdy ja cię stracę, i oni opuścili cię wszyscy. Wy, moi przyjaciele, przysiążcie, że się go wyrzekniecie.

Natychmiast salon zabrzmiał od zmieszanych okrzyków: „Przysięgam! Przysięgam! Godzę się! Przysięgamy!”. I wśród tego rozkosznego zgielku kawaler, chwyciwszy w ramiona panią de La Carlière, całował ją w czoło, we włosy, policzki.

— Ależ, kawalerze!

— Ależ, pani, ceremonia spełniona; jestem mężem, ty żoną.

— W lasach, oczywiście; ale tutaj brakuje pewnej formalności. Na zadatek masz oto mój portret; uczyn z nim, co ci się podoba. Czy i ty nie zamówiłaś swojej miniatury? Jeśli masz, daj mi ją.

Desroches podał swoją miniaturę pani de La Carlière, która przypięła ją na ramieniu i pozwalała się nazywać przez resztę dnia panią Desroches.

— Pilno mi dowiedzieć się, co z tego wyniknie.

— Cierpliwości. Przyrzekłem być rozwlekły; trzeba dotrzymać słowa. Ale... prawda... to wszystko działo się w czasie twojej podróży, nie było cię w kraju.

Dwa lata, dwa pełne lata Desroches i jego żona tworzyli najbardziej szczęśliwe i zgodne stadło¹⁵⁸. Sądzono, iż Desroches szczerze się poprawił; i tak było. Towarzysze jego swawoli, którzy słyszeli o owej sławnej scenie i żartowali z niej, powiadali, iż w istocie to ksiądz przynosi nieszczęście i że pani de La Carlière odkryła po upływie dwóch tysięcy lat sekret uniknięcia przekleństwa sakramentu. Pani de La Carlière, którą będę

¹⁵⁷płochóć (daw.) — lekkomyślność, nierozważność, brak stałości w uczuciach i postanowieniach. [przypis edytorski]

¹⁵⁸stadło (daw.) — małżeństwo; para małżeńska. [przypis edytorski]

nazywał panią Desroches aż do chwili, w której wypadnie mi ją nazywać inaczej, powiła dziecko. Chciała bezwarunkowo je karmić. Był to długi i niebezpieczny okres dla młodego człowieka o temperamentie bujnym, mało podatnym do tego trybu życia. Gdy pani Desroches poświęcała się obowiązkom, mąż udzielał się w świecie; otóż na swoje nieszczęście spotkał tam jedną z owych uroczych a przewrotnych kobiet, podrażnionych tajemnie tym, iż widzą gdzie indziej harmonię, której brak w ich domu, jedną z istot czyniących sobie zabawę i pociechę z tego, aby pograżać innych w niedoli, której same są pastwą.

— To ty tak przedstawiasz rzeczy, ale nie ona...

— Desroches, który znał siebie, który znał żonę, szanował ją, obawiał się jej...

— To prawie to samo...

— Pędził dni przy niej, w domu. Dziecko, ubóstwiane przezeń, przebywało niemal równie często w jego ramionach, co w objęciach matki, której, wraz z kilkoma przyjaciółmi, starał się za pomocą domowych zabaw umilić zacne, ale uciążliwe zadanie.

— To bardzo pięknie.

— Zapewne. Jeden z jego przyjaciół wplątał się w finansowe operacje rządu. Ministerstwo było mu winne znaczną sumę, która stanowiła prawie cały jego majątek; próżno domagał się zwrotu. Zwierzył się Desroches'owi. Ten przypomniał sobie, iż był niegdyś bardzo dobrze z kobietą, która dzięki wpływom i stosunkom mogłaby pomyślnie zakończyć tę sprawę. Zmilczał. Ale zaraz nazajutrz udał się, aby z nią pomówić. Ucieszyła się serdecznie spotkaniem oraz możliwością oddania usługi uroczemu człowiekowi, którego niegdyś tkliwie kochała, a którego poświęciła dla ambitnych widoków. Spotkali się jeszcze kilka razy. Była to osoba czarująca. Zawiniła wobec Desroches'a; sposób, w jaki kajała się za winy, był wcale niedwuznaczny. Desroches trwał jakiś czas w niepewności, co uczyni.

— Na honor, nie wiem czemu.

— Ale wpół przez pociąg, bezczynność lub słabość, wpół z obawy, aby błahy skrupuł...

— Co do rozrywki dość obojętnej dla jego żony...

— ...nie osłabił zapału protektorki w sprawie przyjaciela i nie udaremnił negocjacji, zapomniał na chwilę o pani Desroches i wplątał się w miłość. Wspólniczka jego miała nader ważne przyczyny, aby chować rzecz w tajemnicy, co pociągnęło za sobą konieczną i stałą korespondencję. Widywali się mało, ale pisywali dużo. Powtarzałem sto razy kochankom: Nie piszcie, listy was zgubią; wcześniej lub później przypadek skieruje który z nich pod niewłaściwym adresem. Przypadek kombinuje wszystkie możliwe wydarzenia; trzeba mu jedynie czasu, aby wylosować nieszczęśliwą liczbę.

— Nikt ci nigdy nie uwierzył?

— I wszyscy się tym zgubili, i Desroches, jak sto tysięcy przed nim i po nim. Chował listy w szkatułce opatrzonej blaszanymi okuciami. W mieście czy na wsi szkatułka była pod kluczem w sekretarzyku; w podróży — w walizie Desroches'a na przedzie kolasy. Tak było właśnie tym razem. Jadą, przybывая na miejsce. Wsiadając, Desroches oddaje służącemu szkatułkę z poleceniem zanieśienia jej do jego pokoju, dokąd droga prowadziła przez pokoje żony. W drodze obręcz pęka, szkatułka pada, wieko się otwiera, listy rozsypują się u stóp pani Desroches. Podnosi kilka i przekonuje się o zdradzie męża. Nigdy chwili tej nie mogła sobie przypomnieć bez dreszczu. Mówiła mi, iż ciało jej oblało się zimnym potem: miała uczucie, iż żelazne szpony ściskają jej serce i szarpią wnętrzności. Co się z nią stanie? Co uczyni? Skupiła się; przywołała resztkę sił i przytomności. Wybrała kilka najwymowniejszych listów, umocowała z powrotem denko i kazała służącemu zanieść szkatułkę do pokoju pana, zachowując, pod groźbą natychmiastowego wypędzenia, milczenie o tym, co się zdarzyło. Przyrzekła Desroches'owi, że nigdy nie usłyszy z jej ust skargi; dotrzymała słowa. Jednakże trawił ją głęboki smutek, płakała niekiedy; w domu czy na przechadzce życzyła sobie być sama, kazała podawać obiad u siebie; milczała nieustannie lub wdychała mimo woli. Strapiony, ale spokojny Desroches przypisywał ten stan waporom¹⁵⁹, mimo że kobiety karmiące nie podlegają tej chorobie. W bardzo krótkim czasie zdrowie żony podupadło tak, iż trzeba było opuścić wieś i wrócić do miasta. Pani Desroches wyprosiła sobie, iż odbędzie drogę w oddzielnym powozie. Za powro-

Kochanek, List, Upadek

List, Zdrada, Milczenie,
Żona

¹⁵⁹wapory (daw.) — ataki hysterii, spazmy. [przypis edytorski]

tem umiała postępować tak zręcznie i oględnie, iż Desroches, który nie zauważył braku paru listów, widział w tej odmianie żony, w jej obojętności, westchnieniach, wstrzymywanych łzach, w jej pociągu do samotności, jedynie zwyczajne objawy choroby. Niekiedy radził żonie, aby przerwała karmienie; ale był to właśnie jedyny sposób, za pomocą którego mogła, póki się jej spodoba, oddalić wyjaśnienia. Desroches żył tedy nadal obok niej, zupełnie spokojny o swoją tajemnicę, kiedy jednego ranka stanęła przed nim żona, wspaniała, szlachetna, godna, ubrana w tę samą szatę i strojna w te same klejnoty, jakie miała na owym słynnym zebraniu w wilię¹⁶⁰ ślubu. To, co straciła na świeżości i tuszy, to, co tajemna zgryzota ujęła jej z wdzięków, wynagradzała z nawiązką szlachetność postawy. Kiedy żona weszła, Desroches pisał właśnie do kochanki. Zmieszali się oboje; ale ponieważ oboje jednak umieli panować nad sobą i oboje mieli przyczynę ukrywać zmieszanie, było ono tylko przelotne.

— Och, żono! — wykrzyknął Desroches, mnąc, jakby przez roztargnienie, papier. — Jakaś ty piękna! Jakie masz plany na dzisiaj?

— Zamiarem moim jest urządzać małe zebranie. Zaprosiłam krewnych, przyjaciół i liczę na ciebie.

— Oczywiście. O której godzinie mam się stawić?

— O której? Ależ... jak zwyczajnie.

— Widzę wachlarz i rękawiczki, czy wychodzisz?

— Jeśli pozwolisz.

— Można wiedzieć dokąd?

— Do matki.

— Proszę, bądź łaskawa wyrazić jej mój szacunek.

— Twój szacunek?

— Oczywiście.

Pani Desroches wróciła dopiero w chwili, gdy miano sięść do stołu. Goście przybyli. Czekano na panią domu. Skoro weszła, rozległ się ten sam okrzyk, jaki widok jej wydarł z ust męża. Wszyscy bez wyjątku otoczyli ją, powtarzając chórem: „Ależ patrzcie, jaka ona piękna!”. Kobiety poprawiały jej uczesanie, cokolwiek zburzone. Mężczyźni, trzymając się w pewnym oddaleniu, nieruchomi z podziwu, powtarzali: „Nie, Bóg ani natura nie uczynili, nie mogli uczynić nic bardziej wspaniałego, wielkiego, pięknego, szlachetnego, doskonałego”.

— Ależ, żono — mówił Desroches — wydajesz mi się jakaś obojętna na wrażeń, które czynisz. Przez litość, nie uśmiechaj się; uśmiech towarzyszący tyłu wdziękowi przyprawilby nas o szaleństwo.

Pani Desroches odpowiedziała lekkim gestem oburzenia, odwróciła głowę i podniosła chustkę do oczu, które zaczynały wilgnąć. Kobiety, przywykłe zauważać wszystko, pytały po cichu: „Co jej jest? Lada chwila się rozplacze”. Desroches, który odgadywał ich słowa, przykładając rękę do czoła, dając znak, iż żona cokolwiek cierpi na głowę.

— W istocie, przesłano mi w dalekie strony krążącą pogłoskę, iż piękna pani Desroches, niegdyś piękna pani de La Carlière, uległa pomieszeniu zmysłów.

Dano do stołu. Wesołość zajaśniała na wszystkich twarzach z wyjątkiem pani de La Carlière. Desroches żartował z lekka z jej uroczystego wejrzenia.

— Nie dbam na tyle — mówił — o własny rozum ani o rozum przyjaciół, abym się miał lękać niebezpieczeństwa jej uśmiechu. Żonusiu, gdybyś raczyła się uśmiechnąć.

Pani de La Carlière udała, że nie słyszy, i zachowała powagę. Kobiety oświadczyły, że z każdym wyrazem jest jej tak do twarzy, iż można jej zostawić wolny wybór. Obiad się skończył. Towarzystwo przeszło do salonu, siadając w krąg. Pani de La Carlière...

— Chcesz powiedzieć: pani Desroches?

— Nie; nie uważam za właściwe tak jej nazywać dłużej. Pani de La Carlière dzwoni; daje znak. Przynoszą jej dziecko, bierze je, drząc cała. Odslania pierś, daje mu possać i oddaje piastunce, popatrzwszy na nie smutno, ucałowawszy je i zwilżywszy łzę, która padła na lico dziecka. Ocierając łzę, rzekła: „To nie będzie ostatnia”. Ale wyrzekła te słowa tak cicho, iż ledwie je słyszano. Widok ten wzruszył obecnych, zapanowało głębokie

¹⁶⁰wilia (daw.) albo wigilia — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; w wilię: w przeddzień. [przypis edytorski]

milczenie. Wówczas pani de La Carlière podniosła się i zwracając się do całego zebrania, powiedziała, co następuje, lub coś podobnego:

— Moi krewniacy, moi przyjaciele, byliście wszyscy tutaj w dniu, w którym dałam słowo panu Desroches i on mi dał swoje. Przypominacie sobie z pewnością warunki, pod jakimi przyjął jego rękę. Panie Desroches, mów. Czy byłam wierna obietnicy?...

— Do ostatnich granic.

— A ty, Desroches, oszukałeś mnie, zdradziłeś...

— Ja, pani?!...

— Ty.

— Kto jest ów nieszczęsny, niegodziwy, który...

— Nieszczęsną jestem tutaj tylko ja, niegodziwym tylko pan...

— Żono...

— Nie jestem już nią...

— Pani!

— Proszę, nie dodawaj kłamstwa i zuchwalstwa do przewrotności. Im bardziej będziesz się bronił, tym większy wstyd cię czeka. Oszczędź samego siebie...

Domawiając tych słów, wyjęła listy, podała kilka mężowi, resztę zaś rozdała obecnym. Wzięli je, ale nikt nie czytał.

— Panowie, panie — rzekła pani de La Carlière — czytajcie i sądźcie nas. Nie wyjdziecie stąd, nim nie wydacie wyroku.

Następnie, zwracając się do Desroches'a:

— Co do pana, musi ci być znane to pismo.

Goście wahali się jeszcze, ale na ponowne prośby przeczytali. Tymczasem Desroches, drżący, nieruchomy, oparł głowę o szybę, odwrócony plecami do towarzystwa, na które nie śmiał spoglądać. Jeden z przyjaciół ulitował się nad nim, wziął go za rękę i wyprowadził z salonu.

— Donosząc o szczegółach tej sceny, powiadano mi, że Desroches był bardzo płaski, żona jego zaś uczciwie śmieszna.

— Nieobecność Desroches'a ośmieliła zebranych. Uznali jego błąd; przyznali słusność pani de La Carlière, byle nie posuwała urazy zbyt daleko. Wszyscy skupili się koło niej; zaczęli ją naglić, błagać, zaklinać. Przyjaciel, który wyprowadził Desroches'a, wchodził i wychodził, donosząc mu, co się dzieje. Pani de La Carlière pozostała nieugięta w postanowieniu, którego nie objawiła jeszcze. Na wszystko, co jej przedkładano, powtarzała wyłącznie jedno. Kobietom mówiła: „Moje drogie, nie potępiam waszej pobłażliwości”. Mężczyznom: „Panowie, to niemożliwe: ufność przepadła, nie ma już rady”. Sprowadzono męża. Był w pół żywy. Raczej upadł, niż rzucił się do stóp żony; nie mógł rzec słowa. Pani de La Carlière rzekła:

— Proszę, wstań pan.

Podniósł się, ona zaś dodała:

— Jesteś pan złym mężem; przekonam się, czy jesteś przyzwoitym człowiekiem. Nie mogę już pana kochać ani szanować; to dość, abyś zrozumiał, że niepodobna żyć razem. Zostawiam panu swój majątek. Żądam jedynie części potrzebnej na skromne utrzymanie dla mnie i dziecka. Uprzedziłam matkę. Mam u niej przygotowane mieszkanie; pozwoli pan, że zajmę je natychmiast. Jedyna łaska, o którą proszę i do której mam prawo, to abyś mi oszczędził rozgłosu, który nie zmieniałby mych zamiarów, a którego jedynym skutkiem byłoby przyspieszenie okrutnego wyroku, jaki na mnie wydałeś. Pozwól, abym zabrała dziecko i abym przy boku matki doczekała chwili, w której ona mi zamknie oczy albo też ja jej. Jeżeli ta sytuacja jest ci przykra, bądź pewien, iż boleść moja oraz podeszły wiek mej matki skrócą ją niebawem.

Tymczasem łzy płynęły ze wszystkich oczu; kobiety trzymały panią de La Carlière za ręce, mężczyźni rzucili się do jej stóp. Ale kiedy postąpiła ku drzwiom, trzymając dziecko w ramionach, rozległy się powszechne szlochania i krzyki. Mąż wołał:

— Żono! Żono! Wysłuchaj mnie; ty nie wiesz...

Mężczyźni krzyczeli, kobiety krzyczały: „Pani Desroches! Pani!”.

Mąż krzyczał:

— Przyjaciele, czy pozwolicie jej odejść? Zatrzymajcie ją, zatrzymajcież przecie; niech mnie wysłucha, niech się z nią rozmówię.

Kiedy nalegano nań, aby się rzucił do jej stóp, mówił:

— Nie, nie mogę, nie śmiem. Ja — zbliżyć się do niej! Dotknąć jej! Nie jestem godzien.

Pani de La Carlière opuściła dom. Byłem u jej matki, kiedy tam przybyła, złamana wysiłkiem tych ciężkich chwil. Troje służby wydobyło ją z powozu i niosło bezwładną; piastunka, błada jak śmierć, dążyła za panią, z dzieckiem uspionym na piersi. Złożono nieszczęśliwą na kanapie, gdzie długi czas zostawała bez ruchu, pod okiem starej, czci-godnej matki. Matka, niezdolna wydać głosu, krzątała się bezradnie, chciała nieść pomoc córce i nie mogła. Świadomość wróciła; pierwszym słowem przy otwarciu powiek było:

— Nie umarłam tedy! Jakaż to słodka rzecz umrzeć! Mamo, ulóż się obok mnie i umrzyjmy obie. Ale jeżeli umrzemy, kto będzie miał pieczę o to biedne maleństwo?

Ujęła chude i drżące ręce matki w jedną rękę, drugą położyła na dziecku; z oczu jej popłynął strumień łez. Szlochała, chciała się skarżyć; ale i szloch, i skargi przerywała gwałtowna czkawka. Skoro mogła wreszcie wyjąkać kilka słów, rzekła:

— Czyż to możliwe, aby on cierpiał tyle co ja?!

Tymczasem obecni starali się pocieszyć Desroches'a, tłumacząc, iż uraza o tak błahą przewinę nie może być trwała; ale że trzeba na chwilę ustąpić ambitnej i zranionej kobiecie, którą uroczystość owej niezwyklej ceremonii zmuszała prawie, przez punkt honoru, do gwałtownego kroku. „To po trosze nasza wina” — mówili mężczyźni. — „Tak, w istocie” — odpowiadały kobiety. „Gdybyśmy patrzyli na jej wzniosłe komedie tym okiem, co publiczność i hrabina, dzisiejsze oplakane wydarzenie nie byłoby możliwe... Tak już jest; rzeczy otoczone pewną pompą imponują nam i popychają do głupiego podziwu, gdy należałoby jedynie wzruszyć ramionami i śmiać się... Zobaczycie, zobaczycie, co jeszcze wyniknie z tej sceny i jak nas okrzyczą wszystkich”.

— Mówiąc między nami, rzecz nadawała się do tego.

— Od tego dnia pani de La Carlière wróciła do wdowiego nazwiska i nie pozwalała, aby ją zwano panią Desroches. Drzwi jej, długo zamknięte dla wszystkich, zostały na zawsze zamknięte dla męża. Pisał do niej, paliła listy, nie otwierając. Oświadczyła krewnym i przyjaciółom, iż zerwie stosunki z pierwszym, który się wstawi za Desroches'em. Księża próbowali się wmieszać, ale bez skutku. Co się tyczy wysoko położonych figur, odtrąciła ich pośrednictwo z taką stanowczością i dumą, iż rychło poniechały zabiegów.

— Powiedzieli z pewnością, że to wariatka, kobieta opętana cnotą.

— A publiczność powtórzyła to za nimi. Tymczasem pani de La Carlière tonęła w melancholii; zdrowie jej zaczęło podupadać z przerażającą szybkością. Tyle osób było wtajemniczonych w to niespodziane rozłączenie i jego pobudki, iż niebawem stało się ono przedmiotem ogólnych rozmów. W tym miejscu proszę cię, byś odwrócił oczy od pani de La Carlière, a skierował je na publiczność, na ową głupią ciżbę, która nas sędzi, rozporządza naszym honorem, wynosi nas pod chmury albo też włóczy w błocie, a którą szanujemy tym wyżej, im więcej sami mamy charakteru i cnoty. Niewolnicy opinii, możecie być przybrnymi synami tyranów, ale nigdy nie ujrzycie czwartego dnia Idów!...¹⁶¹ Był tylko jeden głos co do pani de La Carlière: „To wariatka, którą należałoby zamknąć... Ładny przykład!... W takim razie trzy czwarte mężów musiałoby się rozejść z żonami... Trzy czwarte, powiadacie? Czyż istnieje dwóch na stu, którzy byliby ściśle wierni?... Pani de La Carlière jest uroczą, bezsprzecznie; dopełniła swoich warunków, zgoda; to wciele-nie piękności, cnoty, honoru. Dodajcie, iż kawaler zawdzięczał jej wszystko. Ale też chcieć w całej Francji być jedyną wyłączną posiadaczką swego męża to zbyt śmieszna pretensja”. Mówiono jeszcze: „Jeśli Desroches taki jest w niej zacietrzewiony, czemu nie zwróci się do władz i nie przyprowadzi tej kobiety do porządku?”. Osądź, co by powiedzieli, gdyby Desroches lub jego przyjaciel mogli objaśnić sprawę; ale wszystko nakazywało im milczenie. Daremnie suszono głowę kawalerowi tą radą. Byłby się zdobył na wszystko, aby

¹⁶¹możecie być przybrnymi synami tyranów, ale nigdy nie ujrzycie czwartego dnia Idów!... — Idy to w staroż. kalendarzu rzymskim dzień przypadający w środek miesiąca (w 13 lub 15 dniu, zależnie od miesiąca roku), używany jako odniesienie przy rachubie czasu, gdyż Rzymianie nie stosowali ciągłej numeracji dni w miesiącu; Juliusz Cezar, sprawujący wówczas władzę dyktatorską, planował 18 marca roku 44 p.n.e. opuścić Rzym i wyruszyć na czele wyprawy wojennej na Wschód, jednak w dniu Idów marcowych (15 marca) został zasztyletowany przez spiskowców uważających go za tyrana i dążących do przywrócenia republiki; 19 marca otwarto testament Cezara, w którym usynowił i ustanowił swoim spadkobiercą Gajusza Oktawiusza, późniejszego zwycięzcę wojen domowych i pierwszego cesarza rzymskiego, znanego jako Oktawian August. [przypis edytorski]

odzyskać żonę, wyjąwszy przemoc. Mimo to pani de La Carlière zażywała bezspornej czci; wśród głosów, które ją potępiały, podnoszono to lub owo na jej obronę; ale zawsze bardzo nieśmiało, słabo, oględnie, mniej z przekonania niż dla przyzwoitości.

— W najbardziej dwuznacznych okolicznościach sztandar przyzwoitości gromadzi wielu zbiegów.

— Słuszne spostrzeżenie.

— Niestety, które trwa długo, jedna w końcu wszystkie sympatie, utrata zaś wdzięków u pięknej kobiety jedna jej przychylność kobiet.

— Jeszcze lepiej. W istocie, skoro z pięknej pani de La Carlière został już tylko szkielet, współczucie zaczęło się mieszać do słów nagany. „Gasnąć tak w kwiecie wieku, pogrzebać się tak, i to przez zdradę człowieka, którego ostrzegła, który powinien ją być znać, który miał jeden jedyny sposób odwzięczenia się za wszystko, co uczyniła dla niego; mówiąc bowiem między nami, kiedy Desroches ją zaślubił, był to młody urwis, który miał tylko tyle, co na sobie... Biedna pani de La Carlière, to jednak bardzo smutne... Ale też, czemu nie pojedna się z nim... Ba, czemu? Bo każdy ma swój charakter; byłoby może pożądane, aby takie charaktery zdarzały się częściej: nasi panowie i władcy zastanawialiby się może lepiej nad swymi postępkami”.

Gdy tak, robiąc siatkę lub haftując szalik, zabawiano się dyskutowaniem, przy czym szala chyliła się nieznacznie na stronę pani de La Carlière, Desroches popadł w rozpaczliwy stan, ale świat go nie widywał: zamknął się na wsi, aby w boleści i smutku czekać zmiłowania, o które pokornie, a bezskutecznie żebrał wszystkimi drogami. Pani de La Carlière, doprowadzona do ostatecznego stopnia wynędznienia i niemocy, zmuszona była oddać najmniejszej kobiecie pieczęć o wykarmienie dziecka. To, czego się obawiała po zmianie pokarmu, stało się w istocie; dziecko wędło z dnia na dzień, w końcu umarło. Wówczas to zaczęły się głosy: „Wiesz? Ta biedna pani de La Carlière straciła dziecko”. — „Musi być niepokieszona...” — „Niepokieszona? Nie da się wręcz opisać tej zgrzyoty. Widziałam ją; litość bierze! Serce się rozdziera doprawdy...” — „A Desroches?...” — „Nie mówcie mi o mężczyznach; to tygrysy. Gdyby ta kobieta była mu bodaj trochę droga, czy siedziałby na wsi? Czy nie byłby przyleciał? Czy nie oblegałby jej na ulicy, po kościołach, w domu? Człowiek, który bardzo chce, umie znaleźć drogę; nie rusza się z miejsca, kładzie się na ziemi, umiera...” Faktem jest, iż Desroches nie poniechał niczego, ale nie wiadano o tym; główna bowiem rzecz jest nie wiedzieć, ale gadać. Gadano tedy... „Dziecko umarło...” — „Kto wie, czy nie wyrosłoby na potwora jak ojciec?...” — „Matka umiera...” — „A mąż, co robi przez ten czas?...” — „Ładne pytanie! W dzień uganiania po lesie ze sforą psów, a w nocy barłoczy się z pluchami¹⁶² takimi jak on... Doskonale”.

Inny wypadek. Desroches, żeniąc się, uzyskał zwolnienie ze służby. Pani de La Carlière wymagała, aby rzucił wojsko i ustąpił swój pułk młodszemu bratu.

— Czyż Desroches miał brata?

— On nie, ale pani de La Carlière.

— No i?...

— No i młody człowiek zginął w pierwszej bitwie, i dalejże wszyscy wkoło: „Nieszczęście weszło do tego domu wraz z tym człowiekiem!”. Słuchając owych gadań, można by mniemać, iż strzał, od którego młody oficer poległ, padł z ręki Desroches'a. Zaczęła się nagonka, szła równie powszechny, jak niepojęty. W miarę jak niedole pani de La Carlière mnożyły się, charakter Desroches'a stawał się coraz czarniejszy, zdrada jego olbrzymiała; nie będąc ani mniej, ani więcej winny, stawał się z dnia na dzień bardziej znienawidzony. Sądzisz, że to wszystko? Nie, nie. Matka pani de La Carlière miała przeszło siedemdziesiąt lat. Pojmuję, iż śmierć wnuka i ustawiczny widok zbolęłej córki wystarczały, aby skrócić jej dni; ale ostatecznie była zgrzybiała, niedołączna. Mniejsza; zapomniano o starości i chorobach: znowuż Desroches stał się odpowiedzialny za jej śmierć. Tym razem nazwano rzecz po imieniu: to nędznik, do którego pani de La Carlière nie może się zbliżyć, nie depcąc nogami wstydu; morderca jej matki, brata, syna.

— Ale wedle tej pięknej logiki, gdyby pani de La Carlière umarła, zwłaszcza po długiej i bolesnej chorobie, która by pozwoliła niesprawiedliwości i nienawiści publicznej rozwijać

¹⁶²plucha (daw.) — osoba niechlujna, nieporządna. [przypis edytorski]

się stopniowo, świat winien by patrzeć na Desroches'a jako na ohydny mordercę całej rodziny.

— Tak też się stało i tak świat uczynił.

— Dobryś!

— Jeśli mi nie wierzysz, zwróć się do kogoś z obecnych: zobaczysz, co ci powiedzą w tej mierze. Jeżeli Desroches został sam w salonie, to dlatego, iż z chwilą kiedy się pojawił, każdy odwrócił się doń plecami.

— Ależ dlaczego? Można wiedzieć, że człowiek jest ladaco, co nie przeszkadza, że się go przyjmuje.

— Sprawa jest dosyć świeża, a wszyscy ci ludzie to krewni albo przyjaciele nieboszczki. Pani de La Carliere umarła zeszłego roku w drugie święto Wielkiej Nocy, i wiesz gdzie? U św. Eustachego¹⁶³, podczas mszy, wśród tłumu ludzi.

— Cóż za szaleństwo! Umiera się w swoim łóżku. Kto kiedy wpadł na koncept, aby umierać w kościele? Ta kobieta postanowiła być przesadna do końca.

— Tak, przesadna, słuszne określenie. Czuli się nieco lepiej. Wypowiadała się poprzedniego dnia. Mniemała, iż jest dość silna, aby przystąpić do św. komunii w kościele, zamiast przyjmować ją w domu. Zaniesiono ją w lektyce. Wysłuchiwała mszy, nie skarżąc się i nie zdradzając cierpienia. Nadchodzi chwila. Służebne ujmują ją pod ramię i prowadzą do stołu Pańskiego¹⁶⁴. Ksiądz podaje jej komunię, ona schyla się, jak gdyby po to, aby ją przyjąć, i umiera.

— Umiera.

— Tak, umiera przesadnie, jak to nazwałeś.

— Dopieroż musiało się zakotłować!...

— Nie mówmy o tym — można to sobie zresztą wyobrazić — i przejdźmy do dalszego ciągu.

— Z tą chwilą ta kobieta staje się sto razy godniejsza współczucia, a jej mąż bardziej ohydny.

— Rozumie się samo przez się.

— I to jeszcze nie wszystko?

— Nie; przypadek chciał, aby Desroches znalazł się na drodze, kiedy panią de La Carliere niesiono martwą z kościoła do domu.

— Wszystko spiknęło się na nieboraka.

— Zbliży się, poznaje żonę, wydaje krzyk. Pytają, kto jest ten człowiek. Z tłumu odzywa się niewczesny głos (był to głos proboszcza): „To morderca tej kobiety”. Desroches dodaje, łamiąc ręce, wydzierając sobie włosy: „Tak, tak, jestem nim, jestem”. Natychmiast tłum skupia się koło niego; obsypują go zniewagami, zbierają kamienie; gdyby paru zacnych ludzi nie ocaliło go od wściekłości motłochu, byłby został na miejscu.

— A jakie było jego postępowanie w chorobie żony?

— Bez zarzutu. Zwiedziony, jak my wszyscy, przez panią de La Carliere, która ukrywała swój bliski koniec, a może nie przeczuwała go sama...

— Rozumiem; stał się mimo to barbarzyńcą, okrutnikiem...

— Dziką bestią, która topiła pomału sztylet w piersi niebiańskiej kobiety, swej żony i dobrodziejki; człowiekiem, który pozwolił jej zginąć, nie pokazawszy się, nie dawszy znaku troskliwości i współczucia.

— I to za to, że nie wiedział tego, co mu ukrywano.

— I czego nie wiedzieli nawet ci, którzy z nią żyli najbliżej.

— I którzy mogli ją widywać co dzień.

— Właśnie; i oto czym jest sąd ogółu o naszych uczynkach; oto, jak drobny błąd...

— Och, bardzo drobny.

— ...nabiera wagi w ich oczach przez szereg wypadków, których niepodobna było przewidzieć ani im zapobiec.

— Nawet przez okoliczności zupełnie obce pierwotnemu źródłu, np. śmierć brata pani de La Carliere.

¹⁶³u św. Eustachego — w wielkim, gotyckim, prestiżowym kościele St. Eustache w Paryżu, wzniesionym w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

¹⁶⁴stół Pański a. Stół Pański (rel.) — ołtarz w kościele, miejsce przyjmowania komunii. [przypis edytorski]

— Bo ludzie są, w dobru, jak i złu, na przemian śmiesznymi chwalcami albo niedorzecznymi krytykami. Wynik jest zawsze sprawdzianem pochwały i nagany. Mój przyjacielu, słuchaj ich sądów, o ile cię nie nudzą; ale nie wierz im i nie powtarzaj ich nigdy, jeśli nie chcesz stać się współnikiem ich niedorzeczności. O czym ty myślisz? Zadumałeś się.

— Odmieniam tezę, przypuszczając u pani de La Carlière postępowanie bardziej pospolite. Znajduje listy; dąsa się. Po kilku dniach niehumor jej sprowadza wyjaśnienie, a poduszka pojednanie, jak zazwyczaj. Mimo usprawiedliwień, zakłęk i przysięg lekki charakter Desroches'a pociąga go do drugiego błędu. Nowe dąsy, wyjaśnienia, nowa zgoda, przysięgi, nowe wiarołomstwa, i tak kolejno trzydzieści lat, jak jest w zwyczaju. Tu natomiast Desroches jest szlachetnym człowiekiem, który sili się naprawić, za pomocą mnogich starań, miłości bez granic, dość błahą przewinę.

— Jak nie zawsze jest w zwyczaju.

— Bez rozłączenia tedy nie byłoby skandalu; żyliby razem, jak wszyscy; teściowa, matka, brat i dziecko mogliby umrzeć, a nikt nie pisnąłby słówka.

— Lub też mówiono by o tym jedynie, aby współczuć z nieszczęśliwym, prześladowanym przez los i nękanym dopustami.

— To prawda.

— Z czego wyciągam wniosek, iż niedaleki jesteś, aby temu szpetnemu bydłeciu, o stu tysiącach głupich głów i tyluż złych językach, użyzyć całej wzdardy, na jaką zasługuje. Ale prędzej czy później tak zwana publiczność wraca do rozsądku i sąd przyszłości naprawia obecne paplaniny.

— Przypuszczasz zatem, iż przyjdzie chwila, w której świat ujrzy rzeczy, jak są, obwini panią de La Carlière i rozgrzeszy Desroches'a?

— Nie sądzę nawet, aby ta chwila była odległa. Po pierwsze, nieobecni nie mają racji, nie ma zaś nieobecnego bardziej nieobecnego niż umarły; po wtóre, gada się, dysputuje; najbardziej zużyte wydarzenia wypływają w rozmowie i waży się je z większą bezstronnością. Będziemy może jeszcze dziesięć lat patrzeli na tego biednego Desroches'a, jak ty nań patrzałeś, wlokącego od domu do domu żalosną egzystencję; ludzie zbliżą się doń; zaczną pytać; wysłuchają go; nie będzie już miał przyczyny milczeć; wyjdzie na jaw tło jego przygody; zbrodnia jego zmieni się w wielkie nic.

— To znaczy w to, czym była naprawdę.

— Słowem, jesteśmy jeszcze obaj dosyć młodzi, aby słyszeć, jak piękna, wielka, cnotliwa, godna pani de La Carlière zmieni się w nieubłaganą i pyszną świętoszkę; ludzie bowiem podsycają się nawzajem: i jak nie mają busoli w sądach, tak nie mają miary w wyrażeniu.

— Ale gdybyś miał córkę na wydaniu, dałbyś ją Desroches'owi?

— Bez wahania, ponieważ jeno przypadek wtrącił go w przygodę, z której ani ty, ani ja, prawdopodobnie nikt nie zdołałby się ocalić; ponieważ przyjaźń, rycerskość, szlachetność, wszystkie możliwe okoliczności przygotowały jego winę i usprawiedliwienie; ponieważ postępowanie jego od chwili dobrowolnej rozłąki z żoną było bez zarzutu i ponieważ, nie pochwalając niewiernych mężów, nie cenię szczególnie wysoko kobiet przykładających tyle wagi do tego rzadkiego przymiotu. A wreszcie, mam swoje poglądy, może słuszne, z pewnością dziwaczne, co do pewnych uczynków, które uważam nie tyle za błędy ludzi, ile za następstwa naszego niedorzecznego prawodawstwa, źródła obyczajów równie niedorzecznych jak ono, i deprawacji, którą nazwałbym chętnie sztuczną. To nie jest zbyt jasne, ale wyjaśni się może innym razem¹⁶⁵. A teraz wracajmy do domu. Słyszę stąd zachryple krzyki naszych zawziętych karciarek, które cię wzywają; nie licząc, iż dzień zapada i noc nadchodzi, z owym liczny orszakiem gwiazd, które ci przyrzekłem.

— To prawda.

¹⁶⁵To nie jest zbyt jasne, ale wyjaśni się może innym razem — patrz *Przyczynek do podróży Bougainville'a*. [przypis tłumacza]

Rozmowa filozofa¹⁶⁶ z marszałkową de ***

Miałem nie pamiętać już jaką sprawę do omówienia z marszałkiem de ***. Udałem się pewnego rana do pałacu; marszałka nie było w domu, kazałem się więc oznajmić marszałkowej. Jest to urocza kobieta, piękna i nabożna jak anioł, twarz pełna słodyczy, dźwięk głosu i prostota wypowiedzenia harmonizują z fizjonomią. Była przy gotowni¹⁶⁷. Podano mi fotel, usiadłem i zaczęliśmy gawędzić. Parę uwag, które rzuciłem, zbudowało ją i przejęło zdumieniem: była bowiem przeświadczona, iż człowiek, który przeczy istnieniu Najświętszej Trójcy, jest to skończony obwieś, godzien rusztowania. Jakoż rzekła:

MARSZAŁKOWA: Wszak to pan jesteś Crudeli?

CRUDELI¹⁶⁸: Tak, pani marszałkowo.

MARSZAŁKOWA: To pan zatem nie wierzysz w nic?

CRUDELI: Do usług.

MARSZAŁKOWA: Mimo to pańskie poglądy moralne nie różnią się od pojęć człowieka wierzącego.

CRUDELI: Czemu nie, o ile ten wierzący byłby zarazem uczciwym człowiekiem?

MARSZAŁKOWA: I stosuje pan te poglądy w życiu?

CRUDELI: Jak umiem najlepiej.

MARSZAŁKOWA: Jak to, nie kradnie pan, nie zabija, nie grabi?

CRUDELI: Bardzo rzadko.

MARSZAŁKOWA: Cóż pan tedy zyskuje na tym, że w nic nie wierzysz?

CRUDELI: Nic a nic, pani marszałkowo. Czyż wierzy się dlatego, aby coś zyskać?

MARSZAŁKOWA: Nie wiem; ale korzyść osobista nic nie zawadzi, nawet w takich sprawach.

CRUDELI: Przykro mi to nieco, ze względu na nasz biedny rodzaj ludzki. Nie przydaje nam to zaszczytu.

MARSZAŁKOWA: Więc pan w istocie nie kradnie?

CRUDELI: Nie, na honor.

MARSZAŁKOWA: Jeżeli pan nie jesteś złodziejem ani mordercą, przynajmniej w takim razie, że nie jesteś konsekwentny.

CRUDELI: Dlaczego?

MARSZAŁKOWA: Bo mnie się wydaje, iż gdybym się nie spodziewała ani nie lękała niczego po śmierci, nie odmawiałabym sobie, póki żyję na świecie, drobnych przyjemności. Wyznaję, że pożyczam Panu Bogu na procent.

CRUDELI: Tak pani myśli?

MARSZAŁKOWA: Nie myślę: to fakt.

CRUDELI: A wolno zapytać, co to za rzeczy, na które by sobie pani pozwalała, gdybyś nie wierzyła?

MARSZAŁKOWA: O, nie! To tajemnica spowiedzi.

CRUDELI: Co do mnie, umieszczam mój kapitał na dożywocie.

MARSZAŁKOWA: To ucieczka nędzarzy.

CRUDELI: Wolałaby pani, abym był lichwiarzem?

MARSZAŁKOWA: Ależ tak. Pan Bóg nie boi się lichwy: nie ma obawy, aby się go zrujnowało. Wiem dobrze, że to niezbyt ładnie, ale o cóż chodzi? Skoro rzecz w tym, aby sobie zdobyć niebo, zęcznością lub siłą, trzeba wszystko brać w rachubę, nie lekceważyć

Niebo, Zbawienie

¹⁶⁶ *Rozmowa filozofa*... — utwór ten ukazał się po raz pierwszy w „Correspondance secrète” [tygodnik francuski wydawany w latach 1775–1793 przez Louis-François Metra poza zasięgiem cenzury, drukowany w Neuwied w Niemczech; red. WL] w roku 1776; później w zbioru drukowanym w Londynie, gdzie przypisano go mylnie włoskiemu filozofowi Tomaszowi Crudeli. [przypis tłumacza]

¹⁶⁷ *gotownia* (daw.) — pokój do ubierania się, stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka), bądź sama czynność ubierania się, strojenia. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ *Crudeli, Tommaso* (1702–1745) — włoski wolnomyśliciel z Florencji, uwięziony przez rzymską inkwizycję; jego prace zostały w 1747 wpisane do kościelnego indeksu ksiąg zakazanych i publicznie spalone. [przypis edytorski]

najmniejszej korzyści. Och, daremnie byśmy się silili, stawka będzie zawsze licha w porównaniu do zysku, którego się spodziewamy. A pan, panie Crudeli, czy pan się niczego nie spodziewa?

CRUDELI: Niczego.

MARSZAŁKOWA: To smutne. Przyznaj tedy, że jesteś bardzo zły albo bardzo szalony?

CRUDELI: Doprawdy, nie mogę, pani marszałkowo.

MARSZAŁKOWA: Jaką przyczynę może mieć niedowiarek, aby być dobrym, o ile nie jest szalony? Chciałabym bardzo wiedzieć.

CRUDELI: Powiem pani.

MARSZAŁKOWA: Bardzo będę wdzięczna.

CRUDELI: Czy nie myśli pani, iż człowiek może przyjść na świat z tak szczęśliwą naturą, iż znajduje przyjemność w czynieniu dobra?

MARSZAŁKOWA: Owszem.

CRUDELI: Że może otrzymać doskonale wychowanie, które wzmacnia wrodzony pęd do poczciwości?

MARSZAŁKOWA: Z pewnością.

CRUDELI: I że w dojrzałym wieku doświadczenie może nas przekonać, iż razem wzięwszy, bardziej oplaci się dla własnego szczęścia być uczciwym człowiekiem niż łajdakiem?

MARSZAŁKOWA: Oczywiście, ale w jaki sposób zostanie ten człowiek uczciwym, jeżeli złe zasady łączą się z namiętnościami, aby go ciągnąć do złego?

CRUDELI: Jest niekonsekwentny; czyż może być coś pospolitszego niż niekonsekwencja?

MARSZAŁKOWA: Niestety, nie. Można wierzyć, a co dzień postępować tak, jakby się nie wierzyło.

CRUDELI: A nie wierząc, żyje się mniej więcej tak, jakby się wierzyło.

MARSZAŁKOWA: Niech i tak będzie; ale cóż by zawadziło mieć jedną rację więcej — religię — do czynienia dobrze, jedną zaś rację mniej — niedowiarstwo — do czynienia źle?

CRUDELI: Nic a nic; gdyby religia była pobudką do czynienia dobrze, a niedowiarstwo pobudką do czynienia źle.

MARSZAŁKOWA: Czyż można wątpić? Czyż nie płynie z ducha religii, iż staje ona w każdej chwili w poprzek naszej szpetnej, skażonej naturze, podczas gdy niedowiarstwo zostawia swobodę złym instynktom, wyzwalając je z obawy?

CRUDELI: Zdanie to, pani marszałkowo, wtrąci nas w długą dyskusję.

MARSZAŁKOWA: Cóż to szkodzi? Marszałek nie wróci tak szybko; lepiej wszak pogadać o rozsądnych rzeczach niż obmawiać bliźnich.

CRUDELI: Trzeba mi będzie wziąć rzecz nieco szerzej.

MARSZAŁKOWA: Jak szeroko pan chce, bylebym zrozumiała.

CRUDELI: Gdyby mnie pani nie zrozumiała, byłaby to z pewnością moja wina.

MARSZAŁKOWA: Bardzo grzecznie, ale trzeba panu wiedzieć, że jedyne dzieło, które czytałam, to modlitewnik, i że wyłącznym mym zajęciem było strzeżenie zasad Ewangelii i rodzenie dzieci.

CRUDELI: Dwa obowiązki, z których się pani wywiązała wzorowo.

MARSZAŁKOWA: Tak, co się tyczy dzieci; widział ich pan sześcioro koło mnie, za kilka zaś dni będzie pan mógł ujrzeć jeszcze jedno na mych kolanach; ale niech pan zaczyna.

CRUDELI: Pani marszałkowo, czy istnieje coś dobrego na tym świecie, co by nie miało ujemnej strony?

MARSZAŁKOWA: Nie.

CRUDELI: A coś złego, co by nie miało swojej korzyści?

MARSZAŁKOWA: Również nie.

CRUDELI: Co pani tedy nazywa dobrem albo złem?

MARSZAŁKOWA: Złem to, co ma więcej ujemnych stron niż korzyści; dobrem, przeciwnie, to, co ma więcej korzyści niż ujemnych stron.

CRUDELI: Czy pani marszałkowa raczy zapamiętać swoją definicję?

MARSZAŁKOWA: Zapamiętam. Pan to nazywa definicją?

CRUDELI: Tak.

Dobro, Kondycja ludzka

Wiara, Cnota

religia, dobro, zło

MARSZAŁKOWA: Zatem to filozofia?

CRUDELI: W najlepszym gatunku.

MARSZAŁKOWA: Więc ja filozofuję!

CRUDELI: Jest pani tedy przekonana, iż religia ma więcej zalet niż ujemnych stron i dlatego nazywa ją pani dobrem?

MARSZAŁKOWA: Tak.

CRUDELI: Co do mnie, nie wątpię, iż intendent¹⁶⁹ okrada panią nieco mniej w przeddzień Wielkiej Nocy niż nazajutrz po świętach i że od czasu do czasu religia zapobiega pewnej ilości drobnych niedoli i daje pewną ilość drobnych korzyści.

MARSZAŁKOWA: Troszka¹⁷⁰ do troszki, to razem robi dużo.

CRUDELI: Ale czy sądzi pani, że straszliwe spustoszenia, jakie sprawiła w minionych wiekach i sprawi jeszcze w przyszłości, znajdują dostateczne wyrównanie w tych mizerynych zyskach? Pomyśl, pani, iż ona stworzyła i ona utrwała najgwałtowniejsze antypatie między narodami. Nie masz muzułmanina, który by nie wyobrażał sobie, iż spełnia miły Bogu i świętemu prorokowi uczynek, tępiąc chrześcijan, którzy znów ze swej strony okazują nie większą tolerancję. Pomyśl, pani, ona stworzyła i ona utrwała, w jednym i tym samym kraju, niesnaski, które rzadko się obeszły bez rozlewu krwi. Historia nasza przedstawia aż nazbyt świeże i oplakane ich przykłady¹⁷¹. Pomyśl, pani, ona stworzyła i utrwała, w społeczeństwie między współobywatelami i w rodzinie między najbliższymi, najgwałtowniejsze i najbardziej wytrwale nienawiści. Chrystus powiedział, iż przyszedł po to, aby rozdzielić męża z żoną, matkę z dziećmi, brata z siostrą, przyjaciela z przyjacielem, i przepowiednia jego spełniła się aż nazbyt wiernie.

MARSZAŁKOWA: To są nadużycia, ale nie rzecz sama.

CRUDELI: To sama rzecz, jeżeli nadużycia są od niej nieodłączne.

MARSZAŁKOWA: I jak mi pan dowiedzie, że nadużycia religii są nieodłączne od niej samej?

CRUDELI: Bardzo łatwo. Niech mi pani powie: gdyby jakiś mizantrop¹⁷² zaprzysiągł sobie nieszczęście rodzaju ludzkiego, cóż mógłby wymyślić lepszego niż wiarę w istotę niepojętą, co do której ludzie nigdy by się nie mogli porozumieć, a do której przywiązywaliby większą wagę niż do własnego życia? Otóż czy możebne jest oddzielić pojęcie bóstwa od jego najgłębszej niepojętości oraz największej wagi?

MARSZAŁKOWA: Nie.

CRUDELI: Niechże tedy pani wyciągnie sama konkluzję.

MARSZAŁKOWA: Wyciągam tę konkluzję, iż jest to pojęcie, które w głowach szaleńców może się stać niebezpieczne.

CRUDELI: I niech pani doda, że szaleńcy stanowili i będą stanowili zawsze przeważającą liczbę i że najniebezpieczniejsi z nich są ci, których szaleństwo czerpie swe źródło w religii, a z których burzyciele społeczności umieją w potrzebie uczynić sobie narzędzie.

MARSZAŁKOWA: Ale trzeba przecież czegoś, co by wstrzymywało ludzi od złych czynków wymykających się surowości praw; jeżeli zaś pan usunie religię, co postawisz na jej miejsce?

CRUDELI: Gdybym nawet nic nie zdołał postawić w jej miejsce, byłby to zawsze ubytek jednego straszliwego przesądu; nie licząc, iż w żadnej epoce i w żadnym kraju wierzenia religijne nie stanowiły podstawy obyczajów. Bogowie, których ubóstwiali starożytni Grecy i Rzymianie, to była zgraja najrozwiązlejszych łajdaków: Jowisz¹⁷³ — godny stosu; Wenus¹⁷⁴ — domu poprawy; Merkury¹⁷⁵ — kryminału.

religia, dobro, zło

Religia, Bóg, Konflikt

¹⁶⁹intendent — pracownik zajmujący się zaopatrzeniem i sprawami gospodarczymi. [przypis edytorski]

¹⁷⁰troszka (daw.) — odrobina; por.: trochę. [przypis edytorski]

¹⁷¹Historia nasza przedstawia aż nazbyt świeże i oplakane ich przykłady — mowa o wojna religijnych we Francji, toczonych w XVI i XVII w. między katolikami a hugenotami (francuskimi protestantami). [przypis edytorski]

¹⁷²mizantrop — osoba czująca niechęć do ludzi, unikająca towarzystwa innych. [przypis edytorski]

¹⁷³Jowisz (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

¹⁷⁴Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

¹⁷⁵Merkury (mit. rzym.) — posłaniec bogów, opiekun kupców, podróżników i złodziei, odpowiednik greckiego Hermesa. [przypis edytorski]

MARSZAŁKOWA: Sądzi pan tedy, iż to jest zupełnie obojętne, czy jesteśmy chrześcijanami czy poganami, że jako poganie nie bylibyśmy gorsi, jako chrześcijanie zaś nie jesteśmy lepsi?

CRUDELI: Na honor, jestem o tym przekonany, z tą różnicą, że bylibyśmy weselsi.

MARSZAŁKOWA: To niemożliwe.

CRUDELI: Ale, pani marszałkowo, czy istnieją chrześcijanie? Ja ich nie widziałem.

MARSZAŁKOWA: I mnie to pan mówi, mnie?

CRUDELI: Nie, pani marszałkowo, nie pani. Mówię do pewnej mojej sąsiadki, osoby zacnej i pobożnej jak pani i która z najlepszą wiarą w świecie uważała się za chrześcijankę, jak pani się za nią uważa.

MARSZAŁKOWA: I pan jej wykazał, że jest w błędzie?

CRUDELI: W jednej chwili.

MARSZAŁKOWA: I jakże się pan wziął do tego?

CRUDELI: Otworzyłem Nowy Testament, którym się często posługiwała, był bowiem bardzo zniszczony. Odczytałem jej *Kazanie na górze*¹⁷⁶ i przy każdym punkcie pytałem: „Czy robi pani to? A to? A to?...” Posunąłem się dalej jeszcze. Jest to osoba nader piękna i mimo iż wielce pobożna, wie o tym; ma płeć¹⁷⁷ bardzo białą i jakkolwiek nie przywiązuje wielkiego znaczenia do tej błahej zalety, nie gniewa się, jeśli ją ktoś zauważy; ma śliczny gors i mimo że bardzo skromna, rada jest, jeśli się ktoś tego domyśla.

CRUDELI: Byleby wyłącznie ona i jej mąż wiedzieli to na pewno.

CRUDELI: Sądzę, iż mąż wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny; ale jak na kobietę, która się niesie wysoko ze swym chrystianizmem, to nie wystarcza. Spytałem jej: „Czy nie jest napisane w Ewangelii, że ten, który pożąda żony bliźniego swego, popełnia w sercu cudzołóstwo?”

MARSZAŁKOWA: Odpowiedziała, że tak?

CRUDELI: Rzekłem dalej: „A czy cudzołóstwo popełnione w sercu nie skazuje na wieczne potępienie równie pewnie, jak cudzołóstwo dokonane najbardziej realnie?”

MARSZAŁKOWA: Odpowiedziała, że tak?

CRUDELI: Rzekłem: „A jeżeli mężczyzna jest potępiony za cudzołóstwo, które spełnił w sercu, jakież będzie los kobiety, która zachęca wszystkich wkoło do popełnienia tej zbrodni?”. To ostatnie pytanie zakłopotало ją.

MARSZAŁKOWA: Rozumiem: chodzi o to, że nie dość dokładnie zasłaniała ów gors, tak kształtny.

CRUDELI: W istocie. Odpowiedziała, iż to jest rzecz przyjęta, jak gdyby było coś bardziej przyjętego niż nazywać się chrześcijaninem, a nie być nim; że nie można się ubierać niemodnie, jak gdyby istniało jakieś porównanie między tą nędzną śmiesznością a wiekustym potępieniem własnym albo bliźniego; że zostawia troskę o strój swej modniarce, jak gdyby nie lepiej było zmienić modniarkę niż wyrzec się religii; że mąż sobie tego życzy, jak gdyby mąż mógł być dość szalony, aby wymagać od żony zapomnienia o wstydzie i obowiązkach, i jak gdyby prawdziwa chrześcijanka była obowiązana posuwać posłuszeństwo wobec nierozsądnego męża aż do poświęcenia mu woli Boga oraz wzgardzenia groźbami Odkupiciela!

MARSZAŁKOWA: Ba, znam dobrze te wszystkie argumenty; byłabym je może panu tak samo przytoczyła jak pańska sąsiadka; ale ani ona, ani ja nie mówiłybyśmy z dobrą wiarą. I cóż ona poczęła po pańskim upomnieniu?

CRUDELI: Nazajutrz po tej rozmowie (był to dzień świąteczny) wracałem do siebie, moja zaś nabożna i piękna sąsiadka wychodziła właśnie z domu, aby się udać na mszę.

MARSZAŁKOWA: Ubrana jak zazwyczaj.

CRUDELI: Ubrana jak zazwyczaj. Uśmiechnąłem się, ona się uśmiechnęła, i minęliśmy się, nie zamieniwszy słowa. Pani marszałkowa, uczciwa kobieta! Chrześcijanka! Osoba nabożna! Po tym przykładzie oraz stu innych tego samego rodzaju jakież mogą przyznać religii rzeczywisty wpływ na obyczaje? Prawie żaden, i tym lepiej.

MARSZAŁKOWA: Jak to, tym lepiej?

¹⁷⁶*Kazanie na górze* — zawarty w *Ewangelii Mateusza* (rozdz. 5–7) zbiór powiedzeń i nauk przypisywanych Jezusowi, streszczających jego nauczanie moralne. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*pleć* (tu daw.) — cera; karnacja. [przypis edytorski]

religia, kobieta, pokusa,
zdrada

CRUDELI: Tak, pani. Gdyby dwudziestu tysiącom mieszkańców Paryża wpadło do głowy ściśle się stosować do *Kazania na górze*...

MARSZAŁKOWA: Więc cóż, byłoby kilka ładnych biustów szczerzej zasłoniętych.

CRUDELI: I tylu obłąkanych, iż naczelnik policji nie wiedziałby, co z nimi począć: wszystkie domy wariatów nie wystarczyłyby. Istnieją w natchnionych księgach dwie moralności: jedna ogólna i wspólna wszystkim narodom i wyznaniom, której mniej więcej przestrzegamy; druga swoista dla każdego narodu i wyznania, w którą ludzie wierzą, którą głoszą w świątyniach, zalecają w domach, a której nie przestrzegają zgoła.

MARSZAŁKOWA: I skąd ta sprzeczność?

CRUDELI: Stąd, iż niepodobniestwem jest poddać całe społeczeństwo regule odpowiadającej jedynie kilku melancholicznym osobnikom, którzy wzorowali ją na swoim charakterze. Z religiami jest jak z zakonami, które wszystkie rozluźniają się z czasem. Są to szaleństwa, które nie mogą się długo ostać przeciw stałemu działaniu natury, sprowadzającej nas do swego prawa. Sprawcie, aby dobro poszczególnych jednostek było tak ściśle związane z dobrem powszechnym, iżby obywatel nie mógł wręcz szkodzić społeczeństwu, nie szkodząc samemu sobie; zapewnijcie cnotcie nagrodę, jak zapewniliście karę niegodziwości; niechaj bez żadnej różnicy obrządku, w jakichkolwiek warunkach ujawni się cnota, prowadzi ona do wysokich stanowisk w państwie — a nie ujrzycie ludzi złych poza szczupłą liczbą tych, których przewrotna i niezdolna do poprawy natura ciągnie do występku. Pani marszałkowo, pokusa za blisko, a piekło za daleko. Niech się pani nie spodziewa niczego godnego uwagi prawodawców po splocie niedorzeczności, na które brać można jedynie dzieci. System ten zachęca jedynie do zbrodni przez łatwość rozgrzeszenia, każe winnemu prosić o przebaczenie Boga za krzywdę wyrządzoną ludziom, kazi porządek obowiązków przyrodzonych i moralnych, poddając go porządkowi obowiązków urojonych.

MARSZAŁKOWA: Nie rozumiem pana.

CRUDELI: Wytłumaczę się; ale zdaje mi się, że oto słyszę karetę pana marszałka; zjawia się w samą porę, aby mnie wstrzymać od powiedzenia głupstwa.

MARSZAŁKOWA: Powiedz pan, powiedz; nie usłyszę: przyzwyczaiłam się słyszeć jedynie to, co mi się podoba.

Zbliżyłem się do ucha marszałkowej i szepnąłem:

— Pani marszałkowo, niech się pani spyta swego proboszcza, co jest straszliwszą zbrodnią: nasusić do świętego naczynia czy też oczernić dobrą sławę uczciwej kobiety? Zadrzy od zgrozy na myśl o pierwszym, podniesie krzyk o świętokradztwo; prawo cywilne zaś, które ledwie interesuje się potwarzą, podczas gdy karze świętokradztwo ogniem, dopełni jeszcze zamętu pojęć i skażenia dusz.

MARSZAŁKOWA: Znam niejedną kobietę, która nie ważyłaby się jeść mięsa w piątek, a która... Omal i ja nie powiedziałam głupstwa. Niech pan mówi dalej.

CRUDELI: Ale, pani marszałkowo, ja koniecznie muszę się widzieć z panem marszałkiem.

MARSZAŁKOWA: Jeszcze chwilę, a potem przejdziemy doń razem. Nie wiem, co panu odpowiedzieć, ale nie przekonał mnie pan.

CRUDELI: Nie zamierzałem bynajmniej pani przekonywać. Z religią jest jak z małżeństwem. Małżeństwo, które jest nieszczęściem dla tylu innych, stało się szczęściem dla pani oraz dla pana marszałka; dobrze uczyniliście, pobierając się. Religia, która czyniła, czyni i będzie czynić tylu złych, panią uczyniła jeszcze lepszą; dobrze robisz, trzymając się jej. Słodko jest pani wyobrażać sobie obok siebie, ponad głową, wielką i potężną istotę, która patrzy na panią, jak kroczy po ziemi, i ta myśl umacnia twoje kroki. Niech się pani nadal cieszy tym dostojnym orędownikiem swoich myśli, tym widzem, tym szczytnym wzorem uczynków.

MARSZAŁKOWA: Nie masz pan, wedle tego, co widzę, manii nawracania.

CRUDELI: Ani trochę.

MARSZAŁKOWA: Tym wyżej pana za to cenię.

CRUDELI: Pozwalam każdemu myśleć na swój sposób, byleby mnie pozwolono też samo. A zresztą ci, którzy mają warunki po temu, aby się oswobodzić z przesądów, nie potrzebują, aby ich katechizować.

MARSZAŁKOWA: Czy pan wierzy, iż człowiek może się obejść bez zabobonu?

Religia, Obyczaje

Religia, Obyczaje, Wina,
Spowiedź

zabobony, wiedza, strach

CRUDELI: Nie, tak długo, jak długo będzie tkwił w niewiedzy i lęku.

MARSZAŁKOWA: A zatem, skoro zabobon być musi, lepszy już nasz niż inny.

CRUDELI: Nie sądzę.

MARSZAŁKOWA: Niech pan powie szczerze, czy pana nie mierzi ta myśl, iż miałbyś nie być niczym po śmierci?

CRUDELI: Wolałbym raczej istnieć, mimo iż nie wiem, czemu istota, która mogła mnie uczynić nieszczęśliwym bez przyczyny, nie miałaby się zabawić dwa razy w ten sam sposób.

MARSZAŁKOWA: Jeżeli mimo tych dolegliwości nadzieja przyszłego życia wydaje się panu pocieszająca i słodka, dlaczego ją nam wydzierać?

CRUDELI: Nie mam tej nadziei, ponieważ samo pragnienie nie wystarcza, aby mi przesłonić jej czczość; ale nie odejmuję jej nikomu. Jeżeli można wierzyć, że będziemy widzieli, wówczas gdy nie będziemy mieli oczu; że będziemy słyszeli, kiedy nie będziemy mieli uszu; myśleli, kiedy nie będziemy mieli głowy; kochali, kiedy nie będziemy mieli serca; że będziemy czuli, kiedy nie będziemy mieli zmysłów; że będziemy istnieli, kiedy nie będziemy nigdzie; że będziemy czymś bez wymiarów i miejsca, zgoda.

MARSZAŁKOWA: Któż tedy uczynił ten świat, na którym żyjemy?

CRUDELI: To ja się pani pytam.

MARSZAŁKOWA: Bóg.

CRUDELI: Cóż to jest Bóg?

MARSZAŁKOWA: Duch.

CRUDELI: Skoro duch stworzył materię, czemuż by materia nie miała stworzyć ducha?

MARSZAŁKOWA: Dlaczegoż miałaby go stworzyć?

CRUDELI: Albowiem widzimy to codziennie. Czy pani myśli, że zwierzęta mają duszę?

MARSZAŁKOWA: Oczywiście, tak.

CRUDELI: I czy mogłaby mi pani powiedzieć, co się dzieje na przykład z duszą węża, podczas gdy wysycha zawieszony w kominie, wystawiony na działanie dymu przez dwa lata?

MARSZAŁKOWA: A niech się dzieje, co chce, cóż mnie to obchodzi?

CRUDELI: Bo pani marszałkowa nie wie, że ten wąż, uwędzony, zasuszony, zmarłychwstaje i odradza się.

MARSZAŁKOWA: Nie wierzę w nic podobnego.

CRUDELI: Uczony człowiek, Bougner¹⁷⁸, tak twierdzi.

MARSZAŁKOWA: Pański uczony zełgał.

CRUDELI: A gdyby mówił prawdę?

MARSZAŁKOWA: Pomyślałabym po prostu, iż zwierzęta to są automaty.

CRUDELI: A człowiek, który jest zwierzęciem jedynie nieco doskonalszym od innych... Ale pan marszałek...

MARSZAŁKOWA: Jeszcze jedno pytanie i już koniec. Czy pan jest zupełnie spokojny w swoim niedowiarstwie?

CRUDELI: Najzupełniej.

MARSZAŁKOWA: Gdyby się pan wszelako mylił?

CRUDELI: Gdybym się mylił?

MARSZAŁKOWA: Wszystko, co pan uważa za fałszywe, byłoby prawdziwe i czekałoby pana piekło. Panie Crudeli, to straszna rzecz piekło; smażyć się całą wieczność to bardzo długo!

CRUDELI: La Fontaine¹⁷⁹ utrzymywał, że będziemy się tam czuli jak ryby w wodzie.

MARSZAŁKOWA: Tak, tak; ale pański La Fontaine bardzo spoważniał w ostatnim momencie; tu pana czekam.

CRUDELI: Nie ręcę za nic, skoro już nie będę przy zmysłach. Ale jeżeli skończę na jedną z owych chorób, które zostawiają konającemu człowiekowi pełnię świadomości, nie

¹⁷⁸ *Bougner, Pierre* (1698–1758) — francuski uczonec: geodeta, astronom i matematyk; wynalazca heliometru; jeden z towarzyszy La Condamine'a w ekspedycji naukowej do Peru, mającej na celu zmierzenie w okolicach równika długości łuku południka, któremu odpowiada jeden stopień szerokości geograficznej; autor m.in. opisu tej wyprawy. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *La Fontaine, Jean de* (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych; był również autorem śmiałych obyczajowo powiastek wierszem; korzystający z życia, niereligijny i antyklerykalny, po zapadnięciu na ciężką chorobę miał w ostatnich kilku latach przed śmiercią zrezygnować z pisania i publikowania bajek i opowiadań i zająć się tylko pobożnymi dziełami. [przypis edytorski]

więcej się będę czuł pomieszany w momencie, o którym pani mówi, niż w tej chwili, gdy oto z panią rozmawiam.

MARSZAŁKOWA: Zdumiewa mnie ta nieustraszonosc.

CRUDELI: O wiele bardziej nieustraszony wydaje mi się konający, gdy wierzy w surowego sędziego ważącego wszystkie nasze najtajniejsze myśli i na którego wadze najsprawiedliwszy człowiek zgubiłby się swym zarozumieniem, gdyby nie drżał ustawicznie. O ile by ów konający miał wówczas do wyboru: albo pogrążyć się w nicości, albo pojawić się przed tym trybunałem, zdumiewałaby mnie zaiste jego odwaga, gdyby się wahał z przyjęciem pierwszej możliwości. Trzeba by mniemać, iż bardziej jest szalony niż towarzysz św. Brunona¹⁸⁰ lub też bardziej zadufany w swoich zasługach niż Bohola¹⁸¹.

MARSZAŁKOWA: Czytałam historię towarzysza św. Brunona, ale nigdy nie słyszałam o owym Boholi.

CRUDELI: Był to jezuita z kolegium w Pińsku, na Litwie. Umierając, zostawił szkatułkę pełną pieniędzy, wraz z pismem, skreślonym i podpisanym własną ręką.

MARSZAŁKOWA: A to pismo?...

CRUDELI: Opiewało jak następuje: „Proszę mego drogiego kolego, depozytariusza tej szkatułki, aby ją otworzył, skoro zacznę czynić cuda. Pieniądze w niej zawarte posłużą na koszt beatyfikacji. Dołączam kilka autentycznych dokumentów stwierdzających moje cnoty; mogą się przydać tym, którzy podejmą opis mego żywota”.

MARSZAŁKOWA: W istocie pocieszna historia.

CRUDELI: Dla mnie, pani marszałkovo; ale co się pani tyczy, pani Bóg nie zna się na żartach.

MARSZAŁKOWA: Ma pan słusznosc.

CRUDELI: Pani marszałkovo, łatwo zgrzeszyć ciężko przeciw twemu Prawu.

MARSZAŁKOWA: Przyznaję.

CRUDELI: Sprawiedliwosc, która będzie rozstrzygała o pani losie, jest bardzo surowa.

MARSZAŁKOWA: To prawda.

CRUDELI: I jeżeli pani wierzy przepowiedniom swojej religii co do liczby wybranych, będzie ona bardzo szczupła¹⁸².

MARSZAŁKOWA: Och, ja nie jestem jansenistką¹⁸³; widzę rzeczy jedynie z dobrej strony: krew Jezusa Chrystusa zasłania moim oczom wszystko inne; byłoby w istocie bardzo osobliwe, gdyby diabeł, który nie wydał wszak syna swego na śmierć, miał być górą.

CRUDELI: Czy skaże pani na potępienie Sokratesa, Focjona, Katona, Trajana, Marka Aurelego?¹⁸⁴

¹⁸⁰*Bruno z Kolonii* (ok. 1035–1101) — kierownik i nauczyciel szkoły kościelnej w Reims, założyciel zakonu kartuzów, święty katolicki; *gdy wierzy w surowego sędziego (...) bardziej jest szalony niż towarzysz św. Brunona*: zapewne odniesienie do rzekomego cudu, którego Bruno miał być świadkiem i z jego powodu wraz z sześcioma towarzyszami opuścić miasto i utworzyć wspólnotę pustelniczą: podobno kiedy w kościele odprawiano mszę pogrzebową nauczyciela Brunona, Raymonda Diocresa, po słowach „*Responde mihi*” (łac.: Odpowiedz mi) zmarły podniósł się w otwartej trumnie i zawołał, że stoi przed straszliwym Sądem Bożym; kiedy w strachu przelożono nabożeństwo na następny dzień, w tym samym momencie obrządku zmarły odpowiedział, że właśnie jest sądzony, a trzeciego dnia, że został potępiony. [przypis edytorski]

¹⁸¹*Bobola* — właściwie: *Andrzej Bobola* (1591–1657), polski jezuita, misjonarz, kaznodzieja, zajmował się nawracaniem wyznawców prawosławia na katolicyzm, sprawował liczne funkcje kościelne; przytoczona anegdota o testamencie Boboli pochodzi z francuskiego oświeceniowego dwutygodnika „*Courrier du Bas-Rhin*” (8 czerwca 1774), wydawanego poza zasięgiem cenzury, w niemieckim mieście Kleve. [przypis tłumacza]

¹⁸²*co do liczby wybranych, będzie ona bardzo szczupła* — wg biblijnej *Apokalipsy św. Jana* (12, 4) ma ona wynosić tylko 144 tysiące osób. [przypis edytorski]

¹⁸³*jansenistka* — wyznawczyni *jansenizmu*, ruchu teologiczno-duchowego w Kościele katolickim funkcjonującego we Francji w XVII–XVIII w., inspirowanego pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej, skażonej przez grzech pierworodny; jansenizm koncentrował się na znaczeniu Bożej łaski, udzielanej tylko wybranym, podczas gdy pozostali zostają potępieni. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*Czy skaże pani na potępienie Sokratesa, Focjona, Katona, Trajana, Marka Aurelego?* — żyjące w starożytności osoby znane z uczciwego, wzorowego życia, które nie były chrześcijanami: *Sokrates* (469–399 p.n.e.): słynny filozof grecki, mądry i niezłomny w swoich przekonaniach; *Fokion* zw. *Dobrym* (402–318 p.n.e.): ateński wódz i polityk słynny z uczciwości; *Katon Starszy* (234–149 p.n.e.): rzymski mąż stanu, obrońca starorzymskich cnot obywatelskich, znany z wielkiej surowości obyczajów; *Trajan* (58–117): cesarz rzymski, zaliczany do panujących kolejno tzw. pięciu dobrych cesarzy; *Marek Aureliusz* (121–180): cesarz rzymski, filozof, zwolennik stoicyzmu, autor dzieła *Rozmyślenia*, w których skupiał się na pokorze wobec losu i moralnym doskonaleniu się oraz dawał wyraz poczuciu odpowiedzialności związanej ze sprawowaniem władzy, pojmowanej jako służba społeczeństwu; jego książka, podobnie jak pisma innych stoików, była przez wieki wysoko ceniona przez chrześcijan. [przypis edytorski]

MARSZAŁKOWA: Ależ fe! Jedynie dzikie bestie zdolne są myśleć coś podobnego. Święty Paweł powiada, iż każdy będzie sądzony wedle prawa, które znał¹⁸⁵, i święty Paweł ma słuszność.

CRUDELI: A wedle jakiego prawa będzie sądzony człowiek niewierzący?

MARSZAŁKOWA: Pańska sprawa ma się nieco inaczej. Jesteś jednym z owych wyklętych mieszkańców Korozain i Betsaidy¹⁸⁶, zamykających oczy na światło i zatykających uszy, aby nie słyszeć głosu prawdy, który do nich mówił.

CRUDELI: Pani marszałkowo, owi Korozainczycy i Betsajczycy byli to ludzie dziwnego pokroju, jeżeli mogli do woli wierzyć albo nie wierzyć.

MARSZAŁKOWA: Widzieli cuda, które, gdyby się działy w Tyrze i Sydonie¹⁸⁷, spowodowałyby wielki pokup¹⁸⁸ na worki i popiół.

CRUDELI: Bo też mieszkańcy Tyru i Sydonu byli to ludzie inteligentni, mieszkańcy zaś Korozain i Betsaidy byli ciemne głupki. Ale czy ten, który ich głupcami zrobił, będzie ich karał za to, że byli głupcami? Opowiedziałem pani przed chwilą anegdotę, miałbym ochotę opowiedzieć jeszcze bajeczkę. Młody Meksykanin... Ale pan marszałek...

MARSZAŁKOWA: Poślę dowiedzieć się, czy można z nim mówić. I cóż młody Meksykanin?

CRUDELI: Znużony pracą, przechadzał się jednego dnia nad brzegiem morza. Widzi deskę, która kąpie się jednym końcem w fali, podczas gdy drugi spoczywa na brzegu. Siada na tej desce i topiąc spojrzenia w bezkresnej przestrzeni, która się przed nim roztacza, tak myśli: „Ani chybi babcia moja bajdurzy, kiedy prawi o jakichś mieszkańcach, którzy nie wiadomo już kiedy przybyli tutaj, nie wiadomo skąd, het, z kraju za morzami. To nie ma żadnego sensu: zali¹⁸⁹ nie widzę, jak morze spływa się z niebem? I mogę wierzyć, wbrew świadectwu zmysłów, starej baśni, której daty nikt nie wie i którą każdy przykrawa na swój sposób? Toć¹⁹⁰ to jedynie stek niedorzeczności, mimo iż ludzie wypruwają sobie o nie serca i wydzierają oczy!”. Podczas gdy tak rozumował, wzburzone fale kołysały go na desce, aż usnął. Śpi sobie smacznie, tymczasem wiatr wzmaga się, fala unosi deskę i oto młody mędrzek znajduje się na morzu.

MARSZAŁKOWA: Niestety, to nasz wierny obraz: każdy z nas na swojej desce; wiatr dmie i fala nas unosi.

CRUDELI: Kiedy się obudził, był już daleko od lądu. Zdumiał się, ujrawszy się na pełnym morzu; zdumiał jeszcze więcej, skoro straciwszy z oczu brzeg, na którym przechadzał się przed chwilą, ujrzał morze spływające się z niebem ze wszech stron. Wówczas zaczął podejrzewać, iż mógł się snadno¹⁹¹ pomylić i że o ile wiatr nie zmienił kierunku, zanieś go może na ów brzeg, między tych mieszkańców, o których babka mówiła mu tak często.

MARSZAŁKOWA: Nic pan nie mówi, jak musiał się przeląć.

CRUDELI: Ani trochę. Powiadał sobie: „Cóż mi to szkodzi, byłem gdzieś wylądował? Rozumowałem jak głuptas, prawda, ale byłem szczerzy, a to wszystko, czego można ode mnie wymagać. Jeżeli posiadanie rozumu nie jest cnotą, jego brak nie może być zbrodnią”. Tymczasem wiatr dmie dalej, deska płynie i tajemniczy brzeg zaczyna się ukazywać: Meksykanin przybił doń i oto jest w nieznanym kraju.

MARSZAŁKOWA: Spotkamy się tam kiedyś, panie Crudeli.

CRUDELI: Pragnę tego, pani marszałkowo; w każdym czasie i miejscu zawsze będzie dla mnie szczęściem przedłożyć pani moje służby. Ledwie opuścił deskę i stanął na lądzie, spostrzegł czcigodnego starca stojącego tuż przed nim. Spytał, gdzie jest i z kim ma zaszczyt mówić.

¹⁸⁵ Święty Paweł powiada, iż każdy będzie sądzony wedle prawa, które znał — Rz 2, 12–23. [przypis edytorski]

¹⁸⁶ Korozain i Betsaida — biblijne miasta w Galilei, które zostały przeklęte przez Jezusa, gdyż ich mieszkańcy mimo dokonanych tam przez niego cudów nie przyjęli jego nauczania (Mt 11, 21; Łk 10, 13). [przypis edytorski]

¹⁸⁷ Tyr i Sydon — wielkie, bogate miasta kupieckie staroż. Fenicji, sąsiadującej z terenami zamieszkałymi przez Izraelitów; w księgach biblijnych często wymieniane razem i potępiane jako siedliska pychy i bałwochwalstwa; Widzieli cuda, które, gdyby się działy w Tyrze i Sydonie, spowodowałyby wielki pokup na worki i popiół: Mt 11, 21; Łk 10, 13. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ pokup — popyt, zapotrzebowanie na jakiś towar. [przypis edytorski]

¹⁸⁹ zali (daw.) — czy; czyż. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

¹⁹¹ snadno a. snadnie (daw.) — łatwo, z łatwością. [przypis edytorski]

— Jestem panem tego kraju — odparł starzec.

Słyszając to, młody człowiek upadł na twarz.

— Wstań — rzekł starzec. — Przeczyłeś memu istnieniu?

— W istocie.

— I istnieniu mego królestwa?

— Przyznaję.

— Przebaczam ci, ponieważ jestem ten, który widzi dno serc, i wyczytałem w twoim, że myślisz uczciwie; ale reszta twoich myśli i uczynków nie jest równie niewinna.

Po czym starzec, trzymając go za ucho, przypomniał mu wszystkie błędy; za każdym punktem młody Meksykanin schylał się, uderzał się w pierś i prosił o przebaczenie. A teraz, pani marszałkowo, niech się pani postawi na chwilę na miejscu starca i powie, co by pani zrobiła? Czy by pani wzięła młodego głuptasa za włosy i znajdowała przyjemność w tym, aby go włóczyć przez całą wieczność po brzegu?

MARZAŁKOWA: Przyznaję, że nie.

CRUDELI: Gdyby któreś z tych miłych dzieciątek igrających koło pani, wymknąwszy się z domu rodzicielskiego i narobiwszy wielu głupstw, wróciło wielce skruszone?

MARZAŁKOWA: Co do mnie, pobiegłabym na jego spotkanie, utuliłabym je w ramionach i skropiłabym je łzami; ale pan marszałek, jako ojciec, nie wziąłby rzeczy tak łagodnie.

CRUDELI: Pan marszałek też nie jest tygrysem.

MARZAŁKOWA: Och, nie!

CRUDELI: Srożyłby się może nieco, ale by przebaczył w końcu.

MARZAŁKOWA: Z pewnością.

CRUDELI: Zwłaszcza gdyby wziął pod uwagę, iż nim dał życie temu dziecku, znał wszystkie jego koleje, i że kara za jego winy byłaby bez żadnego pożytku i dla niego samego, i dla winnego, i dla jego braci.

MARZAŁKOWA: Co innego pan marszałek, a co innego ów starzec.

CRUDELI: Chce pani powiedzieć, że pan marszałek lepszy jest od owego starca?

MARZAŁKOWA: Niechże mnie Bóg broni! Chcę powiedzieć, że jeżeli moja sprawiedliwość różni się od sprawiedliwości pana marszałka, sprawiedliwość pana marszałka może być inna niż sprawiedliwość wielkiego starca.

CRUDELI: Och, pani! Nie zdaje sobie pani sprawy z następstw tej odpowiedzi. Albo ogólne pojęcie sprawiedliwości odpowiada jednako pani, panu marszałkowi, mnie, młodzieńcowi z Meksyku i starcowi, albo też nie wiem zgoła, co to takiego, i nie mam pojęcia, jak można stać się miłym albo niemiłym najwyższej istocie.

W tym punkcie dano znać, że pan marszałek nas oczekuje. Podałem rękę marszałkowej, która rzekła:

— To się może w głowie pomieszać, nieprawdaż?

CRUDELI: O ile ktoś ma tęgą głowę...

MARZAŁKOWA: Ostatecznie, najprostsze jest zachować się tak, jak gdyby starzec istniał.

CRUDELI: Nawet gdy się w to nie wierzy.

MARZAŁKOWA: A gdyby się wierzyło, nie liczyć na jego dobroć.

CRUDELI: Jeżeli to nie jest najuprzejmiej, jest to w każdym razie najpewniejsze.

MARZAŁKOWA: Niech mi pan powie, gdyby pan miał zdać sprawę władzom ze swoich poglądów, czy przyznałby się pan do nich?

CRUDELI: Uczyniłbym co w mej mocy, aby im oszczędzić okrutnego postępku.

MARZAŁKOWA: A, tchórz! A gdyby pan miał umierać, czy poddałby się pan obrządkom Kościoła?

CRUDELI: Bez wahania.

MARZAŁKOWA: Fe, szkaradny hipokryta!

Dwaj przyjaciele z Bourbonne¹⁹²

Było tu dwóch ludzi, których można by nazwać Orestesem i Pyladesem¹⁹³ z Bourbonne¹⁹⁴. Jeden zwał się Oliwier, drugi Feliks; urodzili się tego samego dnia, w tym samym domu, z dwóch siostr. Wykarmili się jednym mlekiem; jedna bowiem z matek zmarła w połogu, druga zaś opiekowała się jej dzieckiem. Wychowali się razem; żyli zawsze na uboczu; kochali się tak, jak się istnieje, jak się żyje, nieświadomie; czuli to w każdej chwili, a nigdy może nie rozmawiali o tym. Oliwier ocalił raz życie Feliksowi, który będąc śmiałym pływakiem, omal się nie utopił; ani jeden, ani drugi nie pamiętał tego zdarzenia. Sto razy Feliks wydobył Oliwiera z niebezpieczeństw, w jakie go wtrącał jego gwałtowny charakter; nigdy Oliwierowi nie przyszło na myśl dziękować mu za to; wracali razem do domu, milcząc albo mówiąc o czymś innym.

Skoro przyszło im stawać do wojska i Feliks wyciągnął zły los, Oliwier rzekł: „Drugi będzie dla mnie”. Odbyli czas służby, wrócili razem do domu; czy jeszcze drożsi sobie wzajem niż wprzód, za to nie mogą ręczyć: o ile bowiem, braciszku, obopólne dobrodziejstwa umacniają przyjaźń świadomą, może nie mają wpływu na uczucia, które byłbym skłonny nazwać przyjaźnią zwierzęcą, instynktowną. W wojsku, w czasie potyczki, kiedy nieprzyjacielska szabla miała rozplatać Oliwierowi głowę, Feliks wystawił się machinalnie na cios i wyniósł szramę na całe życie. Powiadają, że był dumny z tej rany; co do mnie, nie przypuszczam. Pod Hastenbeck¹⁹⁵ Oliwier wydobył Feliksa z wału trupów, gdzie go porzucono.

Skoro ich kto pytał, wspominali niekiedy o usługach, jakich który z nich doznał od drugiego, nigdy o tych, które mu oddał. Oliwier mówił o Feliksie, Feliks o Oliwierze, ale nie chwalili się wzajem. Po jakimś czasie pobytu w swoich stronach zakochali się, a przypadek chciał, iż pokochali jedną i tę samą dziewczynę. Nie było mowy o współzawodnictwie; pierwszy, który przejrzał miłość przyjaciela, usunął się: był to Feliks. Oliwier poślubił ukochaną, Feliks zaś, zmierzony życiem, sam nie wiedząc czemu, rzucił się w różne awanturyczne rzemiosła i skończył na przemytnictwie.

Wiadomo ci, braciszku, że istnieją we Francji cztery trybunały, gdzie sądzą przemytników: Caen, Reims, Valence i Tuluza. Najsurowszy jest trybunał w Reims; przewodniczy tam niejaki Coleau, najbardziej krwiożercza dusza, jaką natura stworzyła. Feliksa ujęto z bronią w rękę i zawieziono przed strasznego Coleau, który skazał go na śmierć, jak pięćset innych przed nim. Oliwier dowiedział się o losie przyjaciela. Jednej nocy wstaje z łóżka, gdzie spoczywał przy żonie, i nic jej nie mówiąc, udaje się do Reims. Zwraca się do sędziego, rzuca mu się do stóp i błaga o tę łaskę, by mógł ujrzeć i uściskać Feliksa. Coleau patrzy nań, milczy chwilę i daje znak, aby usiadł. Oliwier siada. Po upływie pół godziny Coleau dobywa zegarek i mówi:

— O ile chcesz ujrzeć i uściskać przyjaciela za życia, spiesz się, jest w drodze; jeśli mój zegarek idzie dobrze, przed upływem dziesięciu minut będzie wisiał.

Oliwier, wściekły, zrywa się, wymierza w kark sędziego potężny raz kijem, rozciągając go niemal bez życia, pędzi na miejsce kaźni, przybywa, krzyczy, rzuca się na kata, uderza na strażników, buntuje ludność oburzoną tymi egzekucjami. Kamienie zaczynają latać, Feliks ucieka. Oliwier też myśli o ucieczce, ale żandarm przebił mu bok bagnetem, czego w pierwszej chwili nie czuł. Dotarł do miasta, ale nie mógł iść dalej; litościwi woźnice

Przyjaźń

Sędzia

Bunt, Ucieczka

¹⁹²*Dwaj przyjaciele z Bourbonne* — utwór ten, napisany w r. 1770 jako odpowiedź na *Dwóch przyjaciół* Saint-Lamberta, wywarł żywe wrażenie w kołach niemieckich studentów (Goethe, *Pamiętniki*) i wpłynął na powstanie *Zbójców* Schillera. Diderot napisał to opowiadanie w Bourbonne-les-Bains, niedaleko rodzinnego Langres, gdzie odwiedził przyjaciółkę bawiącą tam z chorą córeczką. Utwór ten przesyła młodociana chora, czyli „siostrzyczka braciszkowski”, który przesłał jej irokeską powiastkę Saint-Lamberta. [przypis tłumacza]

¹⁹³*Orestes i Pylades* (mit. gr.) — słynna para wiernych, nierozłącznych przyjaciół, kuzynów, którzy wspólnie się wychowywali, a później razem stawiali czoło niebezpieczeństwom. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*Bourbonne-les-Bains* — miejscowość w zach. Francji, w ob. departamencie Górna Marna. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*bitwa pod Hastenbeck* (26 lipca 1757) — starcie zbrojne podczas wojny siedmioletniej, w którym połączone siły zbrojne Hanoweru, Hesji i Brunszwiku zostały pokonane przez armię francuską, co doprowadziło do zajęcia Księstwa Hanoweru przez Francję. [przypis edytorski]

wsadzili go na wóz i złożyli u wrót domu na chwilę przed skonem¹⁹⁶; miał tylko czas powiedzieć:

— Żono, zbliż się, niech cię uściskam. Ja umieram, ale Feliks ocalony.

Jednego wieczora, kiedyśmy się wybrali, wedle zwyczaju, na przechadzkę, ujrzyliśmy przed drzwiami chaty kobietę słusznego wzrostu i czworo drobnych dzieci u jej stóp. Postawa jej, pełna smutku i energii zarazem, ściągnęła naszą uwagę; ona zauważyła nas również. Po chwili milczenia rzekła:

— Oto czworo drobnych dzieci; jestem ich matką, a nie mają już ojca.

Ten dumny sposób wzywania współczucia trafił nam do serca. Ofiarowaliśmy jej pomoc, którą przyjęła z godnością: przy tej to sposobności dowiedzieliśmy się dziejów męża jej, Oliwiera, i przyjaciela jego, Feliksa. Wspomnieliśmy o niej wpływowym osobom i tuszę¹⁹⁷ sobie, że nasze polecenie nie było daremne. Widzisz stąd, iż wielkość duszy i wysokie przymioty moralne zdarzają się w każdym stanie¹⁹⁸ i w każdym kraju; iż niejednemu człowiekowi, który umiera nieznan, brak jedynie szerszej areny i że aby znaleźć dwóch przyjaciół, nie trzeba się udawać aż do Irokezów¹⁹⁹.

Zczyłeś sobie, braciszku, wiedzieć, co się stało z Feliksem; jest to ciekawość tak prosta, a pobudka jej tak chwalebna, iż wyrzucaliśmy sobie nieco, żeśmy nie pomyśleli o tym. Aby naprawić ten błąd, wspomnieliśmy zrazu księdza Papin, doktora teologii i proboszcza Najświętszej Panny w Bourbonne; daliśmy wszelako pierwszeństwo wice-delegatowi Aubert, bardzo zacnemu i uczynnemu człowiekowi, który nam przesłał następującą opowieść. Możesz polegać na niej.

„Ów Feliks żyje jeszcze. Wymknąwszy się z rąk sprawiedliwości, rzucił się w okoliczne lasy, których ścieżki i przesmyki poznał w czasie, gdy uprawiał przemytnictwo; kołując, starał się zbliżyć pomału do domu Oliwiera, o którego losie nic nie wiedział.

W głębi lasu, w okolicy, gdzie pani przechadzała się niekiedy, mieszkał węglarz²⁰⁰, którego chata służyła za schronienie przemytnikom oraz za składnicę towaru i broni. Tam to udał się Feliks, nie bez trudu uniknąwszy sideł żandarmów, którzy ścigali go trop w trop. Ten i ów kompan przyniósł wiadomość o jego uwięzieniu w Reims, tak iż para węglarzy uważała go za straconego, kiedy się nagle zjawił.

Opowiem rzecz tak, jak ją słyszałem z ust węglarki, zmarłej niedawno temu.

Pierwsze ujrzały go dzieci, wałęsające się dokoła zagrody. Gdy przybysz zatrzymał się, piszcząc najmłodsze, którego był ojcem chrzestnym, inne wpadły do chaty, wołając:

— Feliks! Feliks!

Rodzice wyszli, powtarzając ten sam krzyk radości, ale nieszczęśliwy tak był wyczerpany głodem i znużeniem, iż nie miał siły odpowiadać i upadł w pół zemdlony w ich ramiona.

Pocziwi ludzie wspomogli go, czym mieli, dali mu chleba, wina, nieco jarzyny; zjadł i usnął.

Skoro się zbudził, pierwszym jego słowem było:

— Oliwier! Dzieci, nie wiecie nic o Oliwierze?

— Nie — odparły.

Opowiedział, co zaszło w Reims; noc i następny dzień spędził w chacie. Wzdychał, wymawiał imię Oliwiera; przypuszczał, iż znajduje się w więzieniu w Reims; chciał tam pędzić, chciał umrzeć wraz z nim; nie bez trudu para węglarzy odwiodła go od tego zamiaru.

Drugiego dnia około północy zarzucił strzelbę, wziął szablę pod pachę i rzekł z cicha:

— Węglarzu!

— Co, Feliksie?

— Weź siekierę i chodźmy.

¹⁹⁶skon (daw.) — zgon, śmierć. [przypis edytorski]

¹⁹⁷tuszyć (daw.) — mieć nadzieję, spodziewać się; por. otucha. [przypis edytorski]

¹⁹⁸stan — tu: warstwa społeczna. [przypis edytorski]

¹⁹⁹aby znaleźć dwóch przyjaciół, nie trzeba się udawać aż do Irokezów — odniesienie do powiastki Jean François de Saint-Lamberta *Les Deux Amis, conte iroquois* (Dwaj przyjaciele, opowieść irokeska) z roku 1770, opowiadającej o przyjaźni Tolho i Mouzy, dwóch Indian z plemienia Irokezów, zakochanych w młodej Erimé. [przypis edytorski]

²⁰⁰węglarz — człowiek zajmujący się wypalaniem z drzewa węgla drzewnego. [przypis edytorski]

— Dokąd?

— Dobre pytanie! Do Oliwiera.

Idą, ale gdy wychodzili z lasu, ogarnął ich oddział żandarmów.

Polegam na tym, co mi opowiadała węglarzowa, ale niesłychane jest, aby dwóch ludzi pieszo zdołało stawić opór dwudziestu konnym; widocznie tamci byli rozproszeni i chcieli ująć ofiarę żywcem. Jak bądź się rzeczy miały, walka była gorąca; pięć koni wyszło z niej pokaleczonych, a siedmiu ludzi porąbanych szablą lub siekierą. Biedny węglarz legł martwy, ugodzony kulą w skroń. Feliks wpadł z powrotem do lasu, że zaś obdarzony jest nieporównaną zwinnością, biegał z jednego miejsca na drugie, w biegu nabijał fuzję, strzelał, dawał sygnały gwizdawką. Te gwizdania, te strzały z fuzji, oddawane raz po raz z rozmaitych miejsc, obudziły w żandarmach obawę, iż mają do czynienia z całą zgrają przemytników; jakoż cofnęły się rozważnie.

Walka

Skoro Feliks przekonał się, że są daleko, wrócił na pole bitwy. Wziął trupa węglarza na ramiona i puścił się z powrotem do chaty, gdzie węglarzowa i dzieci spały jeszcze. Zatrzymał się u drzwi, złożył trupa na ziemi i usiadł, oparłszy się o drzewo, twarzą ku drzwiom chaty. Oto widok, jaki czekał węglarkę, gdy wyszła z szałas!

Trup, Żona, Dziecko,
Rozpacz

Budzi się, nie znajduje męża obok siebie, szuka oczyma Feliksa, nie ma Feliksa. Wstaje, wychodzi, spostrzega, wydaje krzyk, pada na wznak. Nadbiegają dzieci, widzą, krzyczą; rzucają się na ciało ojca, rzucają się na matkę. Węglarzowa, przywołana do zmysłów hałasem i krzykami dzieci, wydziera sobie włosy, drze paznokciami policzki. Feliks, nieruchomy u stóp drzewa, z zamkniętymi oczami, z głową przechyloną wstecz, mówi gasnącym głosem:

— Żałujcie mnie!

Nastaje chwila milczenia, po czym rozpacz i krzyki zaczynają się na nowo, Feliks zaś powtarza znowu:

— Zabijcie mnie, dzieci! Przez litość, zabijcie mnie!

Spędzili w ten sposób trzy dni i noce na rozpaczach; czwartego Feliks rzekł:

— Kobieto, weź sakwy, włóż chleba, i pójdź za mną.

Po długim kołowaniu przez góry i lasy przybyli do domu Oliwiera; dom ten leży, jak pani wiadomo, na skraju miasteczka, w miejscu gdzie gościniec rozszczepia się na dwie drogi, jedna do Franche-Comté²⁰¹, druga do Lotaryngii²⁰².

Tam to Feliks dowie się o śmierci Oliwiera i znajdzie się między wdowami po dwóch ludziach poległych z jego przyczyny. Wchodzi i pyta żywo żony Oliwiera:

— Gdzie Oliwier?

Z milczenia jej, ze stroju, z łez zrozumiał, że nie żyje. Zaćmiło mu się w oczach; upadł i rozciął sobie głowę o dzieżkę²⁰³ do zarabiania chleba. Wdowy podniosły go. Krew jego barwiła im ręce, kiedy zaś obcierały go fartuchami, on mówił:

— I wy, ich żony, wy spieszycie mi z pomocą!

Mdlał znowu, wracał do przytomności i powiadał, wdychając:

— Czemuż mnie nie poniechał? Po co chodził do Reims? Jak można było mu pozwolić na to?...

Szaleństwo

To znów, jak gdyby rozum mu się mącił, wpadał w szal, tarzał się po ziemi i darł na sobie odzież. W jednym z takich napadów dobył szabli i chciał się przebić. Kobiety rzuciły się nań, wołając o pomoc. Nadbiegli sąsiedzi, związano go sznurami i puszczono mu krew²⁰⁴ kilka razy. Szal opadł wraz z wyczerpaniem sił. Kilka dni leżał jak martwy, po czym zaczęła wracać świadomość. W pierwszej chwili powiódł oczyma dokoła jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu, i rzekł:

— Gdzie jestem? Kobiety, kto wy jesteście?

Węglarzowa odparła:

— Jestem węglarzowa...

Rzekł:

²⁰¹ *Franche-Comté* — kraina hist. we wsch. Francji, przy granicy ze Szwajcarią. [przypis edytorski]

²⁰² *Lotaryngia* — kraina hist. w płn.-wsch. Francji, granicząca z Belgią, Luksemburgiem i Niemcami. [przypis edytorski]

²⁰³ *dzieżka* — zdrobn. od *dzieża*: duże naczynie służące do rozczyniania ciasta na chleb. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *puszczono mu krew* — w dawnej praktyce medycznej upuszczanie krwi stosowano jako środek leczniczy i profilaktyczny. [przypis edytorski]

— Ach! tak, węglarzowa... A pani?...

Żona Oliwiera zmilknęła. Wówczas zaczął płakać; obrócił się do ściany i rzekł wśród łez:

— Jestem u Oliwiera... to łóżko — to łóżko Oliwiera... a kobieta, którą tu widzę, to jego żona! Och!...

Obie kobiety zajęły się nim tak troskliwie, obudziły w nim tyle współczucia, prosiły go tak usilnie, aby żył, przedkładały mu w tak wzruszający sposób, że jest ich jedyną podporą, iż dał się przekonać. Przez cały czas, który pozostawał w tym domu, nie położył się już. Wychodził w nocy, błądził po polach, tarzał się po ziemi, wzywał Oliwiera; jedna z kobiet szła za nim z daleka krok w krok i przyprowadzała go o świcie z powrotem.

Wiele osób wiedziało o jego bytności w chacie; wśród nich byli i nieżyczliwi. Wdowy uprzedziły go o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża. Było to po południu, Feliks siedział na ławce, z szabłą na kolanach, wsparty łokciami na stole, z głową utopioną w dłoniach. Zrazu nie odpowiedział nic. Żona Oliwiera miała siedemnasto- czy osiemnastoletniego syna, węglarzowa piętnastoletnią córkę. Naraz rzekł:

— Węglarzowa, idźcie po córkę i sprowadźcie ją tutaj...

Feliks miał kawałek łąki, sprzedał ją. Węglarzowa wróciła z córką, syn Oliwiera zaślubiał ją. Feliks wręczył im pieniądze uzyskane za łąkę, uściskał ich, poprosił z płaczem o przebaczenie, po czym udali się na gospodarstwo do chaty, gdzie mieszkają jeszcze, zastępując ojca i matkę reszcie dzieci. Wdowy zamieszkały razem; tak dzieci Oliwiera zyskały ojca i dwie matki.

Jest blisko półtora roku, jak węglarzowa umarła; żona Oliwiera oplakuje ją jeszcze co dzień.

Jednego dnia, kiedy śledziły Feliksa (jedna z nich zawsze miała go na oku), ujrzały, iż zalewa się łzami; wyciągał w milczeniu ręce ku drzwiom, po czym dalej pakował swój worek. Nie rzekły nic; rozumiały zresztą, jak bardzo to rozstanie jest konieczne. Spożyli wszyscy troje wieczerzę w milczeniu. Zapadła noc; kobiety nie spały, Feliks zbliżył się do drzwi na końcach palców. Zatrzymał się, spojrzął w stronę legowiska obu kobiet, otarł sobie oczy rękami i wyszedł. Kobiety padły sobie w ramiona i spędziły resztę nocy, płacząc. Nie wiadomo było, dokąd się schronił, ale nie było tygodnia, aby im nie przesłał jakiejś pomocy.

Las, w którym córka węglarzów żyje z synem Oliwiera, należy do niejakiego pana Leclerc de Raçonnières, bardzo bogatego człowieka, właściciela innej jeszcze wioski, zwanej Courcelles. Jednego dnia, kiedy pan de Raçonnières albo de Courcelles, jak pani woli, był na polowaniu, przybył do chatki Oliwierowego syna; wszedł, zaczął się bawić z dziećmi, które były bardzo ładne, i jął je wypytować. Twarz młodej kobiety, również niebrzydkiej, wydała mu się sympatyczna; męska postawa męża, który miał wiele z ojca, zwróciła jego uwagę. Dowiedziawszy się o przejściach rodziców, przyrzekł postarać się o ułaskawienie Feliksa. Poczył w tej mierze kroki i uzyskał je.

Feliks wstąpił w służbę pana de Raçonnières, który dał mu miejsce leśniczego.

Upłynęło blisko dwa lata, przez które żył w Raçonnières, posyłając wdowom znaczną część zarobków, kiedy przywiązanie do pana oraz wrodzona duma wplątały go w pewną sprawę, błahą w założeniu, ale o bardzo przykrych następstwach.

Pan de Raçonnières sąsiadował w Courcelles z panem de Fourmont, radcą trybunału w Chaumont. Oba domy rozdzielał jedynie kamienny słup; słup ten znajdował się tuż przy bramie pana de Raçonnières i utrudniał dojazd powozom. Pan de Raçonnières kazał przesunąć słup o kilka stóp²⁰⁵ w stronę pana Fourmont; ten odepchnął słup o tyleż ku panu de Raçonnières; stąd nienawiść, zniewagi, proces między sąsiadami. Sprawa o słup graniczny dała początek paru innym, donioślejszym procesom. Tak stały rzeczy, kiedy jednego wieczora pan de Raçonnières, wracając z polowania w towarzystwie leśniczego swego, Feliksa, spotkał na gościńcu sędziego Fourmont i brata jego, wojskowego. Ten rzekł do brata:

— Ej bracie, gdyby tak rozplatać gębę temu sk...wi, jak ci się wydaje?

Pan de Raçonnières nie słyszał tego odezwania, ale nieszczęściem usłyszał je Feliks, który zwracając się dumnie do młodego junaka²⁰⁶, rzekł:

²⁰⁵stopa — dawna jednostka długości równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

²⁰⁶junak — odważny młodzieniec, zuch, śmiałek. [przypis edytorski]

— Ejże, panie oficerze, czy w istocie byłbyś dość dzielny, aby się wazyć na spełnienie tego, co wyrzekłeś?

To mówiąc, kładzie strzelbę na ziemi i dobywa szabli, nie ruszał się bowiem nigdy bez swej szabli. Młody wojskowy dobywa szpady, skacze ku Feliksowi; pan de Rançonnières nadbiega, rzuca się między nich, chwyta leśniczego. Tymczasem oficer podnosi strzelbę leżącą na ziemi, mierzy do Feliksa, chybia. Ten odpowiada ciosem szabli, wytrąca szpadę z rąk młodego człowieka, pozbawiając go wraz ze szpadą połowy ramienia. I oto proces kryminalny wikła kilka dawnych procesów cywilnych. Wtrącają Feliksa do więzienia, rozpoczyna się surowe śledztwo; w następstwie sędzia traci swą godność i niemal cześć, oficera wykluczają z korpusu oficerskiego, pan de Rançonnières umiera ze zmartwienia, Feliksowi zaś, ciągle tkwiącemu w więzieniu, przysięga nienawiść cała rodzina Fourmontów. Czekałby go smutny koniec, gdyby miłość nie przyszła mu z pomocą; córka dozorca rozkochała się w nim i ułatwiła mu ucieczkę; jeśli to nie jest istotna prawda, takie było przynajmniej powszechne mniemanie. Udał się do Prus, gdzie służy dzisiaj w gwardii. Powiadają, iż cieszy się miłością towarzyszy, a nawet zwrócił na siebie oko króla. Przybrał sobie miano Smutny. Wdowa po Oliwierze powiada, iż zawsze ją wspomaga.

Oto, pani, wszystko, co mogłem zebrać o dziejach Feliksa. Dołączam do swego opowiadania list księdza Papin, naszego proboszcza. Nie wiem, co zawiera, ale obawiam się, iż biedny ksiądz, który ma głowę nieco ciasną, a serce dość oschłe, ocenia Oliwiera i Feliksa pod kątem swych uprzedzeń. Zaklinam panią, byś zechciała wspierać się na faktach, o których prawdzie możesz być przekonana, oraz na dobroci własnego serca; ono oświeci cię lepiej niż najtęjszy kazuista²⁰⁷ Sorbony, którym nie jest ksiądz Papin”.

List ks. Papin, doktora teologii i proboszcza Najśw. Panny w Bourbonne

Nie wiem, pani, co p. delegat mógł jej opowiedzieć o Oliwierze i Feliksie, ani też jakiego rodzaju zainteresowanie mogą budzić w pani dwaj opryszki, których każdy krok na tej ziemi zbroczony był krwią. Opatrzność ukarała już jednego, drugiemu zaś użyczyła paru chwil odwłoki, z których lękam się, iż nie skorzysta: ale niech się dzieje wola boża! Wiem, że są tu osoby (i nie dziwiłbym się, gdyby p. delegat był w ich liczbie), które mówią o tych dwóch ludziach jako o wzorze rzadkiej przyjaźni; ale czym jest w oczach Boga najwznioślejsza cnota odarta z uczuć litości, szacunku należnego Kościołowi i jego sługom oraz poddania prawom monarchy? Oliwier umarł w progu swego domu, bez sakramentów; kiedy mnie wezwano do Feliksa w mieszkaniu wdów, nie mogłem zeń wydobyć nic prócz imienia Oliwiera; żadnego znaku religii, żadnego objawu skruchy. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek człowiek ten zjawiał się u stopni konfesjonatu. Żona Oliwiera to zuchwała istota, która uchybiła mi niejedną raz; dlatego że umie czytać i pisać, sądzi, iż zdoła sama wychować swoje dzieci; jakoż nie ujrzy ich oko ludzkie ani w parafialnej szkole, ani na moich naukach. Niech pani osądzi wedle tego, czy tego rodzaju ludzie zasługują na jej łaskę! Ewangelia zaleca pilnie współczucie dla biednych, ale podwaja zasługę miłosierdzia, kto umie uczynić wybór między nędzarniami, a nikt lepiej nie zna prawdziwie potrzebujących niż wspólny pasterz bogatych i ubogich. Gdyby pani raczyła mnie zaszczyścić zaufaniem, umieściłbym może skarby jej miłosierdzia w sposób użyteczniejszy dla biedaków, a zaszczytniejszy dla niej.

Ksiądz, Bieda, Miłosierdzie,
Dar, Pieniądz

Pozostają z uszanowaniem, etc.

Pani de *** podziękowała delegatowi Aubert za trudy i przesłała wsparcie na ręce księdza Papin wraz z następującym bilecikim:

Bardzo jestem obowiązana wielbnemu ojcu za jego roztropne rady. Historia tych ludzi wzruszyła mnie, wyznaję; zgodzi się ksiądz, że przykład tak

²⁰⁷kazuista — człowiek stosujący *kazuistykę*: drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętnie argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

rzadkiej przyjaźni może łatwo²⁰⁸ uwieść złą i tkliwą duszę; ale oświeciłem mnie, ojczy; zrozumiałam, że lepiej użyć pomocy cnotom chrześcijańskim a nieszczęśliwym niż cnotom naturalnym i pogańskim. Proszę przyjąć tę skromną sumę, którą przesyłam na pańskie ręce, i rozdzielić ją w myśl miłosierdzia lepiej pojętego niż moje.

Mam zaszczyt etc.

Można się domyślić, że wdowa po Oliwierze i Feliks nie oglądali ani szeląga²⁰⁹ z jałmużny pani de ***. Feliks umarł, a biedna kobieta byłaby zginęła z głodu wraz z dziećmi, gdyby się nie schroniła do lasu, do starszego syna, gdzie mimo podeszłego wieku pracuje i żyje jak może w otoczeniu dzieci i wnuków.

A przy tym, są trzy rodzaje opowieści... Jest ich o wiele więcej, powiecie... Wybaczcie; ale ja rozróżniam opowieść na sposób Homera, Wergilego, Tassa²¹⁰ i nazywam ją cudowną. Natura ulega w niej wyolbrzymieniu; prawda jest hipotetyczna. Jeżeli opowiadający dobrze zachował typ, który obrał; jeżeli wszystko, i w działaniu, i w odezvaniach, zgadza się z tym typem, wówczas uzyskał stopień doskonałości, jaki się da osiągnąć w tego rodzaju utworze: nie macie prawa żądać od niego więcej. Zapuszczając się w taki poemat, stawiacie nogę w nieznaną krainę, gdzie nic nie odbywa się tak, jak tam, gdzie wy mieszkacie, ale wszystko dzieje się w wielkich wymiarach, jak dokoła was w małych. Istnieje dalej powiastka ucieszna, na sposób La Fontaine'a, Vergiera, Ariosta, Hamiltona²¹¹, gdzie pisarz nie zakłada sobie ani naśladowania natury, ani prawdy, ani złudzenia; rzuca się w wytwory wyobraźni. Powiedzcie mu: „Bądź wesoły, pomysłowy, urozmaicony, oryginalny, nawet szalony, godzę się; ale porwij mnie szczegółami; niech wdzięk formy przesłania mi wciąż nieprawdopodobieństwo treści”. Jeśli pisarz zdołał tego dokazać, uczynił wszystko. Jest wreszcie opowieść historyczna, taka jak nowele Scarrona, Cervantesa, Marmontela²¹²...

— Do czarta z historyczną powieścią i historycznym powieściopisarzem! To płacy i nudni łgarze...

— Tak, o ile nie znają swego rzemiosła. Taki zamierza cię oszukać; rozgościł się w twoim domu, ma za cel najwierniejszą prawdę; chce, aby mu wierzono; chce zaciekawic, zająć, porwać, wzruszyć, przyprawić o dreszcz i wycisnąć łzy, których to rzeczy nie da się osiągnąć bez wymowy i poezji. Ale wymowa jest poniekąd kłamstwem, a nic przeciwniejszego złudzeniu prawdy niż poezja; i jedna, i druga przesadza, wydyma, potęguje, budzi nieufność. Jakże się tedy²¹³ weźmie taki pisarz do rzeczy, aby cię oszukać? Oto jak. Upstrzy swoje opowiadanie drobnymi okolicznościami tak związanymi z treścią, rysami tak prostymi, tak naturalnymi, a wszelako tak trudnymi do wymyślenia, iż będziesz musiał powiedzieć sobie w duchu: „Na honor, to musi być prawda; tego nie da się wymyślić”. W ten sposób ocali przesadę wymowy i poezji; prawda natury pokryje uludę

Sztuka, Natura, Prawda

²⁰⁸ *lucno* (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *szeląg* — dawna drobna moneta polska z miedzi. [przypis edytorski]

²¹⁰ *Homer, Wergili, Tasso* — twórcy wielkich poematów epickich: *Homer* (VIII w. p.n.e.): grecki wędrowny pieśniarz i recytator, twórca najstarszych greckich poematów epickich, *Iliady* i *Odysei*; *Wergiliusz*, właśc. *Publiusz Wergiliusz Maro* (70–19 p.n.e.): rzymski poeta, autor *Eneidy*, uznawanej za narodowy epos rzymski; *Torquato Tasso* (1544–1595): włoski poeta renesansowy, autor sławnego eposu rycerskiego *Jerozolima wyzwolona*. [przypis edytorski]

²¹¹ *La Fontaine, Vergier, Ariosto, Hamilton* — twórcy lekkich utworów literackich, pisanych dla rozrywki czytelników: *Jean de La Fontaine* (1621–1695): francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych; *Jacques Vergier* (1655–1720): francuski poeta, autor pieśni, fraszek, bajek, parodii; *Lodovico Ariosto* (1474–1533): włoski poeta renesansowy, autor przygodowego eposu rycerskiego *Orland szalony*, a także satyr i komedii wierszem i prozą; *Anthony (Antoine) Hamilton* (ok. 1645–1719): francuskojęzyczny pisarz i poeta szkockiego pochodzenia, autor błyskotliwych, ironicznych opowiadań, wierszy, piosenek i listów. [przypis edytorski]

²¹² *Scarron, Cervantes, Marmontel* — twórcy współczesnego typu powieści: *Paul Scarron* (1610–1660): francuski poeta, dramaturg, pisarz, autor powieści lotrzykowskiej *Roman comique*; *Miguel de Cervantes* (1547–1616): hiszpański pisarz renesansowy, autor powieści *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*; *Jean-François Marmontel* (1723–1799): francuski pisarz, historyk, członek ruchu encyklopedystów, autor głośnej powieści filozoficznej *Belizariusz* (1767), której bohaterem jest bizantyjski wódz z VI w. [przypis edytorski]

²¹³ *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

sztuki; autor uczyni zadość dwóm na pozór sprzecznym warunkom: będzie równocześnie historykiem i poetą, prawdomównym i kłamcą.

Przykład zapożyczony z innej sztuki lepiej może uzmysłowi to, co chcę wyrazić. Malarz przedstawia na płótnie jakąś głowę. Wszystkie rysy są silne, wielkie i regularne; całość daje wrażenie rzadkiej doskonałości. Patrząc na tę twarz, odczuwam szacunek, podziw, grozę. Szukam dla niej w naturze wzoru i nie znajduję; wszystko w porównaniu jest słabe, drobne i liche; jest to głowa idealna, czuję to, mówię to sobie. Ale niech artysta ukaże mi na czole tej głowy lekką bliznę, brodawkę na skroni, nieznaczną zadziorkę na dolnej wardze; w jednej chwili z idealnej głowy staje się ona portretem; parę śladów ospy w okolicy oka lub nosa, a ta twarz kobieca nie jest już twarzą Wener²¹⁴; to portret którejś ze znajomych dam. Powiem tedy naszym historycznym bazarom: „Portrety wasze są piękne, zgoda; ale brakuje brodawki na skroni, zadziorki na wardze, śladów ospy w okolicy nosa, które by im dały piętno prawdy”. Jak mawiał mój przyjaciel Caillot²¹⁵: „Niecio pyłu na trzewikach i już oto nie wychodzę z garderoby, ale wracam ze wsi”.

Natura, Sztuka

*Atque ita mentitur, sic veris falsa remiscet,
Primo ne medium, medio ne discrepet inum.* ²¹⁶

Horatius, Ars poetica, w. 151.

A teraz, po odrobinie poetyki, nieco morału; to jest tak na miejscu! Feliks był to nędzarz, który nie posiadał nic, Oliwier drugi nędzarz, który nie posiadał nic. Powiedzcie toż samo o węglarzu, węglarzowej i innych osobistościach tej powiastki i wyciągnijcie wniosek, iż zupełna i trwała przyjaźń może istnieć jedynie między osobami, które nie mają nic. Człowiek wówczas stanowi całe mienie swego przyjaciela, jak tamten znów jego. Stąd prawda doświadczenia, że nieszczęście zacieśnia węzły, i temat do jeszcze jednego akapitu w pierwszej wydaniu książki *O umyśle*²¹⁷.

Bieda, Przyjaźń

²¹⁴Wenera a. *Venus* (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

²¹⁵*Caillot, Joseph* (1733–1816) — utalentowany francuski aktor i śpiewak. [przypis edytorski]

²¹⁶*Atque ita mentitur, sic veris falsa remiscet...* (łac.) — tak zaś nam zmyśla, tak prawdę z fałszem zespolić potrafi, że się początek ze środkiem, środek zaś z końcem wždy zgodzą (Horacy, *Sztuka poetycka*, tłum. Marceli Motty). [przypis edytorski]

²¹⁷*O umyśle* (fr. *De l'esprit*) — główna książka francuskiego filozofa oświeceniowego Claude'a Adriena Helvétiusa (1715–1771), wyd. w 1758, potępiona jako ateistyczna i publicznie spalona w 1759. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/diderot-to-nie-bajka-zbior>

Tekst opracowany na podstawie: Denis Diderot, *To nie bajka*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. M. Arct, Biblioteka Boy'a, Warszawa [1931]

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7941-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).